

STRONA TYTUŁOWA

Olga Medvedeva-Nathoo

Na skrzyżowaniu dróg

Prawdziwa opowieść o Ginie Dimant, wojnie i miłości

Olga Medvedeva-Nathoo

Na skrzyżowaniu dróg

Prawdziwa opowieść o Ginie Dimant, wojnie i miłości

Olga Medvedeva-Nathoo

Na skrzyżowaniu dróg

Prawdziwa opowieść o Ginie Dimant, wojnie i miłości

Szczecin 2016

Medvedeva-Nathoo, Olga. Na skrzyżowaniu dróg. Prawdziwa opowieść o Ginie Dimant, wojnie i miłości

ISBN

Tytuł rosyjskiego oryginału: Перекрестки. Подлинная история Гины Димант: война и любовь

Fotografie ze zbiorów prywatnych Giny Dimant.

Użyczone z innych zbiorów, wymienione w Spisie fotografii.

Okładka – Sergei Belinski

Wydrukowano w Szczecinie

© 2016 Olga Medvedeva-Nathoo

Polski przekład © 2016 Ludmiła Kopycińska

Fundamentem tej książki są wspomnienia Giny Dimant. Gina urodziła się w Polsce w 1926 roku. Jej życie upłynęło na przecięciu historii i geografii, a także kultur i języków różnych narodów. Kamienie milowe jej życia – to: druga wojna światowa, ucieczka, deportacja, repatriacja, emigracja, imigracja... Opowiadanie bohaterki o „skrzyżowaniach” w jej życiu stanowi kościec i nerw książki. I chociaż jej podstawą są wywiady, czytelnik nie znajdzie w niej tak charakterystycznej dla tego gatunku wymiany pytań i odpowiedzi między autorką i bohaterką. Życie na rozdrożach odzwierciedlone jest w swego rodzaju „krzyżującej się” konstrukcji książki: w splocie osobistych, a nawet intymnych momentów z życia bohaterki, jej miłości i odniesień do historii wspartych archiwalnymi dokumentami i badaniami specjalistów, a trud pamięci bohaterki dopełniony został autorskim przekształceniem wspomnień w słowo pisane. Życiorys Giny Dimant uzupełniony jest fotografiami z jej prywatnych zbiorów, a także szeregu państwowych zbiorów archiwalnych.

Na 70-lecie powrotu do Ojczyzny polskich obywateli
deportowanych do ZSRR

Podziękowania

Do powstania tej książki przyczyniły się niżej wymienione osoby i instytucje, za co im serdecznie dziękuję:

Nina Krieger, Dyrektor Centrum Edukacji o Holocauście
w Vancouver (Kanada)

Elizabeth Shaffer, Archiwistka Centrum Edukacji o Holocauście
w Vancouver (Kanada)

Shannon LaBelle, Bibliotekarka Centrum Edukacji o Holocauście
w Vancouver (Kanada)

Gulnara Bakibajewa, Dyrektor Muzeum Historyczno-Krajoznawczego
w Ridder (Kazachstan)

Jelena Putincewa, Pracownik naukowy Muzeum Historyczno-Krajoznawczego
w Ridder (Kazachstan)

Państwowe Archiwum w Warszawie (Polska)

Narodowe Archiwum Cyfrowe (Polska)

Archiwum Książnicy Pomorskiej im. St. Staszica w Szczecinie (Polska)

Joanna Braun i Ireneusz Zalewski, którzy uprzejmie zgodzili się na wykorzystanie fotografii z ich prywatnych zbiorów (Polska)

Anna Błaszczyk i Szymon Błaszczyk, którzy pomogli w sprecyzowaniu topografii Warszawy (Polska)

Petronella Aders-Mirabel, która uprzejmie zgodziła się na wykorzystanie wiersza Ryszarda Mirabela (Kanada)
--

Anna Frajlich-Zajac, która uprzejmie zgodziła się na wykorzystanie fragmentów jej wierszy (USA)

Mój mąż Khadim Nathoo zawsze wspierający mnie w mojej pracy literackiej (Kanada)

Spis treści

Prolog

Część I

Pod chupą

Dawno, dawno temu...

Ojciec i matka: wybór

Spacery bliskie i dalekie

Przeprawa przez Wisłę

Nowy kontynent

Biały piasek

Ciężki oddech

Ciemność, huk i wycie

Część II

Na wschód

W strefie neutralnej

Inny świat

Ciężka i długa podróż

Bal dla Kopciuszka

„Stalowym szlakiem”

Sztuka czytania między wierszami

Koniec „więzienia na kołach”

Nowy adres

Luka w pamięci

Milcząca przestrzeń, milczący czas

„Byli polscy obywatele”

Mozaika ludzka

Syrena fabryczna

Ile waży cegła?

„Piosenka pomaga budować i żyć”

„Kto nie pracuje, ten nie je”

Na uboczu

„Wszystko dla frontu – wszystko dla zwycięstwa”

List do towarzysza Stalina

Prawda piosenki

Trzęsawisko

Jabłko z Semipałatyńska
Kremlowskie gwiazdy
Promień słońca w ponury dzień
Dla kromki chleba
Żegnaj, Sybirze

Część III

Odzyskani na Ziemiach Odzyskanych
Tasując talię kart
Wyjechać czy zostać?
Syn
Tango
Zbliżenie
Popiół, nic prócz popiołu
„Gdzie się pchasz?”
„Dziesięć lat bez prawa korespondencji”
„Moje kochane dzieci”
Sybir Saszy
Kamienie (Żałobna Lista)
Wrócić, aby opuścić
Stary problem – nowa fala. 1968

Część IV

Posłannictwo pamięci
Dom na West-Side

Epilog

O autorce

Prolog

Skrzyżowania dróg – to spotkania. Przecięcie się historii i kultur różnych narodów, krajów, całych kontynentów, a także zdarzeń wielkich i małych. To twarze, które mignęły i odeszły w niepamięć oraz te, które pozostaną w pamięci na zawsze; skrzyżowanie spojrzeń jak klinga, wskrzeszających iskrę miłości, namiętności lub nieprzyjaźni, a nawet nienawiści. To spotkania, które musiały nastąpić, uzasadnione lub przypadkowe, decydujące o życiu człowieka, jego szczęśliwych i tragicznych chwilach.

A dlaczego skrzyżowania? Otóż dlatego, że nie ma życiowych dróg biegnących w jednej linii prostej. Proste skręcają, zmieniają się w linie łamane, zdużają w różnych kierunkach, to spadają w dół, to wznoszą się do góry, zderzają się z innymi prostymi, tworząc kąty ostre... Taka właśnie jest geometria życia. Takie są jej trudne lekcje.

Istnieją znane powiedzenia: „Uczyć się na własnych doświadczeniach”, „Uczyć się życia od życia”. Tak bardzo odnoszą się one do bohaterki książki – historia nie dała jej szansy na otrzymanie innej edukacji.

Nazywa się Gina Dimant. Przyzwyczała się do tego imienia, zrosła się z nim, ale rodzice nadali jej inne – Hinda. Zmienić swoje imię z własnej lub cudzej woli – znaczy tyle, co zmienić skórę. Za tym aktem kryje się zawsze coś poważnego: albo człowiek nie jest w zgodzie z samym sobą, męczy go jakaś osobista niegojąca się rana, albo jego imię nie podoba się otoczeniu i wtedy ono bez najmniejszych skrępowań stosuje wobec człowieka swoistą przemoc.

Biografia Giny obfituje w liczne przełomy: wojna, ucieczka, deportacja, repatriacja, emigracja, imigracja, głód, chłód, choroby, rozpacz, nieszczęścia, straty. I miłość, szczęście, pomyślność. Wszystkiego było w nadmiarze. Zmiana przestrzeni i czasu (epok, stref czasowych), systemów społeczno-ekonomicznych, kultur, języków, trud zakorzenienia, by znów zostać wyrwaną z

korzeniami... Wszystko to prze-żyć, prze-zwyciężyć z pewnością można nazwać „uczeniem się na własnych doświadczeniach”.

Opowiadanie Giny o jej „skrzyżowaniach” tworzy kościec i nerw tej książki. I chociaż u jej podstaw leżą wywiady, czytelnik nie znajdzie w niej tak charakterystycznej dla tego gatunku wymiany pytań i odpowiedzi między autorką i bohaterką. Życie na rozdrożach odzwierciedlone jest w swego rodzaju „krzyżującej się” konstrukcji książki: w splocie osobistych, nawet intymnych momentów z życia bohaterki, jej miłości i odniesień do historii, wspartych archiwalnymi dokumentami i badaniami specjalistów, a trud pamięci bohaterki został dopełniony autorskim przekształceniem wspomnień w słowo pisane.

Tę opowieść można porównać z podróżą z dnia dzisiejszego do dnia wczorajszego. Dlaczego Gina, będąc w podeszłym już wieku, podjęła się tej niełatwej wyprawy? Czy po to, by ocalić przeszłość dla historii, wierząc, że słowo utrwalone na papierze nie obróci się w proch? Czy nie bacząc na straty, jakie przyniosło jej życie, zatrzymać cenne minuty uciekającego życia? A może czyni to dla swoich potomków? Chociaż z pewnością nie po to, żeby wnuki, nie tylko własne, ale całe „pokolenia wnuków”, żyjących obecnie w innej rzeczywistości i innych mitach, uczyły się na jej przykładzie; przecież każdy uczy się życia od własnego życia. Gina zanurza się w przeszłość nie dlatego, żeby nauczać, pouczać, ale zwyczajnie po to, żeby ludzie wiedzieli. Biografia minionego pokolenia – to „rodzinny” kapitał, który w spadku przechodzi na pokolenie następne. Nie każdemu jest dane pozostawić swoim potomkom coś tak bardzo cennego.

Część I

Pod chupą

Nie wiadomo, gdzie i na którym skrzyżowaniu dróg los zetknął skromną panienkę z zacnej żydowskiej rodziny, Dorę Grinblat i energicznego, śmiałego chłopaka Abrama Wejgsmana. Poznali się i od razu przypadli sobie do serca. Spotkania stawały się coraz bardziej namiętne, wieczorne rozstania coraz trudniejsze. Jak głosi rodzinny przekaz, wkrótce okazało się, że Dora spodziewa się dziecka. Trudno dziś powiedzieć, ile w ich relacjach było młodzieńczej ciekawości, ile porywu uczuć Abrama, a ile dziewczęcej naiwności Dory. O grzechu nawet nie pomyśleli. Nie widzieli niczego zdrożnego w tym, że się pokochali. Zresztą Abram zachował się honorowo i oświadczył się ukochanej.

Przygotowaniom do ślubu towarzyszył pośpiech. Wzniesiono chupę, mężczyźni nałożyli jarmułki i młoda para udała się do najbliższej od domu Grinblatów Synagogi Towarzystwa Moriah w Warszawie przy ulicy Dzielnej 7. Tam w obecności świadków dokonano wpisu w księdze ślubów. Trzeba dodać, że obie rodziny: Wejgsmanowie i Grinblatowie nie zaglądali zbyt często do synagogi, ale kiedy córka niespodziewanie, nie pytając rodziców o zgodę, wybrała się za mąż, postanowili zrobić wszystko tak, jak należy, nie łamiąc nakazów ojców i dziadków.

Pierwsza i niespodziewana miłość Abrama i Dory poświadczona została podpisami. Jak się później okazało – na wieki.

Młodzi małżonkowie rozpoczęli dorosłe życie, a po upływie kilku miesięcy zostali rodzicami. Dora nie miała nawet dwudziestu lat, Abram ukończył zaledwie dwadzieścia dwa. Mimo że z dokumentów Abrama i Dory wynikało, że oboje urodzili się w 1905 roku, to jednak była między nimi niewielka różnica wieku. W oficjalnych dokumentach w tamtych czasach często można było spotkać podobne nieścistości.

Jedenastego stycznia 1926 roku urodziła się dziewczynka uderzająco podobna do ojca: niebieskooka, ciekawska i nad wyraz ruchliwa. Nadano jej imię Hinda. Hinda Wejgsman – rodzicom podobało się zestawienie tego imienia z ich nazwiskiem. Imię pasowało do córki o oczach łani (w tłumaczeniu z jidysz imię Hinda oznacza łanię), a nazwisko Wejgsman to nic innego, jak zniekształcone Wejsman (biały, Weissman) – pięknie pasowało do twarzy dziewczyneczki o alabastrowej cerze.

W domu młodej pary panowały zgoda i spokój, a na ulicach – kipiało.

W maju 1926 roku wskutek przewrotu majowego do władzy znów doszedł marszałek Józef Piłsudski. W październiku stanął na czele polskiego rządu. Rozpoczął się okres, który wszedł do historii Polski jako czas sanacji, autorytarnych rządów i ograniczenia demokracji. Jeżeli chodzi o polskich Żydów, to ich sytuacja nieco się poprawiła. W każdym razie podczas sprawowania rządów przez Piłsudskiego zniesiono, przyjęte jeszcze w czasach carskiej Rosji, ustawy dyskryminujące Żydów. Biorąc pod uwagę fakt, że w niepodległej Polsce Żydzi stanowili prawie 10 procent trzydziestomilionowego narodu (żadne państwo na świecie nie miało tak wysokiego odsetka Żydów w swojej populacji), było to nadzwyczaj ważne posunięcie zarówno dla Żydów, jak i całej Polski. Jednak ustawy ustawami, a realne życie Żydów w Polsce pozostawiało wiele do życzenia. Nie było one bezchmurne także i dla Polaków.

Cokolwiek działałoby się „za oknem”, jakichkolwiek trudności doświadczaliby warszawiacy, którzy stali się zakładnikami walki politycznej i zawirowań gospodarczych, malutka Hinda nie zaznała braku miłości. Była pierwszą wnuczką Grinblatów i pierwszą dziewczynką wśród wnuków w rodzinie Wejgsmanów. Dziadkowie i babcie swoją maleńką „księżniczkę” pokochali nad życie. Nosili ją dosłownie na rękach.

Dawno, dawno temu...

Anszel Grinblat, dziadek Giny, był warszawiakiem. Nie udało się ustalić, kiedy i skąd jego przodkowie przybyli do stolicy Królestwa Polskiego. Sądząc po nazwisku, prawdopodobnie z Galicji. Tam właśnie od XVII wieku grinblatami nazywano woziwodów, którzy beczki z wodą przykrywali zielonymi liśćmi, aby woda w nich się nie nagrzewała (Grünblatt składa się z dwóch niemieckich słów: grün – zielony i Blatt – liść)¹.

W młodości dziadek Anszel służył w armii carskiej, do której został powołany chyba w ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku. Znalazł się w Tule, znajdującej się około dwustu kilometrów na południe od Moskwy. Nazwa tego miasta zachowała się w pamięci całej rodziny z tej prostej przyczyny, że Anszel wrócił stamtąd z żoną Manią, rosyjską Żydówką. Nazwa miasta stale przewijała się w rozmowach Grinblatów między innymi dlatego, że Mania przywiozła z sobą samowar (przeciętnemu Polakowi Tuła kojarzy się wyłącznie z samowarami, więc myśleli: a co innego mogła stamtąd przywieźć?). Była wielką amatorką herbaty i piła ją ze spodeczka. Wprawdzie nie *wprigliadku*” (w biednych rosyjskich domach podczas picia herbaty tylko patrzono na tak zwaną cukrową głowę, która wisiała nad stołem), ale *wprikusku*, czyli odgryzając od kostki cukru ociupinkę po ociupince. Polscy krewni nie przestawali się dziwić. Z czasem oczywiście przyzwyczaili się do czegoś tak im nieznanego, jednak niekiedy szeptali między sobą: „Ależ dziwni są ci Rosjanie, nawet nie umieją pić herbaty, jak normalni ludzie”.

Mania była nieprawdopodobną czyścioszką. Bardzo dokładnie zmywała podłogi – nie każdy majtek potrafiłby tak dokładnie wyszorować pokład żaglowca, a na umytą podłogę kładła chodniczki, starannie wygładzając każdą zmarszczkę. Jej szczególne zamiłowanie do czystości było przedmiotem częstych drwin Grinblatów, a później także Wejgsmanów. Trzeba powiedzieć,

¹ Nazwisko to w różnych językach i transkrypcjach brzmi jak Greenblat, Greenblatt, Grinblat, Grinblatt, טלבונירג.

że choćby nie wiadomo jak polscy krewni żartowali sobie z Mani, w tym także z jej nie do wykorzenia rosyjskiego akcentu, to jednak przyrządzone przez nią popisowe dania: rosyjski barszcz i śledzie na sposób rosyjski wszyscy zmiotali momentalnie ze stołu, prosząc zawsze o dokładkę.

Babcia Mania nie pracowała, prowadziła dom i zajmowała się wychowywaniem dzieci. A było ich czworo: trzy córki – Dora, Ewa i Mania, nazwana tak na cześć matki, Manię nazywano Maszą, aby uniknąć zamieszania, oraz ulubieniec wszystkich, *charmant*, czarujący – jedyny syn Felek.

Utrzymanie całej rodziny zapewniał niestrudzenie pracujący Anszel – głowa rodziny. Co ciekawe, Anszel pracował w sądzie; nie zajmował co prawda jakiegoś eksponowanego stanowiska, prawdopodobnie był pisarczykiem. Chociaż zgodnie z Konstytucją z 1921 roku w Polsce oficjalnie zabroniona była jakakolwiek dyskryminacja na tle religijnym, rasowym czy przynależności narodowej, Żydzi nie byli traktowani na równi z Polakami, jeżeli chodzi o zatrudnienie w państwowych urzędach. Jednak, jak widać, zdarzały się wyjątki.

Dziadek i babcia Grinblatowie mieszkali na Muranowie, na ulicy Niskiej pod numerem 12. Okna ich mieszkania wychodziły na ulicę i były jedynymi w całym domu, które lśniły czystością. Gina z łatwością rozpoznawała je jeszcze i dlatego, że nikt z mieszkańców nie miał tak pięknych kwiatów – babcia bardzo o nie dbała. W pamięci Giny pozostała jeszcze komenda wojskowa, która znajdowała się tuż obok domu. Na dziewczynce najwyraźniej robili wrażenie wchodzący i wychodzący z komendy przystojni, wysocy mężczyźni w mundurach, z bandolierem ciasno opinającym postawną sylwetkę i kaburą pistoletu przypiętą do pasa.

Ulica Niska w jakiś oczywisty sposób od dawna była podzielona na dwie części: w jednej z nich, którą miejscowi nazywali w jidysz *Toyte Gas*, co w tłumaczeniu oznacza Cichą albo Martwą ulicę, zamieszkiwali lepiej usytuowani Żydzi – tutaj mieszkała rodzina Grinblatów, natomiast w drugiej części ulicy – biedota: handlarze drobiazgów, mający swoje stragany, robotnicy

przeładunkowi i tragarze. Był tam potworny zgiełk, który nie milkł nawet nocą. Ulica tętniła różnorodnym gwarem, ale przeważał jidysz. W okresie międzywojennym Muranów był głównie żydowską dzielnicą, gdzie osiedlali się przybysze z Litwy i Białorusi. Tutaj gnieździło się tysiące i tysiące Żydów – wielu z nich w piwnicach i na strychach zaniedbanych budynków czynszowych. Niektórzy wynajmowali kącik w pokoju, w którym było tylko jedno miejsce do spania i członkowie rodziny spali na nim po kolei.

Dziadek i babka Wejgsmanowie (znani jako Weksmanowie lub Wegsmanowie) – Szyja i Etlą (Etel), z domu Cweczkenbaum, mieszkali na drugim, prawym brzegu Wisły, na Pelcowiźnie, na biegnącej wzdłuż rzeki ulicy Modlińskiej, która wydawała się być nieskończenie długa.

Mieszkali w ciasnocie. Dziadek Szyja był szewcem, miał swój warsztat w mieszkaniu. W jednym kącie piętrzyły się rulony ze skórą, w drugim stała nieduża maszyna do szycia, pod nogami leżały rozrzucone kawałeczki gumy. Rodzina ledwo wiązała koniec z końcem, klientów najwidoczniej nie było zbyt wielu, i Gina niejednemu raz słyszała trwożne rozmowy o tym, w jaki sposób łączyć pieniądze, by z początkiem miesiąca rozliczyć się z gospodarzem za mieszkanie. W latach trzydziestych XX wieku opłata za wynajem mieszkania pochłaniała znaczną część dochodów. Ci, którym wypadło żyć w tamtym czasie opowiadają, że za mały pokój z kuchnią trzeba było zapłacić 82 złote miesięcznie, co stanowiło wówczas ponad trzy czwarte zarobku robotnika i po opłaceniu czynszu na życie dla całej rodziny zostawało około 20 złotych.

Kamienicznicy bardzo pilnowali swoich interesów i za dwumiesięczne spóźnienie w zapłacie wyrzucali lokatorów razem z ich dobytkiem na ulicę. Takie sytuacje zdarzały się często. Zrozumiałe, że Wejgsmanowie żyli w stałym napięciu.

Gina zapamiętała dziadka Szyję jako surowego człowieka. Był, jak to się mówi, mężczyzną z charakterem. Jednak babcia Etlą miała na niego swoje sposoby. Dawała sobie także radę z dziećmi. Było ich siedmioro: trzech synowie

– Abram, Chaim i Naftali oraz cztery córki – Sonia, Mania, Dora i Henia². Wszyscy zmuszeni byli pracować już od młodości lat – inaczej nie dałoby się przeżyć. Bieda pukała do drzwi ich domu.

Gina spędziła dzieciństwo w dużej i zgodnej rodzinie. Wystarczy powiedzieć, że dwóch braci Wejgsmanów ożeniło się z siostrami Grinblat: żoną Abrama, jak już wiemy, została Dora, a żoną Naftalego – Masza. W święta spotykało się 17 dorosłych osób z dwóch rodzin: Grinblatów i Wejgsmanów. Wpadali do nich także i dalsi krewni. Nawet przy ogromnym rozkładanym stole nie starczało miejsca dla wszystkich. Gdy pojawiły się wnuki, zrobiło się jeszcze ciaśniej. Ale za to jak było wesoło! Wejgsmanowie byli rozśpiewaną, jak słowiki, rodziną. Wspaniale śpiewali, przede wszystkim w języku jidysz, którego Gina nie znała. Czy jednak dobrej piosence potrzebny jest tłumacz?

² Zwróćmy uwagę, że wiele imion w rodzinach Grinblatów i Wejgsmanów powtarza się: Dora – matka Giny; Dora (dalej Dorka) – ciotka Giny, siostra jej ojca. Mania – babcia Giny ze strony matki; Mania lub Masza – ciotka Giny, siostra jej matki; Mania – ciotka Giny, siostra jej ojca.

Ojciec i matka: wybór

W licznej rodzinie Grinblatów-Wejgsmanów w razie potrzeby wszyscy sobie w miarę możliwości pomagali. Kiedy Abram został wcielony do wojska (powołanie do Sił Zbrojnych w II Rzeczypospolitej było obowiązkowe) i Dora została sama z niemowlęciem przy piersi, pomoc krewnych okazała się nieoceniona. Tym bardziej, że ona sama musiała szukać pracy, aby utrzymać się przy życiu. Wykształcenia specjalnego nie miała, doświadczenia zawodowego prawie wcale. Musiała zadowolić się pracą zwyczajnej robotnicy w fabryce zapalek „Płomyk” na Pelcowiźnie.

Gina opowiada: „Już w powojennej Polsce mama niekiedy wspominała zdawałoby się mało znaczący fakt z jej życia. Wiecie dlaczego? Otóż zbiegiem okoliczności jej koleżanką w fabryce była Liwa Szoken, partnerka Władysława Gomułki. Był on członkiem Komunistycznej Partii Polski od 1926 roku, z czasem stał się ważnym jej działaczem, znanym pod pseudonimem Wiesław, a w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – wszechmogącym pierwszym sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej³. Liwa była komunistką prześladowaną za swoje przekonania, (Komunistyczna Robotnicza Partia Polski w rok po jej powstaniu, w 1918 roku, została zdelegalizowana i wielu jej aktywistów niejednym razem wtrącano do więzienia za działalność «antypaństwową», w tym także Liwę i Władysława)⁴. Ten epizod z lat młodości mamy, dotyczący pracy w fabryce z żoną samego Gomułki, był przedmiotem jej dumy. Teraz tak sobie myślę, że była to szczególnego rodzaju «ludowa» naiwność z domieszką proletariacko-partyjnego snobizmu...”

³ Władysław Gomułka i Liwa Szoken wzięli ślub w 1950 r., kiedy ich syn Ryszard Strzelecki miał dwadzieścia lat. Gomułka był w latach 1943-1948 pierwszym sekretarzem Polskiej Partii Robotniczej, a w latach 1956-1970 – Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

⁴ Komunistyczna Robotnicza Partia Polski została przemianowana na Komunistyczną Partię Polski w 1925 r. Pozostawała nielegalna do samego końca jej istnienia, tj. do 1938 r.

Z komunistycznymi ideałami Dora pierwszy raz zetknęła się w fabryce „Płomyk” za sprawą płomiennych przekazów towarzyszki Zofii – Liwa znana była w partii z tego imienia.

Tak się złożyło, że w tym samym czasie komunistyczne idee przeniknęły do serca i umysłu Abrama.

Prawdopodobne wydaje się przypuszczenie, że pobyt w wojsku wywarł na nim duży wpływ. Słowa wojskowych agitatorów partyjnych trafiły na podatny grunt i zrobiły swoje: Abram od dzieciństwa widział z jednej strony społeczną niesprawiedliwość, nieludzki wyzysk, bogactwo możnych tego świata i uzurpowanie przez nich wszystkich praw, a z drugiej – skrajną nędzę robotników pozbawionych wszystkich praw.

Po odbyciu półtorarocznej służby wojskowej wrócił do domu do młodej żony i malutkiej córeczki już jako inny człowiek, który był gotów ryzykować nawet spokój i dobro rodziny w imię zniesienia kapitalizmu i zwycięstwa ideałów internacjonalizmu. Niespokojny duch Abrama łaknął społecznego działania. W międzywojennej Polsce istniało wiele ku temu możliwości. Funkcjonowało mnóstwo partii, działały różne organizacje polityczne, w tym żydowskie. Syjoniści różnych orientacji głosili powrót Żydów do Palestyny; lewicowo-socjalistyczny Powszechny Żydowski Związek Robotniczy Bund występował przeciw repatriacji do historycznej ojczyzny i asymilacji, a jednocześnie działał na rzecz demokracji, rozwoju sieci opieki socjalnej i oświaty Żydów; Żydowska Narodowa Partia stawiała sobie za cel uzyskanie prawa do żydowskiej autonomii w Polsce, natomiast Związek Polaków Wyznania Mojżeszowego był organizacją zwolenników asymilacji w polskim społeczeństwie. Syjoniści mieli swoje przedstawicielstwo nawet w Sejmie.

Abram Wejgsman był daleki od syjonizmu, do ojczyzny praojców nie ciągnęło go, do syjonistycznej „skarbonki” *Keren Kajemet* nie wrzucił ani grosza. Chociaż we własnych oczach był Żydem – niereligijnym, nieortodoksyjnym, ale też i niezasymilowanym. On był gdzieś „pomiędzy”. Jego

pierwszym językiem był jidysz, ale mówił też po polsku i jak gdyby nie zauważał ściany oddzielającej go od Polaków. Równocześnie nie należał do tych, którzy odżegnywali się od własnego języka i własnych tradycji. Nie podzielał też celu folkistów: stworzenie żydowskiej autonomii – bez wątpienia uważając go za półśrodek.

Abram potrzebował bardzo poważnego celu i radykalnych działań. Walka o żydowską sprawę była dla niego zaledwie częścią walki o ogólnospołeczną sprawiedliwość. Celowi temu odpowiadała działalność Partii Komunistycznej.

Abram był niezłym stolarzem, ale zamiast stolarce więcej uwagi poświęcał pracy propagandowej, edukując nieświadomych jeszcze swych praw kolegów-robotników. Z tego powodu nie pracował zbyt długo w jednym miejscu; pracodawcy zwalniali go za agitację i organizację protestów. Gina mówi: „Jak sięgam pamięcią, ojciec częściej szukał pracy, niż pracował. Na szczęście nie trafił pod sąd. Więzienia były w tym czasie przepelnione więźniami politycznymi. Ojciec znał osobiście niektórych byłych więźniów, komunistów działających w podziemiu. Z pewnością w celach konspiracyjnych zabierał mnie często z sobą, gdy szedł do nich z tak zwaną wizytą, aby omówić ważne kwestie partyjne”.

Abram nie znał strachu.

Mało tego, losy światowej demokracji były dla niego tak ważne, że w 1936 roku był nawet gotów „spełnić swój internacjonalistyczny obowiązek” i jako ochotnik pojechać do Hiszpanii. Tysiące Polaków jechało walczyć z faszyzmem po stronie republikanów, a jeszcze więcej było takich, którzy o tym marzyli. Ale rodzina Grinblatów i Wejgsmanów, apelując do poczucia odpowiedzialności, potrafiła odwieść Abrama od tego zamiaru. Nie mógł pozwolić sobie tak zwyczajnie pójść pod kule i ryzykować pozostawienie żony i córki na pastwę losu, bez środków do życia.

Rodzina pomogła również wtedy, gdy z powodu ciągłych zmian miejsca pracy Abrama, życiowy okręt Wejgsmanów omal nie zatonął.

Tym razem wtrącił się szwagier Grinblatów – Znamirowski, który był właścicielem warsztatów meblarskich. Postawił Abramowi warunek: „Możesz agitować, gdzie tylko chcesz, tylko nie w moich warsztatach”. Zdaje się, że Abram wziął sobie do serca słowa szwagra i przepracował u Znamirowskiego dość długo, zajmując się agitacją jedynie w wolnym czasie.

Jeżeli chodzi o mamę, to ona wcale nie miała wolnego czasu – tak Gina pamięta z czasów dzieciństwa. Zawsze była na dalszym planie, jakby tłem dla ojca, a nawet więcej, była ledwo widocznym jego odbiciem. Może miała ona wrodzoną cechę: być niezauważalną, cichą, nienarzucającą się. Może stało się tak dlatego, że wcześniej wyszła za mąż i przez wszystkie kolejne lata była za-mężem w dosłownym tego słowa znaczeniu. Gina często słyszała, jak mama, gdy szło o podjęcie ważnej decyzji rodzinnej, powoływała się na ojca: „Jak Abramek uważa, Abramek wie lepiej, Abramek ma rację...”. A może było tak, że mama po prostu bezgranicznie szanowała i bezwarunkowo kochała ojca. Jego pasjom i jego namiętności, wspomina Gina, naprawdę nie można było nie ulec. To było niemożliwe. I niepotrzebne.

Spacery bliskie i dalekie

Abram i Dora wynajmowali mieszkanie przy ulicy Zamenhofa 24 na Muranowie. Miejscowi nazywali ją z przyzwyczajenia ulicą Dziką albo jeszcze częściej Żydowską. Swoją nową nazwę otrzymała dopiero w 1930 roku.

O doktorze Zamenhofie, twórcy esperanto, opowiadał Ginie dziadek Anszel Grinblat. Na domu, w którym mieszkał, nie było wtedy stosownej tablicy pamiątkowej, ale o tym, kim był Zamenhof, wielu mieszkańców Muranowa wiedziało. Dziadek Anszel też wiedział, a jego syn Felek zabrał się nawet z entuzjazmem za naukę tego międzynarodowego języka, „stworzonego dla pokonania barier między narodami”, ale z czasem zamiłowanie do sportu przeważało i Felek rzucił naukę esperanto.

Spacery po Muranowie Gina określała po swojemu: na bliskie i dalekie. Bliskie były z mamą, która wychodziła z domu załatwiać różne sprawy i nieustannie spieszyła się z powrotem – pozwalała sobie najwyżej na zatrzymanie się przy kinie i obejrzenie kolorowego plakatu. Gina domyślała się, że kino było cichą i sekretną pasją mamy.

Na dalekie spacery Gina chodziła z dziadkiem Anszelem. Przechadzka zaczynała się od ulicy Zamenhofa, gdzie było dużo warsztatów kamieniarskich, i oboje z dziadkiem obserwowali załadunek dużych i ciężkich płyt na chybotące się wozy.

Dziadek znał Muranów jak własną kieszeń, orientował się w przejściach i wyjściach; chcąc zadziwić wnuczkę, prowadził ją przez przechodnie podwórza na ulicę Nalewki. Tutaj był prawdziwy żywioł: dzwoniły tramwaje, turkotały załadowane ciężarówki, a konie, zaprzężone w transportowe wozy i różnego rodzaju furmanki, stukały kopytami. Ludzi na ulicach było bez liku: obnośni handlarze z małymi kramikami na szyi, tragarze z tobołami i pakunkami, przenoszący towary z magazynów do sklepów, gospodynie domowe, wędrujące od „Goldsteina” do „Jakubowskiego” i z powrotem w poszukiwaniu lepszych i

tańszych towarów, stateczni rabini w długich czarnych surdutach i wysokich czarnych kapeluszach, uczniowie chederów o bladych twarzach z foliałami pod pachą...

„Dziadek, gdy tylko spotykaliśmy tych chłopców, natychmiast kazał mi czytać szyldy, których było wyjątkowo dużo. Uczył mnie w taki sposób czytania, – mówi Gina. Najbardziej ze wszystkiego robił na mnie wrażenie tłum, przez który dosłownie przedzieraliśmy się. Zdarzało się tak, że aby przejść dalej, byliśmy zmuszeni zejść z chodnika na brukowaną jezdnię. Wszystko mnie ciekawiło. Szczególnie lubiłam przyglądać się wysokim budynkom z balkonami i ich metalowymi ażurowymi balustradami. Zawsze wyczekiwałam, aż ktoś pojawi się na balkonie. Jednak nigdy nikogo nie zobaczyłam. Widać, wszyscy byli niesamowicie czymś zajęci”.

Tak naprawdę życie na Muranowie uspokajało się tylko w sobotę i tylko po to, żeby zaraz po zachodzie słońca ożywić się z nową siłą.

W słotne dni wchodziliśmy z dziadkiem zziębnięci i nieraz przemoczeni do sklepu z artykułami sportowymi na Bielańskiej, żeby ogrzać się (tam pracował Felek) albo zaglądaliśmy do znajdującego się niedaleko salonu fryzjerskiego, w którym pracowała siostra mamy, ciotka Ewa królująca wśród kobiet niczym Afrodyta.

Gdy świeciło słońce i wiatr przepędzał chmury, wybieraliśmy się do parku Krasińskich, jak mawiał dziadek na „łono przyrody”. Na ulicach Muranowa drzew prawie nie było.

Po spacerze często wracaliśmy do Grinblatów na Niską, starając się jak najszybciej minąć ulicę Miłą – brudną i zaniedbaną przystań biedoty. Wtedy dziadek zawsze podśpiewywał sobie: „Ulica Miła wcale nie jest miła. Ulicą Miłą nie chodź, moja miła...”. A w domu niezmiennie, jak niezmienny był numer domu namalowany przy wejściu, czekała na nas babcia Mania z gorącymi pierogami i posapującym samowarem.

Dzięki dziadkowi poznałam przedwojenny Muranów, którego śladów dziś

już nie ma. A jeśli chodzi o piosenkę o ulicy Miłej skomponowanej, jak byłam pewna, przez mojego dziadka, to o wiele później dowiedziałam się, że wiersz był napisany przez młodego wówczas, lecz dość znanego już poetę Władysława Broniewskiego”.

Przeprawa przez Wisłę

Abram Wejgsman, który nareszcie zatrzymał się na dłużej w jednym miejscu pracy, zaczął nieźle zarabiać i w 1932 roku rodzina postanowiła przeprowadzić się z dość ciasnego mieszkania na Muranowie na drugi brzeg Wisły w rejon Pelcowizny.

Wypada w tym miejscu powiedzieć kilka słów o samej Pelcowiźnie – dawnym przedmieściu Warszawy, która już w latach trzydziestych wchodziła w skład stołecznego, ponadmilionowego miasta.

Swoją nazwę osada zawdzięcza legendarnej karczynie, należącej do niejakiego Pelca (mogło to być jego przezwisko, dlatego że głównym zajęciem tutejszych mieszkańców było wyprawianie skór futerkowych (*Pelz* po niemiecku, to właśnie futro). Karczma była jego ulubionym miejscem spędzania wolnego czasu, tak jak zresztą mieszkańców niedużej wówczas osady Pelcówka, oraz tych, którzy przejeżdżali przez nią tranzytem i zatrzymywali się tutaj, aby nabrać sił, pojeść do syta i wychyliwszy szklaneczkę-dwie jakiegoś rozgrzewającego alkoholu, przedłużyć swoją podróż modlińskim traktem – do Warszawy. Najstarsi mieszkańcy mówili, że karczma znajdowała się u zbiegu ulic Toruńskiej i Jagiellońskiej. Ale w tym czasie, kiedy na Pelcowiźnie zamieszkali Wejgsmanowie, żadnej karczmy już nie było. W tym miejscu stały stuletnie dęby. Możliwe, że w ich cieniu odpoczywali tutaj kiedyś bywalcy przydrożnego alkoholowego przybytku. Z całą pewnością wiadomo, że osada wokół karczmy istniała jeszcze w 1826 roku. Tak więc dęby, które w dzieciństwie widziała Gina, miały faktycznie nie mniej, niż sto lat.

Osada Pelcówka rozrosła się czasie, gdy niedaleko rozpoczęła się budowa stacji Nadwiślańskiej Kolei (wąskotorówki). Wygodnie było mieszkać budowniczym kolei i kolejarzom w jej pobliżu. Około 1916 roku Pelcówkę zaczęto nazywać – dla dodania powagi – Pelcowizną.

W tamtym czasie na lewym brzegu Wisły mieszkała arystokracja, inteligencja, urzędnicy państwowi, a na Pelcowiznie osiedlali się głównie robotnicy i kolejarze (Gina pamięta mężczyzn w mundurach i czapkach, którzy wyróżniali się na ulicach spośród innych), a także właściciele małych firm, warsztatów, sklepików: Polacy, Żydzi i Niemcy. Co ciekawe, stosunki między nimi układały się nieźle i atmosfera była jeżeli nie przyjacielska, to w żadnym wypadku nie była wroga. Tutaj można było zaobserwować dość rzadką jak na Warszawę scenkę: przechadzających się po Modlińskiej i rozmawiających z sobą w całkowitej zgodzie – zapewne na poważne tematy – księdza i rabina. Drewniana synagoga znajdowała się w odległości kilkudziesięciu metrów od kościoła św. Jadwigi, także drewnianego.

Jedną z głównych ulic Pelcowizny była Warmińska, zabudowana, z chodnikami, gazowymi latarniami – postawiono je akurat w połowie lat trzydziestych XX wieku, jakby na czas przeprowadzki Wejgsmanów. To, co rzucało się w oczy, to zdumiewająca czystość na Warmińskiej, dlatego rodzice wynajęli mieszkanie właśnie tam (o tym, żeby kupić nieruchomość na własność nie mogło być mowy).

Gina wspomina: „Nasz dom na Warmińskiej pod numerem 17 stał na fundamencie z cegły, był drewniany, ciepły, przytulny i podłączony do kanalizacji. Większość domów na Warmińskiej wyglądała podobnie. Były one zbudowane jeszcze w carskich czasach niedaleko wojskowego garnizonu, stacjonującego na przedpolach stolicy Królestwa Polskiego. Nie wolno było wtedy budować kamiennych domów. Rosyjskie władze uważały, że w przypadku wzniesienia przez *polaciszek* powstania, prościej będzie zniszczyć drewniane domy i w ten sposób utworzy się przestrzeń dla działań bojowych. Jedynym wyjątkiem na tej ulicy był kamienny dom dentysty, górujący nad naszym skromnym drewnianym. Prawdopodobnie został zbudowany już w niepodległej Polsce”.

Nowe mieszkanie miało dwa pokoje w układzie amfiladowym z

przylegającą do nich kuchnią. W mieszkaniu były wysokie sufity; w dużym pokoju na jednej ścianie znajdowały się dwa okna, które wychodziły na ulicę. Taki układ okien stanowił o prestiżu mieszkania, w przeciwieństwie do tych z oknami, wychodzącymi na podwórze. Na reprezentacyjnej ścianie między oknami wisiał portret Giny z psem. Meble i wszystkie inne rzeczy znalazły tu swoje miejsce. Gina od razu polubiła to nowe, zalane światłem mieszkanie.

W tym domu wynajmowali pokoje Żydzi. Był tu tylko jeden jedyny Polak, dozorca Krajewski, wdowiec, mieszkający z siódmką dzieci w oficynie, niesłychanie pracowity i cudowny człowiek. Ludzie żyli przeważnie skromnie, ale nie biedowali. Bardziej zamożnych Gina rozpoznawała po tym, że mieli radiodbiornik, którego dźwięki słychać było na całym podwórku. Inni nie mieli takiego cudu techniki, tak jak nie mieli telefonów.

Spośród sąsiadów Gina zapamiętała szklarza, zawsze zadbanego i schludnego, który ze szkłem w wiszącej na plecach drewnianej ramie robił obchód kolejno po wszystkich podwórzach Pelcowizny, zachwalając donośnym głosem swoje usługi. Gina nieraz czekała, kiedy szklarz przejdzie obok ich okien, ponieważ jego szyby błyszcząły w słońcu i odbijające się od nich słoneczne zajaczki wpadały do mieszkania Wejgsmanów skacząc wesoło po ścianach i po kątach. Wszyscy sąsiedzi zwracali się do szklarza z szacunkiem, wyjątkowo po nazwisku – Wildenberg – jakby wcale nie miał imienia. Dziewczyńce Ginie zdawało się, że jego nazwisko pasuje do jakiegoś przepięknego księcia, no, ostatecznie do hrabiego z bajki braci Grimm: Wil-den-berg – Dzika Góra... Wildenberg miał dwóch synów, z którymi miał dobre relacje. W każdym razie kłótni między nimi na podwórzu nikt nigdy nie słyszał.

Drugi sąsiad, rzeźnik, pan Kac miał inny stosunek do swoich dzieci. Raz po raz zabierał się za tak zwane wychowywanie synów. Zdejmował pasek z dużą klamrą i dziko wymachując nim groził i krzyczał na cały głos, że jeszcze trochę i przejedzie nim po pewnej, wiadomej części ciała. Oczywiście całe podwórko było świadkiem takich scen.

Gina zapamiętała jeszcze rodzinę wiecznie ubrudzonego sprzedawcy węgla z sąsiedniego podwórka, ponieważ była ona najbiedniejszą w najbliższej okolicy. Zapamiętała także rytuał, jaki towarzyszył zakupowi węgla. Kiedy klienci z pobliskich ulic pojawiali się na podwórzu, sąsiad zniknął w piwnicy, jakby zjeżdżał do kopalni i za jakiś czas wyłaził stamtąd jeszcze bardziej ubrudzony, cały w węglowym kurzu z wiaderkiem cennego opału.

Wśród sąsiadów byli wierzący Żydzi albo tacy, którzy przestrzegali tradycji, ale nie byli religijni. W jednej klasie z Giną uczyła się dziewczynka z ortodoksyjnej rodziny; jej rodzice nie wpuszczali Giny nawet za próg ich domu. Bali się złego wpływu „bezbożnego” dziecka Wejgsmanów na ich córeczkę. Gina opowiada: „Co ciekawe, niektórzy żydowscy sąsiedzi uważali się za wierzących; w każdą sobotę zapalali świece, ale podczas *Jom-Kipur*, kiedy trzeba było pościć, ukradkiem wpadali do nas, żeby przekąsić coś smacznego. A moi rodzice – ciągnie swoją opowieść ze szczególną dumą Gina – nigdy nie byli obłudnikami. Mojemu ojcu obca była świętoszkowatość, a i mama nigdy nie była hipokrytką”.

Był jeszcze jeden sąsiad, Appelbaum, który prowadził sklep spożywczy. Gina pamięta, jak wszyscy mieszkańcy podwórza odprowadzali jego synów wyjeżdżających do Palestyny.

W tym momencie konieczna jest dygresja.

Na początku lat trzydziestych XX wieku, tuż przed wielkim światowym kryzysem ekonomicznym, prostym ludziom żyło się bardzo ciężko. Poziom życia robotników gwałtownie spadł: jedni bardziej zaciskali pasa, inni – a było ich tysiące – emigrowali za chlebem do Ameryki. I jak zwykle, im bardziej skomplikowana była sytuacja gospodarcza kraju, tym bardziej ujawniały się nastroje nacjonalistyczne.

Zgodnie z wiarygodnymi źródłami w latach 1935-1937 w antysemitycznych pogromach zginęło 97 Żydów a około 500 było rannych. Skrajnie prawicowe siły ogłosiły bojkot żydowskich przemysłowych i handlowych przedsiębiorstw.

Hasło: „Swoj do swego po swoje” było bardzo popularne. Nasiliła się dyskryminacja Żydów na uniwersytetach, gdzie wprowadzono tak zwane getto ławkowe (od 1932 roku, a w szczególności w latach 1936-1937), zgodnie z którym Żydzi otrzymywali legitymacje ze wzmianką o ich pochodzeniu i ze wskazaniem miejsc, jakie mogli zajmować w uniwersyteckich salach wykładowych. W 1937 roku wprowadzono *numerus clausus* – był to limit dla studentów pochodzenia żydowskiego ustalony na wyższych uczelniach na poziomie 10 proc. ogólnej liczby studentów. Antysemickie przejawy były powszechne także w codziennym życiu. A oto jeszcze jeden mały, ale jakże znaczący dowód społecznych nastrojów w tamtym czasie: nawet w książce telefonicznej z 1930 roku „Cała Warszawa”, wyraźnie dźwięczały nacjonalistyczne nutki. W przedmowie do książki podkreślono: „Warszawa – stolica, gdzie we wszystkich dziedzinach bez wyjątku króluje polski duch, wolny od wszelkich obcych wpływów”. I to w mieście, gdzie jedną trzecią część ludności stanowili Żydzi!

Żydowskie partie walczyły przeciwko ograniczaniu praw obywatelskich Żydów i ekonomicznemu naciskowi, ale szczególnych osiągnięć w tej walce nie odnotowały.

Odpowiedzią Żydów na prześladowania była *alija* – emigracja do ziemi izraelskiej. W latach 1929-1939, w ramach legalnej kwoty imigracyjnej do Palestyny, wyjechało 12 tysięcy polskich Żydów. W tych samych latach wiele tysięcy Żydów wyjechało z Polski nielegalnie.

Jednak Wejgsmanowie nie myśleli o wyjeździe. Abram był pod wpływem idei zbudowania lepszego, bardziej sprawiedliwego życia zarówno dla Polaków, jak i Żydów tam, gdzie on i miliony innych urodzili się i wychowali, na ziemi, do której byli przywiązani – w Polsce. Uważał, że temu właśnie celowi należy poświęcić swoje życie.

Gina wspomina, jak każdego ranka ojciec ubierał się w robocze ubranie, brał z sobą śniadanie przygotowane z wieczora przez mamę i wyruszał razem z sąsiadami do pracy. Wielu z tych, którzy mieszkali na Pelcowiźnie, tutaj też pracowało, dojeżdżali wąskotorówką, którą pieszczotliwie nazywali «samowarkiem» lub «ciuchcią», która bez przeszkód wiozła ich do centrum miasta do samego mostu Kierbedzia. To pewne, że po drodze do pracy ojciec nie tracił czasu. Wybierał takie tematy rozmów, które nie pozostawiały robotników obojętnymi. Mówił z pasją, umiał być przekonujący, słuchano go uważnie. Jeżeli chodzi o wykształcenie, to ukończył tylko *cheder*, ale niewykluczone, że zdążył jeszcze pouczyć się około dwóch lat w polskiej szkole powszechnej. Szkoły powszechne były obowiązkowe od 1919 roku, gdy Abram miał 14 lat. W tym wieku po uroczystości *bar micwy* chłopcy zwykle już pracowali. Widocznie bystrość umysłu i niezachwiana wiara w słuszność tego, co robi, sprawiały, że ludzie szli za nim.

Gina wspomina: „Na Pelcowiźnie ojciec organizował tajne młodzieżowe spotkania partyjne w ustalonym miejscu za składami drewna. Miejsce to miało swoją umowną nazwę «Przy Czarnym Płocie». Jakiś płot rzeczywiście tam był, ale nazwa miejsca wynikała raczej z konspiracyjnej konieczności, aby wprowadzić w błąd tych, którzy o spotkaniu nie powinni byli wiedzieć. Chodzi o to, że miejsce o nazwie «Czarny Płot» istniało naprawdę. Było niebezpieczne i nawet straszne – w Gołędzinowie. Tam zbierał się tak zwany przestępczy element: bandyci, złodzieje, prostytutki – jednym słowem, dno prawobrzeżnej Warszawy-Pragi – jednej z najbiedniejszych dzielnic stolicy.

Podjmowano także inne środki ostrożności, ponieważ szpicle śledzący nielegalnych komunistów węszyli wszędzie. Na czatach wystawiano mnie, dwunastoletnią dziewczynkę. Ojciec wyraźnie określał, na czym miało polegać moje „partyjne” zadanie: dać znać, gdy tylko na horyzoncie pojawi się jakikolwiek człowiek, a ja, przepełniona poczuciem odpowiedzialności za powierzone mi zadanie, spacerowałam wzdłuż płotu uważnie rozglądając się

dookoła”.

Działaczami podziemia byli także inni członkowie rodziny Wejgsmanów. Siostra ojca – ciocia Dorka – wcale nie na żarty pasjonowała się partyjną działalnością. Gina pamięta, jak 1 Maja, w dniu Międzynarodowej Solidarności Pracujących, ona i jej mąż bardzo sprawnie zarzucali małe czerwone flagi na elektryczne przewody linii tramwajowych. (Aby uniknąć śledzenia, w te dni nie wracali do domu na noc). Takich śmiałków oddanych wielkim ideom w tamtych latach było wielu. Później ich życie układało się różnie. Jeżeli chodzi o Abrama Wejgsmana – pozostał wierny swoim młodzieńczym ideałom do samego końca.

Nowy kontynent

Dziewczynka Gina z samozaparciem spełniająca „partyjne” polecenia ojca, miała, co oczywiste, swoje dziecięce sprawy. Każdy dzień przynosił jakieś nowe odkrycie; jeszcze i dlatego, że prawobrzeżna Warszawa była dla niej zupełnie nowym kontynentem.

Na Pelcowiznie Gina poszła do polskiej szkoły powszechnej na Modlińskiej. Rodzice oddali ją tam, chociaż były żydowskie szkoły powszechne, tak zwane szabasówki, w których sobota była dniem wolnym od nauki. Widocznie rodzice chcieli, aby ich córka świetnie знаła język polski. Było to całkowicie zgodne z ich zamiarem pozostania w Polsce.

Przeważająca liczba uczniów, co rozumiały, pochodziła z polskich rodzin. Na przykład w klasie Giny były tylko trzy żydowskie dziewczynki, które nie chodziły na lekcje religii i w wolnym czasie bawiły się na szkolnym podwórku lub odrabiały zadanie domowe.

Szkoła była koedukacyjna. Budynek nowiutki, wszędzie było bardzo czysto. Nie to co szkoły, o których mówiono z obrzydzeniem, że klasy są tam brudne, wilgotne i panuje w nich nieopisana duchota. Wchodzenie każdego ranka przez świeżo pomalowaną zieloną bramę nowej szkoły było czystą przyjemnością. A jak miło było brylować wśród dzieci w granatowej sukience z białym, koronkowym kołnierzem i fartuszku z plisowanymi skrzydełkami, wywołując zawiść koleżanek!

Zachowanie Giny było wzorowe. I nic w tym dziwnego, rodzice wychowywali ją według surowych zasad. Gina przypomina sobie, że Warmińska była główną ulicą handlową Pelcowizny. „Tutaj na zakupy przychodzili mieszkańcy okolicznych ulic, a dla nas wszystkich sklepy były na wyciągnięcie ręki, – mówi. – Mama często zabierała mnie z sobą na zakupy. Pewnego dnia u rzeźnika zauważyłam, że wszystkie kobiety kupują wyłącznie mięso bez kości, a kości odkładają na bok. Pomyślałam, że te nikomu

niepotrzebne kości mogą nam się przydać i ostrożniutko przysunęłam jedną z nich do naszej siatki z zakupami. To oczywiście nie uszło uwadze mojej mamy. Zamiast cichutko szepnąć mi do ucha słowo o niestosowności mojego zachowania, skarcić mnie, mama na cały głos – tak, aby wszyscy usłyszeli, powiedziała do sprzedawcy: «Moja córka ukradła kość. Proszę wezwać policję». Żart? Owszem, ale taki, który pamiętam do dziś. Był to przykład sposobu wychowania w mojej rodzinie. Ostrego, stanowczego, czyż nie? Ale odtąd moją ręką nigdy już nie wyciągnęła się po coś, co nie należało do mnie – nawet jeżeli była to kość, która mogła uratować mnie przed śmiercią głodową”.

Gina lubiła w szczególności lekcje języka polskiego. Bała się lekcji geografii, ponieważ słyszała od swoich żydowskich koleżanek z klasy, że wykładowca geografii jest antysemitą. Domyślała się, że to słowo oznacza coś niedobrego, ale jego dokładnego znaczenia nie rozumiała, nie decydowała się zapytać o to rodziców. W domu tego słowa nie słyszała. Chroniąc Ginę od kłopotów, matka z ojcem rozmawiali na dorosłe tematy w języku jidysz.

Pewnie ten nauczyciel geografii – kto wie, czy był faktycznie antysemitą, - nigdy nie przypuszczał w dalekim 1935 roku, że jego wystraszona mała uczennica będzie musiała w dalszym swoim życiu uczyć się jego przedmiotu nie z podręczników i map, ale z wędrówek na własnych nogach, w dosłownym tego słowa znaczeniu przemierzając się przez ogromne przestrzenie, z jednego łądu na drugi.

Jeżeli chodzi o antysemityzm, to Gina w dzieciństwie tylko ten jeden raz zetknęła się z nim, właśnie w szkole.

Dzisiaj czytając książki o antysemityzmie w międzywojennej Polsce Gina rozumie, jak bardzo jej się poszczęściło, bo przecież agresja wobec Żydów dotyczyła także dzieci, szczególnie w pierwszych latach istnienia Polski i w ostatnich latach poprzedzających II wojnę światową. Na potwierdzenie tego, co się działo, istnieje wstrząsające świadectwo. To list otwarty wychowanków warszawskiego Domu Sierot Janusza Korczaka, skierowany do dzieci polskich

robotników⁵. W liście tym dzieci z żydowskiego Domu Sierot proszą, żeby „nie zaczepiano nas na ulicy, gdy idziemy parami na spacer, nie popychano i nie dokuczano, nie niszczone ubrań, żeby chłopcy nie bili na ulicy. Często także dziewczynki, chociaż nie biją, to dokuczają, wyzywają nas: Żydzi, Moški – jest to bardzo dla nas przykre. Dlatego bardzo prosimy dzieci robotników, żeby nas nie zaczepiały, dlatego że my płaczemy, a im powinno być wstyd”⁶.

Gina nie pamięta antysemickich okrzyków pod swoim adresem lub swoich najbliższych koleżanek. W dzieciństwie nie doświadczyła przejawów antysemityzmu, czyli można powiedzieć, że żyła w błogiej nieświadomości. Może brak wczesnej dziecięcej traumy znanej wielu żydowskim dzieciom pozwolił jej w przyszłości, dokądkolwiek rzucił los, nie doświadczać uczucia skrępowania, nieśmiałości, ani strachu z faktu, że jest Żydówką. Żydówką z Polski.

⁵ Janusz Korczak – pseudonim literacki; właściwie Henryk Goldszmit (1878-1942), wybitny polsko-żydowski lekarz, pisarz i pedagog, dyrektor żydowskiego Domu Sierot, obrońca praw dziecka. Zginął wraz z 200 swoimi wychowankami i współpracownikami Domu Sierot w sierpniu 1942 r. w komorze gazowej w Treblince. Janusz Korczak miał szansę uratowania własnego życia, gdyby pozostawił dzieci. Nie uczynił tego i nie odstąpił od swojej zasady służenia dziecku. Życie i śmierć Janusza Korczaka urosły do legendy.

⁶ List opublikowano po raz pierwszy w gazecie „Robotnik” 22 lutego (nr 51) 1922 r.

Biały piasek

Gina zachowała o szkole dobre wspomnienia, ale prawdziwe życie zaczynało się dla niej z nastaniem lata i długich wakacji. Jej energia potrzebowała przestrzeni, w czterech ścianach zawsze „brakowało jej powietrza”. Uwielbiała zabawy na podwórku. Chłopcy organizowali różne zawody, wyścigi, grali w piłkę zdeptując trawę, za co dzieciakom dostawało się od oburzonych sąsiadek, które broniły prawa do swojego terenu – miejsca, gdzie mogłyby spokojnie omawiać wiadomości, które przynosili z pracy ich mężowie. A kiedy na Pelcowiznie pojawiali się wędrowni artyści i cyrkowcy, cała dzieciarnia przemieszczała się wraz z nimi na ulicę. Spacer z przyjaciółmi na Warmińskiej i Modlińskiej – to był kolejny etap zdobywania przez młodzież samodzielności. Dla przykładu oddzielną wyprawą był spacer śladem... aromatycznego zapachu. Gina opowiada: „Zapach świeżo upieczonych ciastek, dochodzący z cukierni na Warmińskiej (ściślej rzecz biorąc, z piwnicznych pomieszczeń, gdzie ciastka były wypiekane), doprowadzał dzieciaki do szaleństwa. Specjalnie spacerowaliśmy obok cukierni kilka razy dziennie. Tamten aromatyczny bukiet składający z zapachu cynamonu, czekolady, wanilii, karmelu, świeżych truskawek, to właśnie zapach mojego dzieciństwa”.

Jednak największą przyjemność stanowiły wyprawy nad Wisłę. Dla mieszkańców Pelcowizny wypoczynek bez rzeki, tak bardzo ulubionej przez wszystkich, bez nadwiślanych piaszczystych plaż, nie był wypoczynkiem. Na plażę szło się na cały dzień, zabierało się z sobą parasolki, wodę, jedzenie. Czasami kupowaliśmy na plaży bajecznie smaczne obwarzanki lub watę cukrową od Zielińskiego – któż zapomni jego biały wózek i śnieżnobiały kitel?

Gina przepadała tam na całe dni. Marzyła, by nauczyć się pływać i nie żabką, jak pływała większość dziewcząt, chciała pływać jak chłopcy, mocnym stylem. Niektórzy z nich potrafili przepłynąć nawet Wisłę i ta „wyższa szkoła jazdy” natychmiast stawiała ich w oczach pozostałych chłopaków na

olimpijskim piedestale. Wybić się na lokalnych mistrzów – to było prawdziwe zwycięstwo. Gina wierzyła, że nadejdzie dzień, kiedy będzie mogła ścigać się z chłopcami jak równy z równym. Jednak na początek trzeba było się nauczyć utrzymać na powierzchni wody. Ojciec zapewniał, że raz-dwa nauczy ją pływać. Pewnego razu wszedł z Giną do wody i przytrzymując ją, zaczął pokazywać konieczne ruchy w wodzie. Nagle niespodziewanie puścił ją i powiedział: „Płyn, w Wiśle nie utoniesz”. Jak łatwo się domyślić, Gina poszła na dno jak kamień. Tego lata nie potrafiła jednak pokonać lęku przed wodą. „Oto jakim niefortunnym nauczycielem okazał się mój ojciec” – mówi Gina. „A drugim «Pestalozzim»⁷ – kontynuuje – był wujek Felek. Z całej wieloosobowej rodziny to Felek – ja go tak nazywałam, ponieważ był młodszy od innych ciotek i wujków – był mi najbliższy. Sportowiec, narciarz, wielokrotnie zdobywał nagrody na mistrzostwach Warszawy i Polski. A co jeszcze pociągało mnie w nim – zawsze był wesoły i bezpośredni, a jego żarty pamiętam do dziś. Pewnego razu zabrał mnie na przejażdżkę kajakiem. Zostawił mnie samą w łódce i wskoczył do wody. Pojawiał się i znikał, i tak długo powtarzał swoją zabawę, dopóki nie miał dość nurkowania. A ja drżałam ze strachu. Przecież mógł mnie śmiertelnie wystraszyć”. Z dzieciństwem Giny i wodą związane jest jeszcze jedno zdarzenie, które wryło się w jej pamięć. Kiedy Gina miała 12 lat, rodzice wysłali dziewczynkę pod Wilno na obóz organizowany dla dzieci partyjnych aktywistów. Mieszkali w namiotach. Uprawiali sport. Pływali na łódkach po przepięknej Wilejce dotąd, aż jedna z łódek przewróciła się. Mimo, że nikt nie utonął, wychowawcy zawrócili wszystkie dzieci na brzeg i ku ogromnemu rozgoryczeniu Giny zabronili pływania.

Gina pamięta też, jak chłopcy nieustannie łowili ryby w Wiśle i prosto z haczyków je sprzedawali. Najstarsi mieszkańcy Pelcowizny opowiadają, że chłopcy „polowali” na rybę, a potem na złowioną przez nich zdobycz

⁷ Johann Heinrich Pestalozzi (1746-1827), szwajcarski pedagog i pisarz zwany ojcem szkoły ludowej, twórca pierwszej teorii nauczania początkowego.

„polowali” klienci, najczęściej Żydzi z sąsiednich ulic, którzy po krótkim targowaniu się kupowali od chłopców świeżutkie ryby i zanosili je swoim żonom, by na kolację przygotowały koszerne kotleciki. Żydzi płacili należną „drachmę” i wznosili oczy ku niebu w oczekiwaniu na Boże błogosławieństwo. Taka wzajemnie korzystna wymiana urządzała obie strony.

Zdawało się, że nurt Wisły niesie nie wodę, a rytm i radość życia Pelcowizny. Na białym piasku plaży (a zimą na lustrzano gładkiej powierzchni zamarznętej rzeki, gdzie urządzano lodowisko) zawierano znajomości, rodziły się miłości, zawiązywały się przyjaźnie między rówieśnikami, co powodowało, że rodzice stopniowo stawali się mniej ważni. (W albumie Giny cudem ocalały dwie fotografie z tamtego czasu. Na jednej z nich Gina ze swoimi przyjaciółmi. Wysoka długonoga dziewczyna. Na drugim – tak zwani „narzeczeni”, wystrojeni w garniturki, pod krawatem, chłopcy z Pelcowizny).

Gina próbowała dorównać rówieśnikom uczestnicząc w realizacji ich różnych „szatańskich pomysłów”. Oto jej opowiadanie: „Pewnego razu chłopcy postanowili wleźć do cudzego ogrodu na jabłka. Sad należał do Niemca, płot był niemiecki – mocny, solidny, jabłonie niemieckie – zadbane, jabłka oczywiście niemieckie – apetyczne: wyglądały tak, jakby jedna połówka była pomalowana na czerwono – aż prosiły się o zjedzenie. Chłopcy podsadzili mnie, żebym zajrzała do sadu i powiedziała, jaka jest sytuacja. Kiedy byłam już blisko celu, sąsiad zauważył «złodziejasków» i spuścił psa z łańcucha. Ze strachu spadłam z płotu i skaleczyłam sobie oko. Rodzice musieli pojechać ze mną do lekarza w Warszawie, który tak skomentował moje zachowanie: «Postrzelona dziewczyna, powinna była urodzić się chłopakiem». Kiedy kłopoty minęły, rodzice długo jeszcze żartowali sobie ze mnie i mówili do mojego «wspólnika»: «Gina zostanie bez oka i nikt nie zechce się z nią ożenić. Oj, to ty zostaniesz jej mężem». Od tamtej pory chłopak bardzo starannie mnie unikał. A mnie te żarty jakoś nie obchodziły – nie denerwowały, nie przeszkadzały. Podobne tematy były nie dla mnie. Ślubne stroje, kolorowe szmatki i ścinki, z których można

było uszyć sukienki dla lalek, zupełnie mnie nie interesowały. Swoboda i szybkość – to była już całkiem inna sprawa”.

Gina miała pięć lat, gdy weszła w posiadanie roweru. „Weszła w posiadanie”, to znaczy otrzymała rower w prezencie od dziadka i babci Grinblatów za podpowiedzią Felka, który jak wiadomo pracował w sklepie z artykułami sportowymi. Kiedy dziadek Anszel z racji wieku przestał pracować w sądzie, Felek namówił go do wynajęcia toru kolarskiego i wypożyczania rowerów – to zajęcie zapewniało niezły dodatek finansowy do emerytury.

Z początkiem rowerowego biznesu Felka, a ściślej jego dziadka, związane jest jedno z najbardziej wyrazistych wspomnień Giny: „Dziadek Anszel bardzo często zabierał mnie z sobą na tor kolarski. Przepadałam tam na całe godziny i szalałam, nie robiąc przerw na odpoczynek. Pewnego razu, gdy zaczynałam naukę jazdy, dziadek posadził mnie na rower i powiedział, że będzie przytrzymywał siodełko. Jednak rękę z siodełka zabrał i z ledwo skrywanym uśmiechem, który można było odgadnąć po śmiejących się zza okularów oczach, udzielał mi rad i mówił: «Kręć, kręć pedałami!». Pojechałam. Ale zatrzymać się nie umiałam, wjechałam w płot otaczający tor kolarski i z rozpędem runęłam w trawę”.

Jak widać, te metody pedagogiczne (które stosowali także ojciec Giny i wujek Felek) były charakterystyczne dla tamtych czasów. Doktor Goldszmit (Janusz Korczak) pisał swoje wspaniałe książki o szacunku do dzieci całkiem niedaleko, w Warszawie na ulicy Krochmalnej, ale miną dziesięciolecia, nim ludzie zaczną rozumieć ich znaczenie. A miłość Giny do roweru pozostała na długie lata. Jeszcze jedna cecha jej charakteru – nie znała strachu. W późniejszych latach, kiedy przyszło jej zmierzyć się z nową życiową sytuacją i pojawiał się strach, Gina wspominała dziadkową radę: „Kręć, kręć pedałami!”. Trzeba przyznać, że pamięć tych słów rzeczywiście pomagała, jakimś sposobem sprawy rozwiązywały się, choć nie obyło się bez sińców i guzów, jak tego pamiętnego dnia w dzieciństwie.

Gina, w jeździe na rowerze wśród dziewczynek Pelcowizny, nie miała sobie równych w szybkości i wytrzymałości, nawet chłopcy niejednokrotnie patrzyli na nią z zawiścią, gdy siodłała swojego żelaznego rumaka. Miała po prostu obsesję na punkcie roweru i dziś, odpowiadając na pytanie o jej ulubioną dziecięcą zabawkę, mówi: rower. Piękna odpowiedź, jak na dziewczynkę, która powinna była bawić się w córki-matki!

Jedna przygoda goniła drugą. Szkoła, w której uczyła się Gina, stała na wzgórzu. Zimą pokrywało się lodem i chłopcy zjeżdżali z niego na nogach w pozycji stojącej, a dziewczynki na pupie. Gina oczywiście chciała być taka, jak chłopaki – skończyło się tym, że upadła i złamała rękę. W ten sposób znów przysporzyła rodzicom zmartwień. Znów trzeba było zawieźć ją (co to nie usiadła na jednym miejscu) do Warszawy do lekarza.

Gdyby Wejgsmanowie nie przeprowadzili się na Pelcowiznę, Gina prawdopodobnie wyrosłaby na kogoś całkiem innego: osobę nie taką szaloną i nie taką niezależną. Chcecie, wiercie, chcecie, nie wiercie, ale w formowaniu jej charakteru niepoślednią rolę odegrały: biały piasek Wisły, wysokie niemieckie płoty, dęby w miejscu, gdzie niegdyś stała karczma Pelca ...

Pelcowizna, ponad wszelką wątpliwość, była przestrzenią szczęśliwego dzieciństwa Giny.

Ciężki oddech

Gina lubiła podróże do wczesnego dzieciństwa, poprzedniego muranowskiego życia, do dziadka i babci Grinblatów. Od czasu do czasu mama, najczęściej latem, uroczyście ogłaszała: „Jutro jedziemy do Warszawy”. Z pewnością dla niej, wychowanej na Muranowie, Pelcowizna nie stała się częścią dużego miasta. Nic dziwnego: ot, choćby takie porównanie – podczas gdy w 1930 roku liczba ludności Warszawy wynosiła ponad milion (dokładniej: 1.095.419), to na Pelcowiźnie mieszkało niewiele ponad sześć tysięcy. Rzecz prosta, nie było tu żadnych przejawów życia stołecznego, tłumów, anonimowości, ludzie co rusz spotykali się w sklepach, na przystanku autobusowym lub na dworcu wąskotorówki albo też przy ulicznych pompach dla nabrania wody; prawie wszyscy znali się przynajmniej z widzenia.

Do Warszawy jechali tramwajem numer 21. Jechali dłużej niż godzinę. Gina pamięta, jakby to było teraz – bilet w jedną stronę kosztował 25 groszy, a w obie strony – 35. Takie bywają dziwactwa pamięci.

Kiedy już wjeżdżali na most Kierbedzia z jego stalowymi barierkami, który dla Giny był „mostem w kratkę”, nie odrywała oczu od wody – Wisłę spławiano drewno. Gdy tramwaj zjeżdżał z mostu, przyklejała się dosłownie do okna. Na lewym brzegu rzeki otwierała się panorama Starego Miasta z Zamkiem Królewskim. Czarodziejskie piękno! Myślała, jak bajecznie z pewnością mieszkał tu król, który w każdej chwili mógł podejść do wysokiego okna i ukradkiem podziwiać Wisłę, raz szarą, raz błękitnozieloną – w zależności od pory roku.

Zaraz za placem Zamkowym tramwaj skręcał w Krakowskie Przedmieście, ulicę świetnie ubranych ludzi, jak Gina w myślach ją nazwała, potem otwierał się widok na Grób Nieznanego Żołnierza i majestatyczny gmach Teatru Wielkiego, a potem, już całkiem blisko była znana w najdrobniejszych szczegółach ulica Bielańska...

Gina poznała w Warszawie tylko tę jedną trasę. Niestety, tramwaj omijał bokiem Marszałkowską i Aleje Jerozolimskie, a Gina słyszała od koleżanek, że jest tam ciekawie – mnóstwo ludzi, przechodniów i aut. Rodzice młodzi i zajęci sobą, nie zdołali pokazać jej ciekawych warszawskich miejsc godnych uwagi, a potem było już za późno. Wojna nie oszczędziła Warszawy.

Większą część wakacji Gina spędzała zwykle za miastem: w Jabłonnej, Otwocku (w kwitnącym Śródborowie), w Henrykowie. W tych wypoczynkowych miasteczkach rodzice wynajmowali mieszkanie na lato. Czasem jechali tam kolejką wąskotorową: z okolic Pragi do Jabłonnej kursował podmiejski pociąg, a czasami pod dom na Warmińskiej podjeżdżał wóz, załadowywano go rzeczami i rodzina wyjeżdżała na odpoczynek. Gina osobiście pilnowała, żeby jej rower był mocno wciśnięty między tobołami i żeby, nie daj Boże, nie spadł z wozu. Mogłyby na nim pojawić się zarysowania. Nawiasem mówiąc, przekonywała mamę, że z Pelcowizny do Jabłonnej można bez problemu dojechać na rowerze, ale mama podekscytowana pakowaniem obstawała przy swoim, że Gina najeździ się jeszcze na rowerze, kiedy przyjadą na miejsce. Rzeczywiście, Gina dobrze pamięta rowerowe przejażdżki brzegiem Wisły z przyjaciółmi i piesze spacerzy z mamą w starym parku w Jabłonnej. Boże, jakże lekko się tam oddychało!

Nagle niezapowiedzianie przyjechał ojciec i powiedział: „Zbierajcie się. Sprawy mają się ku wojnie”.

Ciemność, huk i wycie

W 1939 roku Gina ukończyła siedem klas (lub, jak wtedy mówiono, siedem oddziałów) szkoły powszechnej. W naszej dużej rodzinie wszyscy wzięli udział w gorącej dyskusji na temat szkoły, do której teraz powinna pójść ich ukochana wnuczka. Dziadek i babcia Grinblatowie uważali, że odpowiednia będzie nauka w prywatnym gimnazjum handlowo-ekonomicznym. To oznaczało konieczność przeniesienia się Giny do centrum Warszawy i zamieszkanie u Grinblatów. Rodzice natomiast uważali, że trzeba pójść do gimnazjum, położonego bliżej ich domu, chociaż tak naprawdę, to w pobliżu nie było żeńskiej szkoły tego typu. „Dziewczynka ma przecież zaledwie 13 lat. Powinna mieszkać z rodzicami”, – nalegała mama. „W czasie rodzinnych narad staczano prawdziwe boje. Ostatecznie zwyciężyło «ugrupowanie» Grinblatów. Decydujące słowo na rzecz gimnazjum handlowo-ekonomicznego powiedział Felek, który obiecał opłacić moją naukę. Na potwierdzenie tego, że postanowienie jest ostateczne, Grinblatowie kupili dla mnie gimnazjalny mundurek”, – opowiada Gina.

Gina odczuwała przedsmak nadejścia roku szkolnego. Pierwszego jesiennego dnia na ulice Warszawy zazwyczaj wysypywała młodzież: gimnazjalistki w zielonych spódniczkach i białych bluzkach z dużymi marynarskimi kołnierzami, chłopcy w odprasowanych mundurach. W swojej wyobraźni Gina widziała już siebie w tym różnokolorowym tłumie. Kilka razy w ciągu dnia otwierała szafę, żeby nacieszyć się widokiem nowego stroju.

Jednak dzień pierwszego września 1939 roku okazał się dniem niespełnionego marzenia.

1 września 1939 roku, w piątek, o godzinie 4,40 – na godzinę przed świtem – hitlerowskie Niemcy napadły na Polskę. Rozpoczęła się II wojna światowa.

Skończyło się normalne życie milionów ludzi, którzy nieoczekiwanie znaleźli się w epicentrum Historii: mężczyzn i kobiet, starców, dzieci, Żydów, Niemców, Polaków, innych narodów – wszystkich – wszystkich. Ludzkość stanęła nad przepaścią.

Gina pamięta nastrój tych pierwszych wrześnieowych dni: zdenerwowanie mężczyzn powołanych do wojska, niepokój kobiet, które pozostały z dziećmi i nagle pozbawione zostały głowy rodziny. Pamięta, że kilka następnych dni upłynęło w oczekiwaniu na wiadomości. Ludzie z trwogą słuchali radia, a zasłyszane wieści przekazywano sobie z ust do ust. Komunikaty nadchodziły nieregularnie i były sprzeczne. Ktoś wierzył, że Polska nie odstąpi ani piędzi swojej ziemi, inni byli przytłoczeni i spodziewali się najgorszego. A tymczasem Niemcy posuwali się w głąb kraju bombardując i zajmując kolejno: Katowice, Częstochowę, Kraków, Łódź... Mówiono, że Niemcy stoją już na obrzeżach Warszawy, że w mieście zarządzono ewakuację, rząd porzucił stolicę, ale za chwilę do wojny przystąpią Anglia i Francja i wówczas sytuacja Niemców będzie nie do pozazdroszczenia.

Co Gina wiedziała wtedy o wojnie?

Samo słowo „wojna” wydawało się jej obce. W szkole mówiono o pierwszej wojnie światowej, ponieważ przyniosła Polsce niepodległość, ale najmniej opowiadano o froncie, okopach, śmierci, krwi, głodzie... A nawet gdyby i opowiadano, to szczęśliwa dziewczynka nie mogłaby zupełnie wyobrazić sobie tego wszystkiego.

I teraz Gina nie uświadamiała sobie, co się dzieje, dopóki nie usłyszała strasznego huku niemieckich samolotów nad Pelcowizną i nie zobaczyła, jak rozstąpiło się niebo i na ziemię spadł deszcz bomb. Bliskość Nadwiślańskiej Kolei, życiowo ważnej dla zaopatrzenia stolicy drogi transportowej, przyciągała niemieckich strategów podboju. Gina pamięta absolutne zdziwienie dorosłych na widok zadowolonych twarzy sąsiadów – Niemców, którzy jeszcze całkiem

niedawno byli życzliwie usposobieni. Pamięta zniszczone wagony, wypalone doszczętnie domy, budynki z wypatroszonymi wnętrzościami.

Poczucie bezpieczeństwa: „Nic złego nie może mi się przydarzyć” – ustąpiło miejsca zdziwieniu, gdy Gina zobaczyła przy znajdującym się nieopodal dworcu ciała ludzi zabitych odłamkami i martwe konie z przewróconymi wozami. Wojna pokazała swoje straszne oblicze, wyszczerzyła kły całkiem blisko, zaglądając prosto w twarz. W jednym z pierwszych dni wojny zginął wujek Giny, Szyja Żółkiewicz. Jak zwykle rano poszedł do fabryki – z przyzwyczajenia, a może z poczucia obowiązku. Do domu nie wrócił – niemiecka bomba rozplątała fabrykę, w której pracował. W jaki sposób mogło pomieścić się w główce dziewczynki nagle przeobrażenie żywego człowieka, wesołka i żartownisia w martwe zakrwawione ciało?! Nie mogło, ale *musiało*. Gina uważa, że właśnie wtedy skończyło się jej dzieciństwo.

(Wiele lat później dowiedziała się, że w pierwszym miesiącu wojny, tylko podczas jednego nalotu dywanowego, zginęło około 10 tysięcy warszawiaków, dziesiątki tysięcy zostało rannych).

Pelcowizna znalazła się na tyłach działań wojennych, ale pod nieustannym ostrzałem artyleryjskim. Niemiecki front był tuż obok. Władze miasta wzywały mieszkańców Pelcowizny do pozostawienia swoich mieszkań i przeniesienia się do innych dzielnic Warszawy, kto dokąd mógł. Razem z innymi przeprowadzili się także Wejgsmanowie. Przygarnęła ich ciotka Ewa – gospodarze bardzo postarali się, aby dwie rodziny zmieściły się w jej niewielkim mieszkaniu na Bielańskiej.

Gina zapamiętała zamęt tamtych dni. Mówiono o obronie stolicy, o oporze, jaki Polacy stawiają bez porównania silniejszemu przeciwnikowi. Wycie syren przeszywało na wskroś ulice i place, podwórka i parki, a niebo przecinały bombowce ze swastykami, niosące śmierć i ruiny. Ludzie rzucali się ratować absolutne minimum, które dało się jeszcze uratować. Gina razem z sąsiadami, naruszając przykazanie rodziców, aby nie oddalać się od domu, odbyła rajd po

znajdujących się niedaleko zrujnowanych magazynach i przyniosła do domu pierwsze wojenne „trofeum”: duży słoik kiszonych ogórków. Ich smaku Gina nie pamięta – pamięta tylko chrzest szkła pod nogami.

Czasami alarmy przeciwlotnicze powtarzały się jeden po drugim i ludzie, którzy ledwie wyszli z piwnic, znów pędzili do schronów. Takim schronem dla Wejgsmanów i wielu innych Żydów była Wielka Synagoga. Od domu na Bielańskiej do synagogi było pięć minut drogi szybkim krokiem. Tam schodzili do podziemnych pomieszczeń. Siedzieli ciasno przytuleni do siebie i przeczekiwali kolejny nalot. Ojciec wprowadził taki porządek: jeżeli jeden z członków rodziny musiał wyjść za potrzebą, to do toalety szli wszyscy w czwórkę: ojciec, Gina i mama, która niosła na rękach kruszynkę – siostrzyczkę, która nie miała jeszcze dwóch lat. Ojciec mówił; „Jeśli sążone nam zginąć, to zginiemy wszyscy razem”. Może wtedy, w Świątyni Pańskiej, Wejgsmanowie będąc ateistami, modlili się cichutko o ocalenie. I Pan Bóg wejrzał na nich, nie odmówił pomocy.

W Wielkiej Synagodze Gina doświadczyła pierwszego emocjonalnego wstrząsu: z woli historii znalazła się tam albo 14, albo 15 września, w Nowy Rok (*Rosz ha-Szana*) wśród ogromnego zgromadzenia ludzi, których modlitwy we wspólnym porywie wznosiły się ku niebu przy dźwiękach boskiego, śpiewu kantora Mosze Kusewickiego. Tego się nie da zapomnieć !

Kiedy zapadał wieczór, miasto pogrążało się w ciemności – zaciemnienia były obowiązkowe. Ulice pustoszały. A raniem znów były pełne ludzi, próbujących wywieść się, co się aktualnie dzieje. Nadzieja warszawiaków na pomyślny obrót zdarzeń stawała się coraz mniejsza. Jedni przygotowywali się bronić się do upadłego, inni w panice porzucali miasto.

Blitzkrieg – to niezrozumiałe słowo Gina słyszała bardzo często w tamtych dniach. Innym nowym słowem była okupacja.

Warszawa skapitulowała 28 września.

Wejgsmanowie wrócili na Pelcowiznę. Sąsiedzi, którzy zostali tam, powiedzieli im, że przez dzielnicę przechodziły cofające się oddziały Wojska Polskiego. Gina na własne oczy widziała okopy w tych miejscach, gdzie jeszcze całkiem niedawno beztrąsko biegała z przyjaciółmi. Niektóre domy w okolicy miały uszkodzone dachy, w innych wyrwane były drzwi, w oknach powybijane szyby.

Dom na Warmińskiej 17 nie ucierpiał.

Niemcy w samochodach, na motocyklach, w czołgach, które przypominały Ginie potworne żółwie, czując się gospodarzami, panoszyli się na ulicach. Twarze żołnierzy wydawały się dziewczynce takie same, jak takie same były ich metalowe hełmy. Szkołę, do której chodziła Gina, zajęli Niemcy i zorganizowali tam jakiś swój urząd.

Okupanci wydawali rozkazy. Lawina rozporządzeń, między innymi o robotach przymusowych, dotknęła również ojca Giny, Abrama Wejgsmana.

„Ale czy mój ojciec ze swoim charakterem i temperamentem mógłby być robotnikiem przymusowym u okupantów? – mówi Gina. Pewnego razu wrócił do domu pobity (zdaje się, że trafił na obławę, przecież prześladowania Żydów zaczęły się już od pierwszych dni okupacji) i powiedział: „Trzeba uciekać. W przeciwnym razie albo oni mnie zniszczą, albo ja ich wykończę”. Powiedział to z takim przekonaniem, że mama nie miała już nic do powiedzenia.

Zwlekać nie wolno było – już mówiono o tym, że Niemcy wprowadzą dla Żydów obowiązek noszenia znaków wyróżniających w postaci opaski z Gwiazdą Dawida. W październiku powstało pierwsze w Polsce getto – w Piotrkowie Trybunalskim.

Pytanie, dokąd i jak uciekać rozważano wspólnie, jak zwykle w gronie całej dużej rodziny. Zdania były podzielone. Jedni uważali, że w warunkach wojny trzeba trzymać się razem, inni przeciwnie, że lepiej będzie się rozdzielić. Dziadek Wejgsman z właściwą mu surowością, nieznoszący sprzeciwów, kategorycznie odmówił i nie chciał uciekać, tylko w swoim polsko-żydowskim

języku wciąż powtarzał: „Hitler bardzo szybko przyjdzie koniec. Niemców pokonają – jak w pierwszej światowej”. Teraz Gina dziwi się takiej krótkowzroczności dziadka, zdawałoby się mądrego życiowo człowieka. Ale upór bywa silniejszy od mądrości. Chwała Bogu, miał jeszcze tyle rozsądku, aby nie zatrzymywać przynajmniej żony i dzieci.

Dziadek i babka Grinblatowie zdecydowali się zostać, myśląc, że „wszystko jakoś się ułoży, no i wiek nie ten, żeby ruszać się z miejsca. Cały czas powtarzali: „Starych drzew się nie przesadza”.

Wszyscy trzej bracia Wejgsmanowie: Abram, Chaim i Naftali doszli do tego samego wniosku – byli gotowi opuścić Warszawę. Dołączyli do niekończącego się potoku ludzi uciekających na wschód.

Jednak po rozeznaniu sytuacji za kilka dni dwóch z nich wróciło: Abram – po rodzinę, Naftali – do żony. Był jeden powód jego zdecydowanej odmowy, jeżeli chodzi o ucieczkę – był on znany wszystkim krewnym, ale głośno o tym nie mówiono: jego żona Masza nie mogła rozstać się ze swoim pięknym, lśniącym czystością, wychuchanym domem, „bo przecież ktoś musiał domu pilnować, przecież nie można puścić z wiatrem wszystkiego tego, czego z takim trudem dorobili się razem z jej ukochanym mężem, właścicielem warsztatu szewskiego...”. Gina wspomina: „Wujek Naftali, lub jak czasem nazywano go Natan, z całym oddaniem kochał swoją profesję odziedziczoną po ojcu. Do tego stopnia, że za każdym razem, gdy przychodził do nas do domu już od progu sprawdzał, czy nasze obuwie nie wymaga naprawy. Nawiasem mówiąc, wujek przerabiał to ze wszystkimi braćmi i siostrami, sprawdzał obuwie we wszystkich domach”.

Natomiast Chaim zaryzykował ucieczkę w pojedynkę. Jego żona Chana była w ciąży i on rozumiał, że nie będzie mogła ruszyć w drogę w takim stanie. „To byłoby niewskazane,” – pomyślał.

Felek, brat mamy, sam doszedł do wniosku, że trzeba nie iść, ale uciekać.

Abram umiał przekonać swoje siostry, że ucieczka jest jedynym wyjściem. Mówił krewnym: „Jak tylko Niemcy pojawiali się na Warmińskiej, nasz najlepszy sąsiad, Polak Krajewski, za każdym razem proponował nam, abyśmy ukryli się u niego w oficynie. A czy wy znacie taką oficynę, w której mogliby pomieścić się wszyscy Żydzi Warszawy?”.

Gina opowiada: „Zbieraliśmy się, jak w gorączce. Spakowaliśmy tylko najbardziej niezbędne rzeczy. Ale zostawić w pustej szafie mój nowiuteński mundurek gimnazjalistki? Nie, to było absolutnie niemożliwe!”.

Szczelnie zamknęliśmy okna, przykryliśmy meble starymi prześcieradłami, a klucze od mieszkania oddaliśmy Krajewskiemu z prośbą, żeby regularnie podlewał kwiaty.

Gina nigdy już nie zobaczyła Pelcowizny.

Część II

Na wschód

Na początku drugiej wojny światowej droga na Wschód była ratunkiem dla większości polskich Żydów. Dotyczyło to w równej mierze zarówno tych, których zafascynowały lewicowe ideały i widzieli w Rosji radzieckiej atrakcyjny społeczny eksperyment, stawiający sobie za cel osiągnięcie powszechnej równości, jak i tych, którzy odnosili się raczej sceptycznie do bolszewickiej idei, nie bez podstaw przypuszczając, że doprowadzi ona nie tylko do unicestwienia tradycyjnego życia Żydów, ale i życia ludzi w ogóle.

Chaos towarzyszący ucieczce na wschód był nie do opisania. Uciekali na piechotę, jechali na wozach i samochodami... Uosobieniem tego zamieszania oraz nadziei był warszawski Dworzec Wschodni. Niemcy doskonale o tym wiedzieli i bezustannie go bombardowali, pozostawiając wśród ruin zabitych i rannych.

Wejgsmanowie przybyli na dworzec w następującym składzie: Abram, Dora, ich dwie córki, matka Abrama – Etlę Wejgsman i jedna z jej córek – Mania. Przyłączyli się do nich także młodzi sąsiedzi z Pelcowizny, ortodoksyjni Żydzi z maleństwem na rękach, a także Hania Meiersdorf i Jankiel, którego nazwiska Gina nie pamięta, oboje z młodzieżowej partyjnej komórki, na czele której stał ojciec. Razem jedenaście osób. „Ojciec – mówi Gina – czuł się odpowiedzialnym za wszystkich, którzy podążyli za nim. Z wielkim trudem zdobył dla wszystkich bilety do granicy i zapłacił nawet za Hanię i Jankiela, którzy nie mieli grosza przy duszy”.

Jak już wiadomo, zabrali ze sobą najniezbędniejsze rzeczy: pościel, poduszki, jedzenie. Okazało się jednak, że i tego bagażu było za dużo. Pociąg nie mógł pomieścić wszystkich chętnych. Tłum szturmował. Nagle nie wiadomo skąd pojawili się Niemcy. Bezlitośnie wyrzucali z wagonów dobytek

uciekierów, zostawiając ich dosłownie z niczym. Wejgsmanowie utracili w ten sposób wszystkie dokumenty łącznie ze świadectwami urodzenia dzieci, które były ukryte w tobołach z pościelą. Wszystko byłoby do zniesienia, gdyby nie to, że Niemcy szydzili z Żydów i pastwili się nad nimi tak, że cierpła skóra. Zdawało się, że bestialstwo sprawia im ogromną przyjemność, coraz bardziej podniecali się własnym okrucieństwem i widokiem skonsternowanego i wystraszonego tłumu.

Gina niejednokrotnie później zastanawiała się, czym kierowali się Niemcy upychając do wagonów jak najwięcej ludzi, jakby to były worki z tanim towarem. Napawali się ludzkim strachem? Jeszcze nie dostali rozkazu, by zabijać od razu? Tak po prostu rabowali? Czy też był to ich swoisty „debiut”, demonstracja siły i okrucieństwa, rozgrzewka przed walką? A może diabeł ich opętał?

Nawet psychologowie nie znajdują odpowiedzi na te pytania.

Wreszcie pociąg ruszył, wyjechali ze stacji. Dworzec Wschodni rozplynął się w ciemnym obłoku pary. Gina wtedy nie zdawała sobie sprawy, że do poprzedniego życia nie będzie już powrotu.

W strefie neutralnej

Pociąg jechał do stacji Małkinia. Za ledwie osiemdziesiąt kilka kilometrów od Warszawy. W tym krótkim czasie Gina myślała o różnych swoich sprawach: o szczęśliwych wyjazdach do Jabłonnej, o Wilejce, o niezrealizowanych wyprawach, o których marzyła.

Podróżowali do strefy neutralnej zaprzężonymi wozami konnymi. Zajęło im kilka dni, bo trzeba było co rusz robić przesiadki, by znaleźć kolejne środki transportu. Strefa rozciągała się na trzy do pięciu kilometrów – już nie Generalna Gubernia (tak nazywała się część okupowanego przez Niemców polskiego terytorium), jeszcze nie ZSRR.

Przechodzenie z Polski (to znaczy teraz z niemieckiej strony, chociaż język odmawiał posłuszeństwa, by nazywać w ten sposób polską ziemię) odbywało się według kolejności ustalonej przez rozmiłowanych w porządku Niemców. Kolejki były dwie: jedna dla Polaków, druga dla Żydów.

Wśród Polaków byli ci, którzy chcieli zobaczyć się z krewnymi w ZSRR zakładając, że w krótkim czasie granica może zostać zamknięta. Inni – z tych bardziej przedsiębiorczych – w mig poszli po rozum do głowy. Zorientowali się, że w okupowanym kraju będzie brakowało rozmaitych towarów, a tam, gdzie występuje deficyt, zawsze pachnie pieniędzmi. To dlaczego nie zaopatrzyć się w jakikolwiek, choćby i skromny prowiant w ZSRR, i po powrocie do domu trochę przytrzymać produkty, a potem sprzedać je z zyskiem? W czasie wojny żywiłowa redystrybucja środków zawsze następuje pełną parą: tak już jest – jedni rujnują się, inni bogacą.

W kolejce żydowskiej stali ci, którzy ratowali swoje życie. Abram Wejgsman uparcie powtarzał: „Cokolwiek się wydarzy, jakakolwiek byłaby sytuacja, rodzinę trzeba uratować”.

Kolejka żydowska była o wiele dłuższa niż polska. I tutaj, podobnie jak na Dworcu Wschodnim, Niemcy znęcali się nad uciekinierami. Mama wepchnęła Ginę do polskiej kolejki, aby uchronić ją przed niemieckimi szturchańcami. Nikt na to nie zwrócił uwagi. Gina nie była podobna do Żydówki. Jej niebieskie oczy, których „aryjski kolor” podkreślał gimnazjalny granatowy beret z niebieską obwódką, wprowadziły Niemców w błąd. Matka wsunęła Ginie jedyną cenną rzecz, jaką miała – złotą obrączkę, na wypadek gdyby trzeba było wymienić ją na jedzenie i powiedziała: „Czekaj na nas po tamtej stronie”. Ot, tak zwyczajnie powiedziała, krótko, mężnie, chociaż z pewnością w głębi duszy szalała, zostawiając trzynastoletnią córkę zupełnie samą, nie wiedząc, co się wydarzy.

Matka, co oczywiste, była przerażona.

A czy Gina bała się? Tego nie pamięta. Zapamiętała tylko tyle, że z przyzwyczajenia robiła to, co matka kazała.

Na szczęście, rodzina wkrótce się połączyła. Do radzieckiej granicy szli wraz z setkami innych uchodźców na piechotę rozdeptując błoto pod nogami. W połowie listopada radziecka granica była jeszcze otwarta. Wkrótce jednak władze ograniczyły możliwość przechodzenia uchodźców. Nieco później przejście z okupowanej Polski do ZSRR stało się nielegalne i za złamanie prawa można było trafić do więzienia.

Na zezwolenie przekroczenia granicy trzeba było czekać pod gołym niebem. Wejgsmanowie stali w kłującym listopadowym deszczu, przemoczeni do suchej nitki i wraz z innymi cierpliwie liczyli dni.

W trzecim dniu oczekiwania – nowa bieda. Nie zostało ani okruszyny chleba. Uciekinierzy dowiedzieli się, że na niemieckim terenie, tuż przy granicy jest piekarnia. Przejść na drugą stronę mogła jedyna „aryjka” w rodzinie – Gina: wrócić do okupowanej Polski, zdobyć chleb, wcisnąć się do polskiej kolejki i znów znaleźć się na ziemi niczyjej. Ani Jankiel, ani ojciec (Niemcy dosłownie polowali na żydowskich mężczyzn), ani mama, ani tym bardziej babcia nie

mogli tego zrobić, przecież nie wiadomo, co mogłoby się z nimi stać, gdyby znaleźli się znów w żydowskiej kolejce, nawet gdyby radziecka granica wciąż była jeszcze otwarta.

Gina nie traciła czasu. Tak się złożyło, że szybko zrozumiała, że są to surowe wymogi wojny. Teraz wszyscy odpowiadają za siebie nawzajem i ona nie mniej, niż pozostali.

Postanowiono razem z Giną wysłać Hanię, w końcu była starsza, miała już 18 lat. Ale Niemcy jej nie wpuścili, przegonili z okrzykami: *Jude!*. „Może to i lepiej – myślała Gina. Hania, chociaż należała do młodzieżowej partyjnej komórki, w której tchórze nie mieli czego szukać i znała zasady konspiracji, drżała jak liść osiki”.

Gina została sama. Znalazła piekarnię, ale chleb się skończył. Nie pozostawało nic innego, jak przenocować w kolejce.

Rano, obciążona chlebem ciężkim jak kamień, znów znalazła się w polskiej kolejce. Znów pomogły niebieskie oczy, niebieski beret i warkocze do pasa.

Wszyscy rzucili się na chleb, jakby przez miesiąc nie mieli w ustach nawet okruszka. Nie byli przyzwyczajeni do głodu. Kiedy babcia Etle wyciągnęła ze swego koszyka gęsi smalec, zrobili sobie prawdziwą ucztę.

Ale radość była krótka. Sytuacja wciąż była niejasna. Oczekiwanie trwało już czwartą dobę. Spadł mokry śnieg, pozostawanie na ulicy pod gołym niebem stawało się nie do zniesienia. Wejgsmanowie poprosili o wpuszczenie ich do białoruskiej chałupy usytuowanej w pobliżu strefy neutralnej. Gospodarze wpuścili ich. Wszyscy byli wyczerpani, zwalili się więc na słomę i w jednej chwili usnęli. Obudziły ich niemieckie krzyki: Wejgsmanów pobito, upokorzono i wyrzucono na ulicę. Niemcy wyrwali z rąk babci pleciony koszyk z resztkami chleba, które strzegła na czarny dzień jak źrenicy oka. Babcia omal nie upadła. „Ojciec i mama rzucili się, żeby ją podtrzymać – wspomina Gina, a siostrzyczkę ja niosłam na plecach”.

Piątego dnia stania w strefie neutralnej uciekinierom kazano zgromadzić się w jednym miejscu. Z pewnością było to tysiące ludzi. Otwarto granicę. Przyjechali czerwonoarmiści. Ginie wydało się, że mają posępne twarze, spięte, wymęczone – tak jakby to oni stali pięć dni w deszczu i śniegu. Podjechały ciężarówki. Tych, którzy mieli krewnych w ZSRR, ładowano jako pierwszych. Do tej grupy trafiła rodzina naszych sąsiadów. W tym zamieszaniu nie zdążyli nawet się pożegnać. Potem przyszła kolej na tych, którzy nie mieli przy sobie żadnego radzieckiego adresu.

Wejgsmanów wywieziono do miasteczka Bieszenkowicze.

Inny świat

Na zachodnich rubieżach Związku Radzieckiego dla Polaków zaczynała się droga na wschód, lecz na właściwy Wschód: przecinała się nie tylko granica przestrzeni, ale i granica czasu, społeczeństw, kultury, języka...

Biorąc pod uwagę określone uwarunkowania historyczne (rozbiory Polski między trzy mocarstwa: Rosję, Austrię i Prusy w XVIII wieku) i szczególnie represyjny charakter długotrwałego rosyjskiego rządzenia na polskich ziemiach, Rosja, w odróżnieniu od Zachodu jako przestrzeni swobody, była postrzegana przez Polaków jako Wschód – przestrzeń despotyzmu i tyranii, wygnania i męczeństwa. Co więcej, Rosja była w powszechnej świadomości Polaków „Azją” lub nawet Syberią. „Sybir”, jak mówiono, w martyrologicznym wyobrażeniu, jakby zastąpił sobą całe imperium. Historia Polski i jej doświadczenia historyczne oraz jej mitologia były niejednokrotnie wspólnym udziałem Polaków i Żydów mieszkających przez stulecia w Polsce.

Prawdopodobnie nawet Abram Wejgsman, mimo jego niewyczerpanego entuzjazmu dotyczącego perspektyw radzieckiego społeczeństwa i który nie należał do osób łatwo rozstających się z komunistycznymi złudzeniami, już przy pierwszym zetknięciu z miasteczkiem Bieszenkowicze poczuł, że znalazł się w „innym świecie”.

W odróżnieniu od ojca-idealisty, dziewczynka Gina nie miała żadnego pojęcia o ZSRR. Ale tutaj i dla niej naprawdę zaczynało się inne życie.

Przy przekraczaniu radzieckiej granicy czerwonoarmiści (granice strzegły wojska NKWD) zapisywali dane osobowe uciekinierów. Nie znali oni imienia Hinda. Zapisali tak jak usłyszeli – Gina. Taki przypadek nie był odosobniony; na przykład: utalentowany warszawski pianista Mieczysław Wajenberg przekraczał granicę również w 1939 roku. Podał imię Mieczysław. W odpowiedzi usłyszał od pogranicznika: „Żydzi takiego imienia nie mają. Zapisuję Mojżesz”. W taki to sposób Żydzi z woli szeregowego

czerwonoarmisty przybierali żydowskie imiona, inni – wprost przeciwnie – pozbywali się ich.

Bieszenkowicze były od niepamiętnych czasów żydowskim miasteczkiem (obecnie jest to centrum rejonu w Białorusi), które rozwinęło się dzięki przystani na rzece Dźwina Zachodnia i odbywającym się tutaj kilka razy do roku dużym jarmarkom).

Przedtem Wejgsmanowie o Bieszenkowiczach nie słyszeli. A nawet gdyby i usłyszeli, wątpić należy, czy zapamiętałiby tak skomplikowaną nazwę.

Po wielu latach Gina przez ciekawość zainteresowała się pochodzeniem nazwy miasteczka, która utkwiała w jej pamięci. Znalazła w literaturze kilka odpowiedzi; w jednych źródłach podawano, że nazwa pochodzi od niemieckiego słowa *beschenken* – darować, w innych od słowa *bieszeń* – wartki nurt płynący na środku rzeki; w kolejnych – od nazwiska braci Żydów, którzy niegdyś tutaj mieszkali. Żadna z tych wersji nie zadowoliła Giny, ale nazwa „Bieszenkowicze” przez te wszystkie lata wciąż chodzi jej po głowie.

W swojej historii Bieszenkowicze niejednokrotnie przechodziły z rąk do rąk: osadą władali albo Litwini (Wielkie Księstwo Litewskie), albo Polacy (Rzeczpospolita), albo Rosja (Imperium Rosyjskie). Miasteczko jednak pozostawało żydowskie. Niegdyś Żydzi stanowili tutaj trzy czwarte mieszkańców. W 1939 roku liczba ta zmniejszyła się do jednej trzeciej, a pod koniec tego roku wzrosła ponaddwukrotnie za sprawą polskich uciekinierów, takich jak Wejgsmanowie. Niewiele zostało tu śladów minionego żydowskiego życia z okresu przed powstaniem Związku Radzieckiego. Abram zapytał miejscowych o synagogę. Okazało się, że wszystkie trzy były zamknięte, a to dlatego, że budynki te „nie są wykorzystywane przez osoby wierzące, a nieremontowane, po prostu niszczejają...”. Obecnie przechowywano w nich zboże. Jednak żydowski cmentarz wciąż jeszcze funkcjonował i choć dziwnym może wydawać się, był wykorzystywany zgodnie ze swym przeznaczeniem.

Niedaleko od domu, który służył im jako schronienie, Wejgsmanowie zauważyli kościół, i choć był bez krzyża, pomyśleli sobie: „A jednak prawie Polska...”.

Prawdopodobnie to było wszystko, czego dowiedzieli się Wejgsmanowie o Bieszenkowiczach, ale ani o wileńskim wojewodzie Sapiesze, ani o tym, że bywał tu car Piotr Pierwszy, ani o sztabie Napoleona, który znajdował się tutaj w 1812 roku, nie mieli pojęcia. Trzeba pamiętać, że w 1939 roku Bieszenkowicze były radziecką wsią i o ich historii przynajmniej od 20 lat tutaj nikt nie wspominał. Zresztą Wejgsmanowie mieli kontakt prawie wyłącznie z takimi, jak oni sami, uciekinierami i omawiali tylko jedną kwestię: oddawać na żądanie władz polskie paszporty, czy brać w zamian radzieckie dokumenty.

Tak więc Wejgsmanowie pejzażu nie zauważyli, a z lokalną historią się nie zapoznali. Nie mieli głowy do tego. Nie zdążyli nawet się rozejrzeć. Znaleźli się między przeszłością i niewiadomą, nieokreśloną przyszłością. Nie tylko na granicy, ale i na rozdrożu.

Niespodziewanie w Bieszenkowiczach pojawiła się siostra Abrama – Dorka. Przyjechała z zajętego we wrześniu przez Armię Czerwoną Białegostoku, żeby zabrać matkę i siostrę Manię. Niczego złego nie przeczuwała, liczyła na to, że przeżyje w Białymstoku całą wojnę. „Jakkolwiek by tam było – mówiła Dorka – to jednak polskie miasto, gdzie nie trzeba będzie zmieniać przyzwyczajień.” Nie to, co Bieszenkowicze, którymi Dorka przeraziła się: nieutwardzone ulice, kolejki po chleb, nędznie ubrani ludzie, miasteczko, w którym nie było widać innej farby niż szara...

A Abram, zawsze wierzący w lepsze, myślał: „Przyjdzie wiosna, zazielenią się parki, zakwitną drzewa nad rzeką... Żeby tylko znaleźć przystań i pracę, dach nad głową i kawałek chleba”.

Jednak nie minął i miesiąc, gdy z tą nadzieją trzeba było się pożegnać.

Ciężka i długa podróż

Gina opowiada: „W drugiej połowie grudnia 1939 roku wśród uciekinierów rozeszły się pogłoski, że w Bieszenkowiczach nas nie zostawią. I rzeczywiście, bardzo szybko w miasteczku pojawiło się podejrzanie dużo żołnierskich szyneli – od ich koloru wszystko wokół stało się jeszcze bardziej szare.

Obudzono nas nad ranem. Zaspanych, z trudem przecierających oczy, zaprowadzono na plac. A dalej... Zgodnie ze znanym już z neutralnej strefy scenariuszem, powieźli nas ciężarówkami nie wiadomo dokąd. Jak się potem wyjaśniło, na dworzec kolejowy. Jaka to była stacja, nie pamiętam, może Orsza albo Witebsk (do Witebska było pięćdziesiąt kilometrów, do Orszy dwa razy więcej). Właściwie to nie była stacja kolejowa, a jakiś ślepy tor. Może konwojenci otrzymali rozkaz przeprowadzenia deportacji w miarę możliwości niezauważalnie dla miejscowych albo chodziło o to, żeby nas porządnie przestraszyć. Tam załadowano nas do wagonów towarowych i powieziono w głąb Rosji”.

Wtedy ani Wejgsmanowie, ani nikt inny nie wiedział, że wywożą ich od niechybnej śmierci – hitlerowcy zajęli Bieszenkowicze w lipcu 1941 roku i do 1943 roku rozstrzelali wszystkich miejscowych Żydów.

Przyczyną deportacji tak zwanych *zapadników*, czyli ludzi Zachodu, były obawy radzieckich władz, że na granicy skupiło się zbyt wielu obcych. W oficjalnych tajnych dokumentach nazywano ich „niepożądanym” lub „społecznie niebezpiecznym elementem”. Niepożądanym lub niebezpiecznym elementem dlatego, że mogli rozpowszechnić obcą burżuazyjną ideologię, zarażając naród radziecki „bajkami” o lepszym życiu na Zachodzie. Dlatego trzeba było wywieźć ich w głąb kraju, do specjalnych miejsc osiedlenia i obozów pracy.

Gina dzisiaj o tym wie. Natomiast wtedy ludzie gubili się w domysłach: za co spotkał ich taki los, czym zawinili?

Ale pytania pozostawały bez odpowiedzi. Nawet konwojujący nie wiedzieli, co powiedzieć.

Te retoryczne pytania uciekinierów, a w danym momencie deportowanych, wkrótce zmieniły się na bardziej konkretne: dokąd wiozą i jak długo będzie trwała podróż?

Rankiem w szpary w ścianach wagonów i w wąskie prześwity pod samym sufitem przenikało światło. W ten sposób ludzie wiedzieli, że zaczynał się nowy dzień długiej podróży.

Gina opowiada: „Jechaliśmy ponad miesiąc, zdaje się, że sześć tygodni. Nowy 1940 rok witaliśmy w drodze, a właściwie to on nas powitał. Rozmyślaliśmy, co też nam przyniesie?”.

Podczas całej drogi spotykaliśmy pociągi z Polakami i polskimi Żydami, które ciągnęły się w nieskończoność. Transport za transportem.

W większości byli to ludzie przymusowo wywiezieni z polskich ziem, anektowanych przez Armię Czerwoną we wrześniu 1939 roku – bez względu na ich pochodzenie, poglądy i przekonania. Często potocznie nazywano ich, używając propagandowej terminologii lat dwudziestych, „polskimi panami – krwiopijcami”. Stanowili jedynie trybiki w rozwiązaniu problemu „depolonizacji” anektowanych ziem. Ktoś sprzeciwiał się, ale co oczywiste, bez rezultatu. Czy można było przeciwstawić się potężnej radzieckiej maszynie władzy?

Tacy zaś jak Wejgsmanowie, żydowscy uciekinierzy, ratujący się przed hitlerowską zarazą, dobrowolnie przekroczyli granicę, nie mieli żadnego wyboru. To, co się z nimi stało, trzeba było przyjąć jako rzeczywistość.

Gina zapamiętała, jak zmieniano lokomotywy, świst pary wydobywającej się z komina parowozu, pisk i zgrzyt hamulców oraz ciągnącą się za pociągiem smugę dymu. Zapamiętała też tunele. Kiedy wagon pogrążał się w kompletnej

ciemności, wtedy ogarniał ją strach. W tunelach wszyscy dusili się od zapachu spalenizny, nie było czym oddychać. Tłusta sadza dymu z parowozu przenikała przez drzwi opieczutowanych wagonów.

W wagonie dokuczało nieznośne zimno. Pieca nie było. Pewnie ze względu na bezpieczeństwo pożarowe, przecież spaliśmy na słomie. Przemarzaliśmy do szpiku kości, układaliśmy się do snu nie rozbierając się. Ogrzewaliśmy się własnymi ciałami, taka szczególna, swego rodzaju Wejgsmanowska *tiepluszka*. Później Gina dowiedziała się, że niektóre „szczęśliwe” wagony do przewozu bydła, nazywane właśnie *tiepluszkami*, były ogrzewane za pomocą żelaznego pieca stojącego na środku wagonu z kominem wyprowadzonym na dach.

Gina wspomina: „Miałam miejsce między ojcem i Jankielem. Z drugiej strony ojca leżała mama z siostrzyczką. Za nią Hania. Ale i obcy ludzie, wcześniej nieznający się, chcąc nie chcąc w czasie podróży zbliżyli się do siebie. Wśród nich byli wierzący i ateści, mieszkańcy miast i prowincji, wykształceni i półanalfabeci, bardziej lub mniej sytuowani i bardzo biedni, wszyscy wspierali się jednakowo. Te doświadczenia czyniły ich wszystkich równymi względem siebie – szybciej niż komunistyczne hasła”.

W ich wagonie były 24 osoby, czyli tyle, ile przewidywało rozporządzenie NKWD, a które nie zawsze było respektowane. We wspomnieniach uciekinierów i deportowanych często przewija się informacja, że wagony były tak przepełnione, że nie było można ani stać, ani siedzieć. Inne punkty rozporządzenia o deportacji w ogóle nie były przestrzegane.

W wagonie nie było klozetu. Za potrzebą wychodzono na postojach między stacjami: kobiety – na lewo, mężczyźni – na prawo. Kucali pod wagonami (żeby, broń Boże, nie zostać, gdyby pociąg nagle ruszył, a poza tym przestrzeń dookoła była otwarta, mogło zasypać śniegiem – do wiosny nie znajdą). Gina pamięta, jak z zakłopotaniem odwracała wzrok od przykucniętych wzdłuż torów w równych rzędach tyłków, różowiejących na tle śniegu zmieszanego z sadzą.

Deportowanym nie zapewniano pożywienia. Dojadali to, co udało się zabrać ze sobą. Czasem tylko, kiedy pojawiała się możliwość i konwojujący byli w dobrych humorach, na postojach wymieniali swój dobytek na chleb lub ugotowane ziemniaki z miejscowymi, którzy ustawiali się na peronach rzędami.

Wieczorem wagon pogrążał się w ciemności. Ludzie szybko zasypiali z wyczerpania. Nocą budziły ich senne koszmary. Przy stukocie kół Ginie niejedyn raz śnił się wciąż ten sam sen: mknie na rowerze po piaszczystym brzegu Wisły.

Wtedy nie wiedziała, że nie mogłaby mieć roweru, nawet gdyby została w Warszawie. Wśród rozkazów okupantów był i taki, który dotyczył konfiskacji rowerów. Można tylko sobie wyobrazić, jakim byłoby to dla niej dramatem. Początkowo naziści konfiskowali rowery i inne rzeczy, potem – życie ludzkie. Na szczęście, chociaż bez roweru, Gina była poza zasięgiem rozporządzeń władz okupacyjnych.

Tymczasem koła wciąż miarowo stukały i stukały. Stopniowo, dzień za dniem, Wejgsmanowie oswajali się z przeogromnymi radzieckimi przestrzeniami. To nie była taka sobie przejażdżka z Pelcowizny do Jabłonnej, to wielki, potężny i mocarny Związek Radziecki, tysiące i tysiące kilometrów.

Gdy pociąg zatrzymywał się, parowóz zawsze znajdował się poza stacją kolejową, a najczęściej stawał na boczniczy kolejowej lub czasem w szczerym polu. Dlatego nazw poszczególnych stacji Gina nie zapamiętała. Okazało się, że i dorośli nie byli najmocniejsi w radzieckiej geografii. Można przypuszczać, że jechali przez Moskwę (objazdem), Czelabińsk, Pietropawłowsk, Omsk... Pociąg omijał duże miasta. A jeśli już zatrzymywał się, to na każdej stacji widzieli wyraźnie starannie wykaligrafowany wielkimi literami napis *КППЯТОК*, czyli WRZĄTEK. Początkowo Gina myślała, że tak nazywają się stacje, ale potem po zastanowieniu zrozumiała, że nie mogą nazywać się jednakowo wszystkie miejscowości w ZSRR.

Gina zapamiętała konwojujących pociąg jako prostych rosyjskich chłopców, wcale niestrasznych, a nawet życzliwych. Nie wszyscy deportowani wspominają ochronę NKWD w taki sposób. Cóż, Wejgsmanom poszczęściło się. „Na postojach żołnierze poganiali nas: „Biegiem, biegiem, szybko, szybko bierzcie wrzątek – mówi Gina. To była bezcenna rada, ponieważ wrzątek był ratunkiem. Czasem żołnierze wrzucali do wagonu „cegłę”, czyli bochenek czarnego chleba. Jak jeszcze mogli pomóc nam? Może sami nie wiedzieli, co przyniesie im jutrzejszy dzień. Oddawali dowódcom honor i tyle”.

Czasami długo stali, zdarzało się, że i po pół doby, ale skoro nigdy nie wiedzieli, o której godzinie pociąg ruszy, trzeba było zawsze się spieszyć.

Pociągi jechały poza wszelkim rozkładem jazdy i nikt o niczym nie informował: ani pasażerów, ani konwojujących. Dlatego jak tylko wszyscy zaopatrzyli się we wrzątek, musieli na łeb na szyję pędzić do wagonu. Pociąg mógł ruszyć w każdej chwili albo drogę do własnego pociągu mógł zagrozić inny skład – coś takiego się zdarzało. A co może być okropniejszego, niż nie zdążyć na swój pociąg? Właśnie w tamtym czasie przydała się Ginie umiejętność szybkiego biegania. A jeszcze nauczyła się nie rozlewać przy tym wrzątku, nie oparzyć się i donieść do swoich w całości „gorące danie”.

Słowo *kipiatok* – wrzątek utkwilo w pamięci Giny jako pierwsza próba czytania cyrylicy, jako pierwsza lekcja języka rosyjskiego. Stopniowo, już po drodze Gina poznawała coraz więcej rosyjskich zwrotów.

Nareszcie przyjechali do jakiegoś dużego miasta.

Tym razem pociąg nie przejechał w pędzie obok stacji, podjeżdżał do dworca powoli, statecznie, jakby pasażerowie powinni byli w pełni napawać się potęgą budynku dworca i samą nazwą miasta: Nowo-SYBIR-sk.

Słowo Syberia, które tak często rozbrzmiewało w wagonie, ale jakby nie miało realnego kształtu, swojego materialnego odpowiednika, a było raczej ogólnym określeniem tego, co widzieli wokoło: śnieg, burze śnieżne, zamiecie – to słowo nagle zmaterializowało się. Jak zimno i głód.

Bal dla Kopciuszka

Oczom nieszczęsnych podróżnych ukazało się coś zupełnie nie do opisania – Dworzec Nowosybirski. Był to olbrzymi budynek zajmujący wielką powierzchnię i tak ogromny, że nie można było objąć go wzrokiem. Przed ich oczami przesuwał się powoli wielki napis: NOWOSYBIRSK GŁÓWNY. Te dwa słowa same z siebie wywoływały bardzo mocne wrażenie: Sybir i – jakby tego było mało – w dodatku nowy i główny.

„Wyobraźcie sobie – mówi Gina – jaki kontrast: nie brzydkie, nie niepozorne budyneczki, na które napatrzyliśmy się po drodze, a świątynia, prawdziwa świątynia lśniąca nowością (dworzec był oddany do eksploatacji zaledwie rok przed przyjazdem Wejgsmanów). Dworzec ten mogłam porównać tylko z warszawską Wielką Synagogą na Tłomackiej.

Kazano nam wyjść z wagonów. Byliśmy brudni, niemyci, zaniedbani po długiej podróży i głodni jak wilki. Boże mój, jakże byliśmy głodni! I z pewnością przedstawialiśmy sobą okropny widok. Gdybym sama nie była w tym tłumie, to pewnie czym prędzej uciekałabym od niego.

Poprowadzono nas do hallu z bardzo wysokimi sufitami i łukowymi sklepieniami jak w jakiejś katedrze. Sala była zalana światłem i na marmurowej posadzce odbijały się światła lampionów. Zastygliśmy, oniemieliśmy i nie mogliśmy zrozumieć, gdzie jesteśmy”.

Gina pomyślała – wyraźnie to pamięta – że w takiej sali zmieściliby się wszyscy mieszkańcy jej rodzinnej Pelcowizny, gdyby ktoś zaplanował zorganizowanie dla nich balu. Były to takie dziecinne rozmyślenia o balu dla Kopciuszka. Zachwyciła się tym, co zobaczyła, ale był to zaledwie przedsmak tego, czym miała zachwycić się za chwilę.

„Poprowadzono nas do restauracji. Z sufitu zwisały cudowne kryształowe żyrandole. Na stołach leżały wykrochmalone białe obrusy z serwetkami, kryształowe kieliszki, wypolerowane sztućce. Nakarmiono nas gorącym

obiadem. Bezpłatnie. Po raz pierwszy od sześciu tygodni zjedliśmy prawdziwy obiad”.

Oszołomieni i zbici z tropu ludzie myśleli, że oto nareszcie dojechali do prawdziwego radzieckiego rajy z jego luksusem, blaskiem i obfityością. Skąd mieli wiedzieć, że w dworcowej restauracji obsługiwano ich na specjalne rozporządzenie władz radzieckich? Czyż mogli podejrzewać, że była to tylko triumfalistyczna propagandowa fasada radzieckiego stylu życia. Swego rodzaju „inscenizacja” radzieckiego cudu, który miał nastąpić, ale który z jakiegoś powodu w żaden sposób się nie pojawiał.

W takim razie co z nieogrzewanym wagonem ze słomą na podłodze? I budy, i nędza dookoła, aż po horyzont?

Wszystko zmieszało się, wszystko pomieszało się w umysłach tych umęczonych ludzi.

O czym mogli myśleć, kiedy wrócili do pociągu i pojechali dalej, coraz dalej? Być może mieli nadzieję, że pociąg wiezie ich do kwitnącego kraju – krainy mlekiem i miodem płynącej?

„Stalowym szlakiem”

Na dworcu nowosybirskim Wejgsmanowie zorientowali się, że z około pięćdziesięciu wagonów, które wyjechały ze stacji początkowej, zostało ich o połowę mniej. Oznaczało to, że wagony po drodze stopniowo odczepiano, a ich pasażerów pozostawiano w mijanych miastach i wsiach.

Oni wciąż jeszcze czekali na swoją stację przeznaczenia.

Z Nowosybirsk jechali magistralą *Turksybz*. Skrót ten utworzony z dwóch wyrazów był na ustach całego kraju i zdaje się wyrażał jego dynamiczny rozwój. Magistrala Turkiestan – Syberia łącząca Syberię ze środkową Azją, była bardzo znaną inwestycją. Nazwano ją stalowym szlakiem w ramach realizacji pierwszej pięciolatki. Został on zbudowany w rekordowo krótkim czasie i przebiegał przez tereny górzyste, pustynne i rzeki.

Jechali jeszcze co najmniej dwie doby i zdawało im się, że zmierzają na południe. Przydałaby się mapa, globus, kompas lub nauczyciel geografii, którego Gina tak bała się w szkole. Ostatecznie mogli być rozkład jazdy pociągów, ale niczego takiego pod ręką nie było. Minęli Barnaul.

Już świtało, gdy trzeciego dnia przybyli do stacji Leninogorsk.

Odczepiono dwa wagony, z których wysadzono pasażerów. Więcej już wagonów nie było. Prawdopodobnie był to ślepy tor, dalej przejazdu nie było. Wejgsmanowie byli ostatnimi pasażerami.

Jak się później wyjaśniło, był to jeden z najbardziej wysuniętych na północ punktów wschodniej części Kazachstanu, Kazachskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Radzieckie władze świadomie lub nie, kontynuowały dawną imperialną politykę: wysyłały *niebłagonadiożnych*, niegodnych zaufania Polaków (Polak, co oczywiste, zawsze był synonimem niepewności) tysiące wiorst od ich rodzinnych domów do nie całkiem rozpoznanego Kazachstanu. Nawiasem mówiąc, kulturowe zagospodarowywanie tego regionu rozpoczęło się w XIX

wieku w dużej mierze dzięki wykształconym polskim zesłańcom, wśród których byli tacy wybitni badacze, jak: Gustaw Zieliński, Alfred Januskiewicz, Karol Lubicz Chojecki, Tomasz Zan i wielu innych. Ale w odróżnieniu od zesłanych przez cara Polaków, w pełni świadomych powodów stosowanych wobec nich represji (walka przeciw Imperium Rosyjskiemu o niepodległą Polskę), Wejgsmanowie wciąż jeszcze nie wiedzieli, co ich czeka.

Sztuka czytania między wierszami

Perspektywa nieoczekiwanego napływu przesiedleńców z Zachodu do niedużego miasta znalazła swoje odbicie w lokalnej prasie. W gazecie „*Ridderskij Raboczij*” z 18 stycznia 1940 roku w notatce pod tytułem „Do Riddera przybywają robotnicy z zachodniej Białorusi” redakcja napisała: „Do pracy w Ridderze na placach budowy trustu *Altajstroj* przyjedzie 100 rodzin i 150 osób samotnych, byłych bezrobotnych z zachodniej Białorusi. Trwają przygotowania do przyjęcia nowych kadr. Tam, gdzie będą pracować przyszli robotnicy budowlani, przygotowywane są mieszkania z pełnym wyposażeniem, w których instalowane są radioodbiorniki. Organizacja partyjna *Promstroju* ⁸wyznaczyła kilku agitatorów, którzy po przyjeździe Białorusinów będą z nimi prowadzili rozmowy o Ridderze, poruszą także inne tematy”. Spodziewane zwiększenie liczby mieszkańców miasta miało nastąpić dzięki „byłym bezrobotnym zachodniej Białorusi”. Redakcja widocznie chciała podkreślić, że gdzie jak gdzie, ale nawet w niedużym, chociaż przemysłowym mieście praca dla przybyszów się znajdzie. (Wyjaśnijmy, że miasto Ridder zostało przemianowane na Leninogorsk w 1941 roku, o czym powiemy później).

Bezrobotni z Białorusi mieli przybyć lada dzień. Byli Żydami, co w notatce prasowej zostało wstydliwie przemilczane (o tym fakcie wiadomo z opowiadań świadków tego czasu). Oczywiście nie było też słowa o tym, że byli to Żydzi z polskich terenów anektowanych przez ZSRR we wrześniu 1939 roku, a także żydowscy uchodźcy z innych regionów Polski.

Propaganda radziecka – przeplatając prawdę z nieprawdą – pracowała w taki właśnie sposób. Sztuka czytania między wierszami była jedynym kluczem, z pomocą którego otwierał się dostęp, jeżeli nie do pełnej, to przynajmniej do częściowej informacji.

Wejgsmanowie przyjechali do miasta w drugiej połowie stycznia, ale

⁸ Altajstroj, Promstroj – przedsiębiorstwa przemysłowo-budowlane.

zostali potraktowani według odrębnej kategorii – nie jako bezrobotni z Białorusi. W Archiwum Głównym Wschodniokazachstańskiego Obwodu zachował się tylko jeden dokument odnoszący się do okresu przed napaścią Niemiec faszystowskich na ZSRR, czyli do czerwca 1941 roku, w którym uchodźcy zostali wyodrębnieni w oddzielną kategorię. Jest to „Lista polskich zbiegów [*pieriebieżczyków*] przybyłych z terytorium dawnej Polski, zajętego przez Niemcy, znajdujących się we wschodniokazachstańskim obwodzie, w mieście Leninogorsk”⁹. Wiadomo, że lista obejmuje 66 Żydów, samych mężczyzn. Nazwisk nie udało się ustalić, ponieważ placówki archiwalne z trudem rozstają się z kopiami dokumentów z powodu objęcia ich klauzulą tajności, jeżeli związane są z NKWD, lub działają zgodnie z radzieckim jeszcze przyzwyczajeniem „lepiej odmówić, niż dać zgodę”.

Zdawałoby się, że w oficjalnych dokumentach, w których nie ma miejsca na dziennikarską dowolność, odbija się prawdziwa rzeczywistość, lecz niejednokrotnie i tu odbija się ona w krzywym zwierciadle panującej ideologii. Ciekawie przedstawia się zastosowana w wykazie terminologia; uciekinierzy z Polski są w niej określani jako *pieriebieżczyki* (zbiegowie). Tymczasem zgodnie z regułami obowiązującymi w języku rosyjskim zbiegiem jest ten, kto przeszedł na stronę wroga i poddał się, sprzedawczyk, zdrajca przekazujący tajemnice lub poufne informacje. W ten sposób termin zgodnie z przeznaczeniem był wykorzystywany przez radzieckie władze: zbiegami nazywano tych, którzy przeszli do ZSRR przez granicę z okupowanej przez Niemców Polski, a potem zderzywszy się z radziecką rzeczywistością uciekli z powrotem. Gdybyż termin ten wykorzystywano tylko zgodnie z przeznaczeniem! Nic podobnego!

Należy zauważyć, że te same osoby, w zależności od stanu polsko-radzieckich stosunków na różnych etapach w latach 1939-1946, to znaczy od początku drugiej wojny światowej do momentu powrotu Polaków do ojczyzny,

⁹ *Istorija, pamiat`, liudi*. Ałmaty 2011, s. 38. Ten dokument znajduje się w Państwowym Archiwum Obwodu Wschodnio-Kazachstańskiego GA WKO, F. 462, Op. 4. D. 21. Ł.135-138.

były zaliczane raz do jednej, innym razem do innych kategorii. Nazywano ich administracyjnymi zesłańcami. Początkowo do tej kategorii zaliczano głównie urzędników polskiego aparatu rządowego, wysokiej rangi byłych oficerów Wojska Polskiego, przedstawicielei wielkiej burżuazji, działaczy burżuazyjno-nacjonalistycznych partii, Żydów, będących członkami partii syjonistycznych. Słowo „administracyjny” prawdopodobnie sugerowało, że osoby tej kategorii znajdowały się pod bezpośrednią administracyjną kontrolą NKWD. Kiedy indziej nazywano ich deportowanymi, wysiedleńcami lub specprzesiedleńcami. Byli także specjalni przesiedleńcy-uciekierzy, represjonowani (najczęściej za kontrrewolucyjną działalność z artykułu 58 Kodeksu Karnego), amnestionowani, *polgrażdanie* (czyli w skrócie polscy obywatele) lub „byli polscy obywatele”. A po rozpoczęciu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej nazywano ich najczęściej „ewakuowanymi”¹⁰. Wśród ludności nazywano ich nie ewakuowanymi, lecz *wykowyrinnymi*, to znaczy wydłubanymi. Zwykle tak bywa, że ludowe obiegowe słowo trafia w sedno. Polaków, niezależnie od kategorii przypisanej im w radzieckich dokumentach, rzeczywiście „wydłubano” z ich ojczystych stron, z poukładanego i zorganizowanego życia, a następnie przerzucono w obcą przestrzeń – w sensie geograficznym, klimatycznym, społecznym, ideologicznym, religijnym, kulturowym, estetycznym, językowym... Takimi „przerzuconymi” stali się także polsko-żydowski uciekierzy.

Różnorodność obowiązującej nomenklatury powodowała chaos, dlatego o porządku w tamtym czasie nie mogło być mowy. Przy całej swojej czujności i „kreatywności” urzędnicy NKWD gubili się w wymyślonej przez nich samej klasyfikacji.

Można przypuszczać, że rodzina Wejgsmanów znalazła się na liście zbiegów. Wszystko się zgadza: przyjazd rodziny w drugiej połowie stycznia

¹⁰ Pełna eufemizmów radziecka nowomowa towarzyszyła Polakom przez cały okres ich pobytu w Związku Radzieckim.

1940 roku i to, że w wykazie figuruje 66 osób (liczba ta pasuje do pasażerów dwóch wagonów odczepionych na stacji Leninogorsk – wszyscy byli Żydami). Wprawdzie podano, że wśród „zbiegów” byli sami mężczyźni, tymczasem do Leninogorska przyjechała także rodzina Wejgsmanów, w której były kobiety. Interesujący jest fakt, że w liście pasażerów w kolumnie „Za co skazany lub wysłany” zaznaczono „uchodźca”. Więc kim właściwie byli: zbiegami czy uchodźcami?

Tak czy inaczej do momentu rozpoczęcia wojny między Niemcami i ZSRR żadnego innego „desantu” Polaków na miasto nie było. Niewykluczone, że osoby wymienione w notatce prasowej i w wykazie są to te same, tylko z jakiegoś powodu do stacji Leninogorsk „bezrobotnych z zachodniej Białorusi” dojechało mniej, widocznie niektórych wysadzono wcześniej w innych miastach, które bardziej cierpiały na brak siły roboczej.

Jak zapamiętała Gina przyjazd do nowego miejsca zamieszkania? W jej prostej opowieści nie ma autocenzury ani literackich upiększeń, które spotyka się niekiedy w dziennikach czy wspomnieniach. Opowieści Giny są bezpośrednie i autentyczne. Właśnie w nich odtwarzają się fakty pominięte w licznych rządowych dokumentach, takie jak: strach, rozpacz, zwątpienie, nadzieja, bezsenne noce, niespodziewane radości – życie pojedynczego człowieka, doświadczonego potwornościami wojny i systemu społecznego, które przejechały się po tym człowieku najpierw gąsienicami niemieckich czołgów, a później kołami radzieckich pociągów towarowych.

Koniec „więzienia na kołach”

Tak więc w końcu stycznia 1940 roku Wejgsmanowie wysiedli na zaśnieżonym peronie stacji Leninogorsk. Gina opowiada: „Z naszej grupy, z jedenastu osób, do Leninogorska dojechało pięć: mama, tata, siostra, ja i Hania Meiersdorf. Jankiela wysadzono gdzieś po drodze; rodzina sąsiadów – jak już wspomniano, zniknęła jeszcze w Bieszenkowiczach – widać znaleźli znajomych w jednym z sąsiedzkich miasteczek, a babcię Etlę i jej córkę Manię zabrała do Białegostoku ciocia Dorka.

Jeszcze nie świtało. Z jakiegoś powodu wszystkie nasze przyjazdy i odjazdy wypadały przed brzaskiem. Była w tym pewna prawidłowość. W związku z tym, że zawsze budzono nas w środku nocy, nie do końca rozumieliśmy, dlaczego kazano nam przesiadać się, kiedy i dokąd nas pędzą. Samotne osoby miały zebrać się w jednej grupie, rodziny – w drugiej, i tu znalazła się nasza przerzedzona rodzina. Dość szybko sprawdzono nas według listy pasażerów. Myśleliśmy, że przywieziono nas do punktu docelowego. Z ulgą westchnęliśmy, że nareszcie dotarliśmy. Wszystko jedno dokąd, ale dojechaliśmy, wydostaliśmy się z pociągu, który pasażerowie nazwali «więzieniem na kołach». Ale myliliśmy się. Okazało się, że samotne osoby zostają w mieście, a nas powiozą dalej. Jak potem się dowiedzieliśmy, Rosjanie mówią w podobnej sytuacji: *K czortu na kulicziki*, czyli «Tam, gdzie diabeł mówi dobranoc». Przy stacji stała przedpotopowa ciężarówka. Załadowaliśmy się. Po wyślizganej w śniegu koleinie dotaszczyliśmy się do tak zwanego Drugiego Rejonu, który znajdował się w odległości 18 kilometrów od stacji”.

No cóż, Drugi Rejon, to Drugi, pomyśleli Wejgsmanowie. Wtedy nie miało to żadnego znaczenia. Dopiero potem okazało się, że były też inne osiedla: Pierwsze, Trzecie i Czwarte.

Jechali jeszcze około godziny, jakby sześciu tygodni na kołach było mało.

Wszystko dookoła było pokryte śniegiem. Była tu tylko jedna ulica, zabudowana długimi, drewnianymi barakami. Ani chodnika, ani jezdni. Po prostu droga, a po bokach ubity śnieg. Biało, bielusieńko i to wszystko.

Podwieziono nas do baraku, w którym mieszkały rodziny i gdzie było „zarezerwowane” miejsce dla nas. Kazano się wyładowywać. Mieszkało tu kilka rodzin, jak się okazało później, było ich osiem. Pokoje były przedzielone przegródkami z dykty lub firanką na sznurku. Toaleta, wiecznie słabe ogniwo radzieckiego socjalizmu, znajdowała się za barakiem na ulicy – była to sklecona byle jak budka pełna szczelin.

Do sieni wylegli sąsiedzi. Przez ciekawość? Wydali się całkiem życzliwi. Zapoznaliśmy się. Wśród nich nie było ani Polaków, ani polskich Żydów.

Pierwsza rzecz, o którą zapytaliśmy, jaki nasz nowy adres. Chcieliśmy go czym prędzej przesłać rodzinie w Polsce, teraz tak nieosiągalnej, tak dalekiej.

Nowy adres

Sąsiedzi podali Wejgsmanom nowy adres:

Kazachska SRR (Kazachska Socjalistyczna Republika Radziecka)

Obwód wschodniokazachstański

Miasto Ridder (Leninogorsk)

Drugi Rejon

Kiedy zapytali o nazwę ulicy i numer domu usłyszeli, że te informacje nie są im potrzebne – „tutaj wszyscy się znają”.

Wejgsmanowie oczywiście nie mieli najmniejszego pojęcia, czym jest wschodniokazachstański obwód. Okazało się, że jest to ogromny obszar; z jednej strony – radziecka Syberia, z drugiej granica z Chinami ¹¹. Znacząca jego część to góry Ałtaj pełne cennych kopalin. To nie przypadek, że było tutaj rozwinięte wydobycie i obróbka metali kolorowych: złota, ołowiu, cynku i innych. Tam, gdzie są góry, tam są rwące rzeki i gęste lasy, dlatego też energetyka i leśnictwo tego obwodu były znane w całym kraju od Sankt-Petersburga do Władywostoku.

Ridder, miasto, które przyjęło uciekinierów Wejgsmanów, położone jest na Rudnym Ałtaju u stóp górskiego Iwanowskiego pasma, w górnym odcinku rzeki Ulba, będącej dopływem Irtysza, jednej z potężnych syberyjskich rzek.

Wejgsmanowie nie mieli pojęcia o przeszłości miasta i obwodu, a ta przeszłość naprawdę jest godna uwagi.

¹¹Wschodniokazachstański obwód powstał w 1932 r. Obwodowym centrum administracyjnym było miasto Semipałatyńsk. W 1939 r. semipałatyński obwód został wydzielony ze wschodniego Kazachstanu, a centrum administracyjnym wschodniokazachstańskiego obwodu stało się miasto Ust'-Kamienogorsk. Następnie, w 1997 r., terytorium byłego, a obecnie zlikwidowanego semipałatyńskiego obwodu, ponownie włączono do wschodniokazachstańskiego obwodu. Takie zamieszanie, taki rozgardiasz...

Swoje powstanie i pierwszą nazwę miasto zawdzięcza młodemu radcy górniczemu Philipowi Ridderowi, który odkrył bardzo bogate złoża rud metali na zboczach Zachodniego Ałtaju, o czym meldował swojemu kierownictwu: „Odkrycia tego dokonałem w dzień św. Trójcy dnia 31 maja 1786 roku. Moim zdaniem odkrycie zasługuje na dalsze badania...”.

Dzięki takim sprzyjającym czynnikom, jak znajdujące się w pobliżu rzeka i las, otwarto kopalnię, przy której zbudowano zakład wzbogacania rud, unikalne i najbogatsze górniczo-przemysłowe przedsiębiorstwo.

Jednak to bogactwo w żaden sposób nie przekładało się na dobrobyt i pomyślność robotników kopalni. Jak podają historycy, zarobki były marne i robotnicy otrzymywali nie pieniądze, lecz kartki na produkty spożywcze, które można było zrealizować w sklepach z cenami dowolnie ustalonymi przez właścicieli kopalni. Był też rozbudowany system kar finansowych, który zmniejszał dotkliwie i tak małe zarobki robotników. Pracowali po 12 godzin dziennie. Zatrudnieni byli głównie zesłańcy, którzy trafili tutaj za rozmaite przestępstwa. Nic dziwnego, że niejednokrotnie uciekali z tego piekła, za co karano ich bezlitośnie.

Po rewolucji 1917 roku, już w okresie władzy radzieckiej, w tutejszym życiu nic się nie zmieniło na lepsze. Obserwatorzy pisali: „Robotnicze osiedle sprawia żalotne wrażenie. Brud, bieda, nędzny poziom życia i ogromne zaniedbania w smętnych robotniczych chatach i ruderach.” Nic dziwnego, że królowało tu pijaństwo i rozpasanie.

W latach trzydziestych, szczególnie w związku z wizytą w 1934 roku popularnego działacza politycznego i gospodarczego, który odpowiadał za rozwój przemysłu, Siergieja Mironowicza Kirowa, niewielką osadę górniczą Ridder błyskawicznie przebudowano w dość dobrze zagospodarowane miasto ze sklepami (pojawiło się ich sześć), mieszkaniami (o ogólnej powierzchni ponad 3 tysiące mkw.), brukowanymi ulicami, powstały także chodniki. Otworzono przyfabryczną szkołę zawodową, kino i założono park. Równocześnie

postanowiono upamiętnić „znakomitego człowieka” Kirowa, nazywając jego imieniem hutę ołowiu, zbudować samolot “Kirow” za pieniądze klasy robotniczej, stworzyć centralny park wypoczynku i kultury imienia Kirowa oraz wybudować stadion tego samego imienia. Postanowiono także nazwać imieniem Kirowa jedną z centralnych ulic miasta i przyznać uczniom miejscowego technikum górniczego 5 stypendiów jego imienia, itd., itp. Zdaje się, że to zmodernizowane w błyskawicznym tempie miasto zostałoby przemianowane z Riddera na Kirow, gdyby nie to, że 1 grudnia 1934 roku Kirow został zamordowany, a 5 grudnia jego imię otrzymało miasto Wiatka, niedaleko którego się urodził.

Aby wyobrazić sobie, gdzie mieszkali Wejgsmanowie od stycznia 1940 roku do kwietnia 1946 roku, opiszemy pokrótce Drugi Rejon (jego nazwa funkcjonuje do dziś). Jest to osiedle robotnicze na przedmieściach Riddera. Powstało przed rozpoczęciem budowy zespołu trzech hydroelektrowni na górskich rzekach w latach 1933-1938. Z Drugiego Rejonu biegła droga w góry, gdzie na poziomie 1680 metrów zbudowano unikalną, jedyną na świecie w tamtym czasie, wysokogórską zaporę narzutową. Z tej wysokości woda z ogromną siłą spadała drewnianym (!) derywacyjnym rurociągiem o średnicy 3 m i długości około 7 km (niektóre źródła podają, że został on wpisany do Księgi rekordów Guinnessa). Prace budowlane wykonywali głównie zesłańcy administracyjni i specprzesiedleńcy. W związku z tym, że projekt był rzeczywiście unikalny i nowatorski w skali światowej, partyjne kierownictwo trustu *Ulbastroj* poświęciło dużo uwagi sprawom socjalnym, kulturalnym i usługom. Zbudowano względnie wygodne baraki mieszkalne, klub, powstały boiska sportowe, biblioteka i punkt medyczny. Po zakończeniu budowy zespołu hydroelektrowni duża część specprzesiedleńców w latach 1938-1939 była

przeniesiona na inne place budów, a w barakach osiedlano zwykłych mieszkańców¹².

Tak właśnie wyglądała przystań Wejgsmanów.

¹² Informacja otrzymana z Muzeum Krajoznawczego miasta Ridder.

Luka w pamięci

Wróćmy jednak do historii nazwy miasta.

Wiemy, że Ridder został oficjalnie przemianowany 6 lutego 1941 roku na miasto Leninogorsk. Jednak Gina twierdzi, że jej rodzina przyjechała w styczniu 1940 roku nie do miasta Ridder, lecz do Leninogorska i że nazwy Ridder Wejgsmanowie nigdy nie słyszeli. W każdym razie nie zachowała się ona w ich pamięci. Jak to się mogło stać? Cóż to za zagadkowa luka w pamięci?

Można zaproponować kilka wariantów odpowiedzi.

Niewykluczone, że chociaż w 1940 roku miasto nazywało się Ridder, to stacja kolejowa nazywała się inaczej – Leninogorsk i taką nazwę Wejgsmanowie zobaczyli po przybyciu na miejsce osiedlenia. Ale jak zatem zrozumieć, że Dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 25 października 1956 roku stacja Ridder Turkiestańsko-Syberyjskiej Kolei przemianowana została na stację Leninogorsk? Przy czym w 1956 roku miasto pozostawało Leninogorskiem. Skąd to zamieszanie? Czy po to, by pozamiatać ślady historii? Może ktoś z władz miejskich postanowił tym sposobem „przejawić inicjatywę”? Czy to znaczy, że „po drodze” stację przemianowywano kilkakrotnie? Dokładnie tak jak arbitralnie, nie pytając narodu o zdanie, przeprowadzano podział terytorialny obwodów, wyznaczano stolice, granice wewnątrz i poza ZSRR? Naród przyzwyczaił się do tego rodzaju sowietyzmów...

Jest jeszcze jedna hipoteza, chociaż mniej wiarygodna, bazująca na tym, że już w 1940 roku mieszkańcy miasta słyszeli, że Ridder ma być przemianowany na Leninogorsk i zaczęli używać tej nazwy – przecież Lenin był im bliższy niż jakiś Niemiec o nazwisku Ridder, sprzed stu pięćdziesięciu lat.

Jest całkiem pewne, że zmiana nazwy z 1941 roku miała głęboko ideologiczne podłoże i używanie poprzedniej na cześć carskiego inżyniera górnictwa P. Riddera było zakazane, mało tego – przez to można było narazić się na represje. Zwykle przy zmianie nazwy ta poprzednia funkcjonuje stosunkowo długo; zdarza się, że ludziom potrzeba dziesięcioleci, aby przyzwyczać się do nowej. W 1941 roku mieszkańcy Riddera szybko odzwyczaili się od nazwy „Ridder”. Nikt nie chciał ryzykować utraty wolności lub nawet życia. Należy pamiętać, że w ZSRR strach był nieustannie obecny w życiu ludzi, był ich stałym towarzyszem – prawie jak mieszkania bez wygod, za to z nieodłącznymi karaluchami. Wobec tego nie można się dziwić, że Wejgsmanowie, którzy przybyli kilka miesięcy przed zmianą nazwy, zapamiętali nową leninowską nazwę, a starą na zawsze wykreślili z pamięci, jak wykreślali z fotografii postaci radzieckich działaczy, którzy według Stalina mieli coś na swoim sumieniu. Zaiste dziwne zniknięcie...

Na zakończenie należy dodać, że Dekretem Prezydenta Kazachstanu z dnia 28 czerwca 2002 roku, tym razem „uwzględniając opinie miejscowych przedstawicielskich i wykonawczych organów wschodniokazachstańskiego obwodu” (nowe czasy i nowe decyzje), miasto Leninogorsk otrzymało z powrotem swą historyczną nazwę Ridder. Obecnie mieszka tam 56 tysięcy mieszkańców (według spisu ludności z 1999 roku). Położone jest w odległości 106 km od obecnej stolicy wschodniokazachstańskiej – miasta Ust`-Kamienogorsk. Stacja kolejowa do dziś zachowała nazwę Leninogorsk. Jak to nazwać: nowe czasy – stare przyzwyczajenia? Prawdziwy rebus, który będą musieli rozwiązać miejscowi historycy.

Milcząca przestrzeń, milczący czas

Rozmach budownictwa przemysłowego w Drugim Rejonie robił imponujące wrażenie, jednak tutejsze warunki socjalno-bytowe wydawały się warszawiakom Wejgsmanom dość ubogie. Natomiast otaczająca przyroda zadziwiała swoją wspaniałością. Potężne góry z zaśnieżonymi szczytami sięgającymi nieba, które wyglądały w księżycowym blasku jak mityczne giganty. Wielkie i rwące rzeki. Niezamarzające bagna wciągające ludzi w swoje mroczne królestwo.

Żywioł.

Górski Altaj to surowa kraina. Zima bez odwilży trwa dziewięć miesięcy. Zamiecie, śnieżyce – od jaskrawego, skrzącego się śniegu i ostrego wyjącego wiatru z oczu leją się łzy. Natomiast w słoneczną, spokojną pogodę ukazuje się bajkowe piękno. Zaspy – jak te wielkie śnieżne czapy. Drzewa – jak w krainie Królowy Śnieżki. I jeszcze skrzypienie, niezapomniane skrzypienie suchego śniegu pod nogami... Nieskazitelna biel.

Potem krótka wiosna, deszcze, na drogach błoto. Góry przypominające ręcznie utkany przez wspaniałe mistrzynię dywan – całe w kwiatach.

Lato, na które tak bardzo się czekało, mijało szybko, jak jedna chwila. I znów – ciężka zima.

Czy Wejgsmanowie, porzucając Warszawę w listopadzie 1939 roku, mogli sobie wyobrazić, dokąd los ich rzuci? Przed oczami wciąż była, choć stopniowo blednąca, warszawska jesień, słoneczna, ciepła... Czy mogli przypuszczać po przyjeździe w te strony, że ten „inny” świat stanie się ich codziennością?

Wątpliwe. Takie teraz było ich miejsce: straszne, biedne, ale też piękne, zagadkowe, mistyczne...

Gina mówi: „Taka była nasza przestrzeń. Nasze «stałe miejsce zamieszkania» – taki zapis figurował w radzieckich dokumentach.

A czas? Właśnie to była najbardziej złożona i zagadkowa kwestia.

Jak długo nam wypadnie tu być? Rok? Dziesięć lat? Czy zostaniemy tutaj na zawsze?”.

„Na zawsze? Na zawsze?” – to pytanie tkwiło w głowie Giny i nieustannie ją prześladowało. „Kiedy skończy się wojna? Jak się skończy? Co nam przyniesie jej zakończenie? Czy to, że jesteśmy tutaj, będzie to ratunek przed faszystowską dżumą czy zesłaniem, katorgą – powolną śmiercią?”.

Daremne pytania. Nie było kogo zapytać.

Wejgsmanowie spędzili tutaj sześć lat. Czas możliwy do objęcia wyobraźnią, lecz tylko w tym przypadku, jeśli się wie, że będzie on miał swój koniec. A jak żyć i przeżyć, jeżeli tego nie wiesz?

W istocie w skali historycznej, nawet w skali życia jednego człowieka, nie jest to czas „nieokreślony” – można go ująć w 72 miesiące i trochę – ponad dwa tysiące dni, zwłaszcza gdy czas ten już minął. Inaczej jest, kiedy przed nami nieznana przyszłość. Wtedy nawet rok ciągnie się w nieskończoność.

„Byli polscy obywatele”

Gina opowiada: „Polskie dokumenty, te które pozostały rodzicom po rozpasanej akcji Niemców na Dworcu Wschodnim, zabrano nam jeszcze w Bieszenkowiczach, zaraz po przekroczeniu granicy. W zamian za to dano nam radzieckie, tymczasowe. Słyszeliśmy, że niektórzy Polacy i polscy Żydzi, przymusowo deportowani z anektowanego terytorium Polski, nie oddawali swoich dokumentów i nie zgadzali się na przyjęcie obywatelstwa radzieckiego nawet pod groźbą więzień i obozów – «za niepodporządkowanie się władzom». Cóż w tej sytuacji mogli zrobić żydowscy uchodźcy, którzy uciekając przed niemiecką zarazą dobrowolnie przekroczyli granicę? Nie mieli wyboru i musieli przyjąć obywatelstwo radzieckie”.

Powstaje pytanie, czy wraz z paszportem można odciąć się od swojej tożsamości? Przy dużym zróżnicowaniu tych „z Zachodu”, co do narodowości, przekonań, pochodzenia społecznego i wyznawanej wiary, jedno było wspólne dla wszystkich – nawet tych o lewicowych poglądach – niezwykle trudno było raz na zawsze uczynić z nich radzieckich ludzi.

Co ciekawe, nadanie Polakom obywatelstwa radzieckiego nie było wynikiem jednorazowej decyzji władz, a trwającym procesem. Zobrazujemy w skrócie, jak to wyglądało na poszczególnych etapach.

W 1941 roku, po napaści Niemiec na ZSRR i podpisaniu polsko-radzieckiego porozumienia o wspólnej walce przeciwko faszyzmowi, „byłym polskim obywatelom” przywrócono polskie obywatelstwo. Wiosną 1942 roku, w związku z pogorszeniem radziecko-polskich stosunków, Polacy znów zostali pozbawieni polskiego obywatelstwa. Sprawa polskich Żydów była bardziej skomplikowana; wystarczy powiedzieć, że w 1944 roku w okresie „paszportyzacji” wszystkich polskich Żydów zmuszono do przyjęcia obywatelstwa radzieckiego.

Już 6 lipca 1945 roku, zgodnie z umową z Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej, osoby, które posiadały obywatelstwo polskie przed 17 września 1939 roku, miały prawo do rezygnacji z obywatelstwa radzieckiego.

Dziś, gdy nie ma już na świecie rodziców Giny, nie można ustalić, jaki był w różnych okresach ich status. Wejgsmanowie raczej nie wiedzieli o tych wszystkich radziecko-polskich grach politycznych – mieszkali zbyt daleko od skupiska Polaków, bowiem w Leninogorsku było ich mało, a co dopiero w Drugim Rejonie, - gdzie rodzina Wejgsmanów była właściwie w izolacji. Po prostu w 1939 roku otrzymali radzieckie dokumenty i z nimi żyli. Ściślej mówiąc, przetrwali. Powoli i z trudem.

W rodzinnym albumie Wejgsmanów zachowały się maluteńkie fotografie mamy i ojca Giny wykonane w Leninogorsku. Są one w formacie zdjęcia do radzieckiego paszportu. Tak naprawdę nie widać, kogo przedstawia fotografia. Pewnie dla władz nie było to takie ważne: jakieś zdjęcie, jakaś twarz i czyjś wizerunek. Ważne, że foto wykonano ściśle według instrukcji, a reszta – jaka to różnica! Możliwe, że fotografie okazały się potrzebne w momencie wymiany tymczasowych dokumentów tożsamości na stałe dowody osobiste, tak zwane paszporty, zgodnie z przepisami, „po przyjeździe do miejsca zesłania”. Możliwe. Raczej tak właśnie było.

Dziś już nie da się ustalić, czy w paszportach Abrama i Dory były jakieś „szczególne adnotacje”. Na przykład w dokumentach „administracyjnie zesłanych”, w kolumnie nr 10 zaznaczało się, że paszport jest ważny jedynie w obrębie rejonu, w którym danej osobie kazano mieszkać. Próby ucieczki z miejsc osiedlenia były w bezwzględny sposób udaremniane.

Gina nie pamięta adnotacji w paszportach rodziców, a swojego nie miała. Jak wszyscy obywatele radzieccy powinna była mieć swój dowód osobisty od momentu ukończenia 16 lat, czyli od stycznia 1942 roku. Ale nie miała. Nie

była zaewidencjonowana? NKWD jakimś sposobem przegapiło jedną polsko-żydowską duszę.

Mozaika ludzka

W Drugim Rejonie mieszkała tylko jedna polsko-żydowska rodzina uchodźców – „zbiegów”. A poza nimi, kogo tutaj nie było! Rosjanie, którzy zapuścili tam korzenie: potomkowie rekrutów, możliwe, że nawet z XVIII wieku¹³; synowie i wnuki zesłańców, w tym politycznych jeszcze z czasów carskich; radzieccy zesłańcy, rozkułaczeni chłopci; specprzesiedleńcy z lat trzydziestych: Ukraińcy, radzieccy Polacy z przygranicznych z Polską regionów Ukraińskiej SRR, nieco później pojawili się Niemcy z Powołża, ludzie z Kaukazu – Czeceńcy, Karaczajowie, Bałkarzy, Czerkiesi i Ingusze; Tatarzy z Krymu...

Kiedy jeden z deportowanych Polaków Jakub Eliasberg, który pozostawił bezcenne wspomnienia¹⁴ o zsyłce do Kazachstanu, usłyszał po raz pierwszy słowo „specprzesiedleńcy” pomyślał, że chodzi o przesiedleńców – fachowców posiadających różne specjalności zawodowe, mających dźwignąć radziecki przemysł. Tymczasem okazało się, że są to ci, których wyrwano z ojczystych

¹³ Historycy, bogatego w pokłady rudonośnych zasobów naturalnych Altaju, piszą: „Administracja kopalni tworzyła oddziały rekrutów według wojskowych zasad i wojskowych procedur tamtych lat. Oddziałami rekrutów dowodzili górniczy oficerowie. Celem uzupełnienia siły roboczej, nabór rekrutów odbywał się w altajskim okręgu górniczym i po jego zakończeniu oddziały rekrutów były rozdzielane do poszczególnych kopalni i fabryk. Służyli w oddziałach 35 lat, później służbę skrócono do 25 lat. [...]

Następstwem nędznego życia i wyczerpującej, 14-dniowej pracy było pijaństwo do utraty przytomności w wolne od pracy dni. Pili wszyscy bez wyjątku: mężczyźni i kobiety, dzieci i dziewczęta, ponieważ wódka stanowiła jedyną dostępną rozrywkę. [...] Zasadnicze cechy charakteru mieszkańców wsi, to: nietowarzystwość, ponurość i posępność. W Ridderze jest ulica Kureka (dawniej Stalina), która ponuro wstawiła się tym, że niepokornych robotników przeganiano przez szpaler i bezlitośnie bito ich pałkami. Do dziś ta ulica nieoficjalnie nazywa się „ulicą pałek”. Nieludzkie warunki pracy i nędzne życie były przyczyną częstych ucieczek młodych robotników. Kara za ucieczkę była jedna – 500 razów kijem, a potem powrót do kopalni. Taka kara uważana była za łagodną, ponieważ nierzadkie były przypadki wymierzania 2000 uderzeń kijem: winowajcę przeganiano czterokrotnie po ulicy i w każdym biegu otrzymywał on po 500 razów. Jest oczywistym, że robotnik albo umierał od razu po wymierzeniu kary, albo ogarnięty uczuciem bezsilności popełniał samobójstwo. W historii Riddera najsurowiej ukarano osiemdziesięcioletniego górnika Malcewa, którego za częste ucieczki i upór na rozkaz żandarma Domaniewskiego przykuto łańcuchem do ściany w opuszczonej sztolni i żywcem zamurowano.

¹⁴ W rękopisie. Korzystając ze sposobności autorka dziękuje córce Jakuba Eliasberga, pani Tamar Peleg (Izrael) za umożliwienie przeczytania rękopisu.

miejsc i przywieziono tutaj na podstawie „specjalnego” rozporządzenia rządu jako społecznie i politycznie niebezpieczny element kontrrewolucyjny. Mieli oni „uzupełnić braki w sile roboczej”. Później na mocy rozporządzenia „O trybie wywozu kontyngentów osobowych i cennego mienia” przyjechali obywatele radzieccy ewakuowani z okupowanych przez hitlerowców obszarów.

Dziwna rzecz, ale Kazachów w Drugim Rejonie nie było zbyt wielu. Mimo partyjnych dyrektyw dotyczących zakorzenienia, to znaczy osiedlenia osób narodowości kazachskiej, a także zatrudniania ich w przemyśle (taka była radziecka polityka narodowościowa do połowy lat trzydziestych: wszelkie odstępstwa od niej i wypaczenia podlegały surowej karze), Kazachom udawało się żyć gdzieś na uboczu swoim tradycyjnym, koczowniczym życiem. W pobliżu nie było jurt, wielbłądów, egzotyki, żadnego ludowego kolorytu. Jednym słowem, nie było niczego takiego, co zwykle obcokrajowcom kojarzy się z Kazachstanem. Zresztą jest on tak wielki i różnorodny, że to wcale nie powinno dziwić. Ale taki jest komentarz Giny z perspektywy jej dzisiejszej wiedzy. Wtedy zaś dziwiła się bardzo: „Patrzcie, tu jest Kazachstan, a Kazachów prawie nie widać”. Kiedy spotykała tubylców o wystających kościach policzkowych i skośnych oczach, nie mogła powstrzymać się, żeby nie gapić się na nich z zaciekawieniem, może nawet z niedowierzaniem”. „Oni dokładnie tak samo gapili się na nas”, dodaje z uśmiechem Gina. Miejscowi opowiadali, że Kazachów z kolei zdumiewały nasze, jak mówili, „okrągłe oczy (żydowskie), podobne do krowich”. Oczywiście obcy także wywoływali ich zaciekawienie, jak zawsze wywołuje je „inny” człowiek.

Gina kontynuuje swoje opowiadanie: „W każdym pokoju naszego baraku słyszało się inną mowę. Była to swego rodzaju wieża Babel. Na co dzień porozumiewano się oczywiście po rosyjsku. Uczyliśmy się go niejako w biegu. Rodzice rozmawiali w jidysz; moja młodsza siostra nie rozumiejąc ani słowa myślała, że jest to ich sekretny język. Częściowo tak też było. Rodzice rozmawiali ze mną i siostrą po polsku, ale w obecności postronnych osób

zawsze po rosyjsku. Prawdopodobnie obawiali się wzbudzenia podejrzeń, że mają coś do ukrycia. Jednak na przekór wysiłkom władz siejących strach i podejrzliwość, utrzymywaliśmy dobre stosunki z sąsiadami, nie zwracając uwagi na bariery językowe i inne trudności. Potwierdziło się, że życie pełne kłopotów zbliża ludzi do siebie”.

Miejscowi partyjni propagandiści nieustannie prowadzili szkolenia, zwracając uwagę na konieczność zwiększenia czujności w kontaktach z przybyszami. W licznych pisemnych dyrektywach kierowanych z centrum w teren z adnotacją „tajne”, „ściśle tajne”, „nie podlega rozpowszechnianiu” lub „teczka specjalna”, pisano wprost: „W przypadku wrogo nastawionych specprzesiedleńców prowadzących antyradzieckie dyskusje, należy położyć kres takim zachowaniom nie dopuszczając do deprawacji pozostałej ludności”. Osobom, które nie stosowały się do tych pouczeń groziły kary.

Gina nie wie, czy ich sąsiadów poddawano takiej propagandowej obróbce, ale sądzi, że jeśli nawet byli poddawani, to doznawszy od radzieckiej władzy tylu krzywd, puszczała propagandowe pouczenia mimo uszu.

Natomiast przedstawiciele władzy obserwowali specprzesiedleńców w pracy i poza nią. Wejgsmanowie nie byli wyjątkiem. Jednak pochłonięci tym, jak przeżyć, nie zauważali, że są poddawani specjalnemu śledzeniu.

Zarówno byli warszawiacy, jak i ich sąsiedzi dokładnie wiedzieli: chcesz żyć – trzymaj język za zębami. Nawet gdy władasz nie jednym, a trzema.

Syrena fabryczna

Gina opowiada: „Zaraz po przyjeździe sąsiedzi wyjaśnili nam, że w ciągu jednego, dwóch dni musimy podjąć pracę. Pracę oczywiście fizyczną, jeśli nie w kopalni, to w tartaku.

Państwo miało chyba wobec deportowanych tylko jeden obowiązek – przetransportowanie nas na miejsce osiedlenia. Jeżeli chodzi o pracę, władze niespecjalnie się tym przejmowały. Chociaż w niektórych dokumentach wyraźnie zaznaczano, że władze miały obowiązek zapewnienia przesiedleńcom pracę, to w innych zdecydowanie tego prawa odmawiały. Władze wiedziały, że sami znajdziemy pracę, bo głód nas do tego zmusi. Głoszono także hasło: «Dla darmozjadów nie ma u nas miejsca». Cóż, ta zasada była w pełni w duchu «polskich» przedwojennych przekonań ojca.

Ojciec zatrudnił się w tartaku. O niczym innym nie marzył – była to praca prawie odpowiadająca jego stolarskim kwalifikacjom. Robotnicy ścinali drzewa, następnie spuszczały je górskimi zboczami i na dole inni je rozpiłowywali. Drewno częściowo wykorzystywano dla potrzeb miejscowej produkcji, a resztę załadowywano na wagony i wysyłano do innych przedsiębiorstw.

Każdego ranka budziła nas syrena fabryczna.

W czasie zimy prawdziwym wyzwaniem było wydostanie się z domu. Przez noc napadało tyle śniegu, że nie można było wyjść z baraku. Mężczyźni wstawali wcześniej, wydostawali się przez przewód kominowy na dach, zeskakiwali w zaspę i rozgarniali śnieg tak, żeby można było otworzyć drzwi.

Dobrze zapamiętałam wołanie sąsiadów o świcie: «Abramie, chodź odkopywać barak!» I to, że specjalną skrobaczką zeskrobywaliśmy lód z okien, w przeciwnym razie w pokoju było ciemno, ponuro, jak w trumnie.

Nierzadko opadom śniegu towarzyszył taki wiatr, że zwałało z nóg. Idąc do pracy, musieliśmy się mocno wzajemnie przytrzymywać, aby nie zniosło nas jak Mary Poppins do... tajgi. Dodatkowo, żeby nie zgubić drogi i nie zabłądzić

we mgle, orientowaliśmy się na słupy telegraficzne, które były zasypane śniegiem prawie po sam czubek. Ale wokół słupów nie utrzymywał się, tworzyły się miejsca, w których topniał do samej ziemi. Takie miejsca nieomylnie wskazywały nam drogę.

Zapamiętałam także inny przejaw sąsiedzkiej solidarności. W sytuacji, gdy nie było krewnych, sąsiedzi tworzyli szczególną społeczność: nie rodzina, ale i nie obcy, współczujący sobie nawzajem i wspierający się. Ojciec i nasz sąsiad, rosyjski zesłaniec pracujący jako kierowca ciężarówki, mieli jedną wspólną parę walonek. Kiedy nasz sąsiad Stiepan wracał z pracy, jego żona Kława podsuszała walonek i przynosiła je mojemu ojcu. Później moja mama czekała na powrót taty z pracy, żeby zabrać walonek, podsuszyć je i oddać sąsiadowi. Ojciec i Stiepan, dzięki Bogu, pracowali na różnych zmianach.

Pracy nie odwoływano nawet przy 35-stopniowych mrozach. Pracowali również chorzy, którzy tak bardzo bali się, żeby nie wpisano im nieusprawiedliwionej nieobecności. Lekarza, który mógłby „błogosławić” chorym nieszczęśnikom i wypisać im zwolnienie widzieli, jak dobrze poszło, kilka razy w roku. Deportowani byli bezbroni i wobec otaczającego żywiołu natury, i wobec radzieckich porządków.

Ojciec, jak i wszyscy w rejonie, pracował od siódmej rano do siódmej wieczorem. Wychodził do pracy, gdy było ciemno, wracał również po ciemku. Robotnicy mieli prawo do 15-minutowej przerwy. Pewnego razu ojciec wiecznie zmęczony zasnął w czasie przerwy. Mogli go wtedy ukarać i pociągnąć do odpowiedzialności, co oznaczałoby zapewne sąd i wysłanie do obozu, a niewykluczone, że czekałby go obóz bez wyroku sądu. Polaków nieustannie przecież podejrzewano o sabotaż. Szczęśliwie tym razem obeszło się nawet bez kary (zwykle było to zmniejszenie wynagrodzenia przez trzy miesiące). Ojca uratował kolega, który go obudził.

Kiedy mówię o wynagrodzeniu – dodaje Gina – mam na myśli nie pieniądze, bo tych nigdy nie widzieliśmy, tylko tak zwany przydział żywności w

formie kartek na chleb, które można było zrealizować w sklepie sprzedającym produkty normowane. Powiem tylko, że półki były tam puste. Z tamtego czasu zapamiętałam jeszcze takie oto zdarzenie – ludzie bardzo spragnieni chleba wyrzucili mnie kiedyś z kolejki krzycząc: «A ta z dużymi cyckami skąd się tutaj wzięła?! Ona tu nie stała!». Ogarnął mnie wstyd i zakłopotanie, a poniżenia, jakiego wtedy doświadczyłam, nie zapomniałam do dziś”.

Ile waży cegła?

W tym czasie, gdy ojciec rozpytywał sąsiadów o pracę, Gina zdążyła wtrącić swoje trzy grosze. Była po prostu ciekawa i zapytała, czy szkoła znajduje się daleko od domu. Sąsiedzi spojrzeli na nią ze zdziwieniem i wytrzeszczyli oczy. O nauce, gdy się miało 14 lat (Gina akurat w styczniu miała urodziny) nie było mowy – można było co najwyżej wieczorami chodzić na lekcje rosyjskiego.

W kilka dni po przyjeździe Gina poszła do pracy. Wysoka i dobrze rozwinięta dziewczynka wyglądała na więcej niż czternastolatkę. Przy przyjęciu do pracy uznano ją za pełnoletnią i wymagano od niej tak jak od dorosłej osoby. W cegielni, gdzie ją zatrudniono, musiała wyjmować z maszyny równocześnie cztery cegły, po dwie w każdej ręce. Cegły były mokre, ciężkie, każda ważyła po półtora kilograma i nie mieściły się w jej dłoniach. Aż kucnęła pod ich ciężarem. Wypadały one z maszyny jedna po drugiej i natychmiast tworzyła się sterta cegieł. Robotnicy na szczęście zauważyli to i zrozumieli, że pożytku z tej dziewczyny nie będzie. Zablokuje pracę, a potem trzeba będzie odpowiadać przed kierownikami za cudze grzechy. W tej sytuacji stwierdziwszy, że po kiego diabła trzymać „nic nieumiejącą” i do niczego „nieprzydatną księżniczkę”, przenieśli ją do szopy, w której znajdowała się suszarnia. Tutaj trzeba było rozdzielać cegły dopóki były wilgotne i układać je na palecie. Przy tej pracy Gina harowała przez kilka miesięcy.

Nieco później ulitowano się nad nią. Z szopy Gina przeszła do tartaku. Tam praca też nie należała do lekkich; zbierała drewniane skrawki-ścinki i razem z rosyjską dziewczynką przeciągała je z jednej sterty na drugą. Potem wykonywała trudniejszą pracę; mężczyźni przepuszczali kłody przez trak, z którego wychodziły deski. Trzeba je było szybko odciągnąć od maszyny, ponieważ za chwilę pojawiały się już następne. Cztery dziewczyny z trudem

radziły sobie, a mężczyźni poganiali je, pokrzykiwali – nic, tylko usiąść i płakać. Gina płakała w domu. Spodziewała się wsparcia rodziców, a ojciec nie znajdował innych słów, niż „nie trzeba się lenić”.

Później w tartaku zastąpiła kogoś chorującego na stanowisku pracownika kontrolującego obecność w pracy. Szkoda, że było to tylko tymczasowe zajęcie. Trzeba było wrócić do ciężkich desek. Zupełnie jeszcze niedawno w Warszawie Gina uważała się za silną i zahartowaną. Jednak na „syberyjski sprawdzian”, jako się okazało się, sił miała za mało.

Znów trzeba powtórzyć: wyboru nie miała.

Gina przepracowała w tartaku prawie trzy lata.

„Piosenka pomaga budować i żyć”

W oficjalnych dokumentach z tamtego czasu pisano: „Lokalne organa władzy nie biorą na siebie żadnych zobowiązań finansowych związanych z urządzaniem się przesiedleńców”; „ziemianki budują sami, osiedlają się za własne środki”.

Pokój przydzielony Wejgsmanom w rodzinnym baraku był malutki. Stały w nim dwa żelazne łóżka, w jednym spali rodzice, w drugim siostry. Z czasem pojawił się stół, tylko Gina nie pamięta skąd, podobnie jak piec (może on tam był od początku?). Było też jakieś wyposażenie kuchenne, skąd się wzięło? Przecież sklepu nie było. Nawet gdyby był, to wszystko jedno – niczego by się tam nie kupiło – słowo „deficyt” było kolejnym nowym słowem w rosyjskim słowniku Giny. Nie było to rosyjskie słowo, ale doskonale wpisywało się w radziecką rzeczywistość. Pieniądzy – jak już powiedziano – nie było, chociaż komunizm „w kraju budującego się socjalizmu” jeszcze nie zwyciężył. Jeżeli chodzi o meble, to pomogli życzliwi ludzie, którzy sami nie mieli dosłownie niczego.

Gina wspomina: „Dzięki staraniom mamy, pokoik, a właściwie kłitka, przeobraził się. Ona z pewnością umiałaby tchnąć życie nie tylko w barak, ale także w ziemiankę lub kibitkę. Niekiedy przesiedleńcy naprawdę mieszkali w ziemiankach lub w tak zwanych rozwalających się «tymczasówkach», prowizorkach.

Samotnym przesiedleńcom w Leninogorsku pomagano w osiedlaniu się, chociaż warunki dalekie były od mieszkań przygotowanych dla przyjezdnych, o których pisała miejscowa gazeta.

Przesiedleńców przymusowo dokwaterowywano do miejscowych, którzy i tak mieszkali w ciasnocie; nazywano to uszczelnianiem. Miejscowi nie zadawali pytań – nie byli do tego przyzwyczajeni. Nie sprzeciwiali się. Nie szemrali. Przesiedleńcy, ci z nich, którzy byli sprytniejsi, osiedlali się samodzielnie, z czasem znajdowali bardziej odpowiadający im kąt, ale to już na zasadzie bezpośredniego dogadania się z gospodarzami. Za wynajem płacili sami, a ceny były wysokie.

Najgorzej było tym, których osiedlano na terenie całego Kazachstanu – w kołchozach i sowchozach. Jeżeli chodzi o zakwaterowanych w Leninogorsku i Drugim Rejonie, niebędących pracownikami *Ulbastroju*, osiedlano ich także w kołchozach. Mieszkali tam w pomieszczeniach dla bydła, cielętnikach, stajniach, zupełnie nieprzystosowanych do zamieszkania. Istnieją wiarygodne dowody na to, że ludzie mieszkali również w rowach. Niewiarygodne – w Kazachstanie? W warunkach kazachstańskiego klimatu? Ale tak właśnie było.

Tak więc w porównaniu z nimi żyliśmy w miarę znośnie – mówi Gina. Żelazne łóżka stały z dwóch stron stołu. Krzesel i taboretów nie było z braku miejsca. Była jeszcze ławka, którą zrobił ojciec pod czujnym okiem mamy. Stało na niej wiadro z czystą wodą, a pod nią wiadro na nieczystości. Wodę przynoszono z ulicznej pompy. I nie daj Boże w silny mróz dotknąć się do aluminiowego wiadra! A kiedy pompa zamarzała, topiono śnieg.

Jeszcze jednym poważnym problemem, szczególnie zimą była – zdawałoby się elementarna sprawa – higiena. W Drugim Rejonie była co prawda łaźnia, ale mama wołała, żebyśmy się myli w domu. Trudno sobie wyobrazić tak zwaną kąpiel w pokoju, gdzie w kątach był lód – dziś coś takiego wydaje się niemożliwe.

W dniu, kiedy planowana była kąpiel, starano się ogrzać pokój możliwie najlepiej. Ojciec prawdopodobnie przemycał szczapy pod waciakiem, pracował przecież w tartaku, i jakoś nikt na niego nie doniósł. Taka kradzież od 1941 roku podlegała karze zgodnie z prawem obowiązującym w czasie wojny. Pamiętam, że nasi przyjaciele w nieszczęściu – samotni, którym szczególnie ciężko się żyło, przychodzili do nas się ogrzać. Jednym słowem, szczapy owszem były, ale w warunkach «dotkliwego niedoboru wszystkiego» – brakowało mydła i innych podstawowych środków higieny”.

Potwierdzenie słów Giny znajdujemy w rozporządzeniu Miejskiego Komitetu Wykonawczego Rady Deputowanych Ludowych i egzekutywy leninogorskiego Komitetu Komunistycznej Partii (bolszewików) Kazachstanu z 28 stycznia 1942 roku „O stanie socjalnego i sanitarnego zabezpieczenia osób pracujących oraz ludności ewakuowanej: „Na brzegu rzeki Bystrucha przepływającej przez miasto, utworzono zwałowisko nawozu. Przy budynku kombinatu *Altajpolimetal* i trustu *Altajstroj* nagromadziło się wiele zanieczyszczeń, cały przylegający plac jest zanieczyszczony... Źródła wody pitnej – studnie, rzeki i wodociągi są zanieczyszczone odpadami... Łącznie są brudne”.

Po zapoznaniu się z wynikami kontroli władze postanowiły: „Celem zaspokojenia potrzeb mieszkańców w zakresie mydła, zorganizować produkcję mydła gospodarczego z dostępnego w okolicy surowca...¹⁵”. O ile wiadomo, tym dostępnym surowcem był tłuszcz pozyskany z psów wyłapanych przez hyclów.

¹⁵ Państwowe Archiwum Wschodnio-Kazachstańskiego Obwodu, GAWKO, F.130 p, OP.2, D.5, ll, 50-52.

„Tak czy inaczej – kontynuuje Gina – wszy, przez które cierpieli prawie wszyscy, nie zaprzyjaźniły się z naszą rodziną i przez prawie sześć lat przebywania w Leninogorsku trzymały się od nas z daleka. Wytrwałość i ostrożność mamy uratowały nas”.

Odzieży i obuwia na miarę tamtejszego klimatu nie było. Walonki i waciaki – rosyjski wynalazek na czas surowej zimy – częściowo ratowały nas, ale trzeba było je zdobyć. Właśnie zdobyć – nie otrzymać, kupić, w najlepszym przypadku wymienić na cokolwiek. Od tego, z jakim sukcesem uda się wymienić coś na coś innego – sztuka przeżycia znana od najdawniejszych czasów – zależało nie tylko zdrowie, lecz niejednokrotnie życie zesłańców, będących „gośćmi” ZSRR.

Gina marzyła o walonkach, jak o czymś luksusowym. Chodziła w pantoflach, w których przyjechała z Warszawy i które rozpadały się w oczach, ponieważ wciąż były na wskroś przemoczone. Pewnego razu, chcąc je wysuszyć, Gina postawiła je blisko pieca i buty się spaliły. Jak w piekle. Czyżby zadziałały tutaj diabelskie moce? Jak można myśleć inaczej, skoro w środku zimy dziewczyna została bosa w dosłownym tego słowa znaczeniu? Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby nie mieszkająca po sąsiedzku rosyjska koleżanka, która dała Ginie buty.

Warto zauważyć, że nawet w tych okropnych warunkach kobiety pozostawały sobą. Gina zapamiętała, że córce pewnej wysoko postawionej damy w Drugim Rejonie – zdaje się, że była sędzią, a może tylko zwykłą urzędniczką w sądzie – spodobały się Giny pończochy, które ta zachowała z polskich czasów. Jedna z córek zaproponowała wymianę – za parę pończoch Gina otrzymała parę butów, których akurat nie miała. Wymiana była więc dla niej nad wyraz korzystna.

Gina opowiada: „Chciałam być elegancka. Kiedy wszystkie moje ubrania nadawały się już tylko do wyrzucenia, mama ze swojego gabardynowego płaszcza, w którym wyjechała z Warszawy, uszyła dwie cudne rzeczy: z gabardyny coś w rodzaju wysokich kozaczków, które nosiłam razem z kaloszami, a z podszewki sukienkę”.

Młodsza siostra Giny, która w Leninogorsku chodziła do przedszkola, a później do szkoły, też ma wspomnienia związane z altajską zimą. Opowiada, że ojciec nosił ją do przedszkola opatuloną w koc. Tam wychowawczynie pozwalała jej siedzieć na ciepłym piecu póki gotowała się zupa, żeby najmniejsza i najśłabsza fizycznie dziewczynka nie marzła.

Jednak zimę pozwolił przetrwać nie piec, a pieśń. Jedno ze wspomnień, które najbardziej utkwiło w pamięci Giny: „W zimowe wieczory, kiedy mróz był już naprawdę nie do wytrzymania i strach było położyć się do łóżka, żeby nie zamarznąć na śmierć, chodziliśmy dookoła pokoju gęsiego tworząc «pociąg»: ojciec z młodszą siostrzyczką na rękach, za nimi mama, a ja zamykałam procesję i – śpiewaliśmy, śpiewaliśmy piosenki żydowskie, polskie, rosyjskie. Nie na darmo byliśmy z rodziny śpiewających słowików Wejgsmanów”.

„Kto nie pracuje, ten nie je”

Plakaty z hasłem „Kto nie pracuje, ten nie je”¹⁶ wisiały w Drugim Rejonie na każdym kroku. I w szkołach, i na zebraniach robotniczych powtarzano te leninowskie słowa bez końca: „Kto nie pracuje, ten nie je – to rozumie każdy pracujący”. Radzieckim ateistom nie przychodziło do głowy, że w swoim artykule ich wódz cytował Biblię. Nie wiem jak robotnicy, ale uczniowie w szkołach z pewnością chcieliby zapytać: „A my? Co z nami? Przecież nie pracujemy, ale jemy”, tylko nie wypadało zadawać takich pytań. Nawet dzieci intuicyjnie wyczuwały i bały się, że pytaniami sprawią rodzicom kłopot. Przecież nie tylko rodzice chronią swoje dzieci, ale dzieci także martwią się o rodziców.

Wejgsmanowie głodowali, podobnie jak większość mieszkańców Kazachstanu Wschodniego i innych regionów ZSRR. Wydawanie kartek na produkty spożywcze wstrzymywano, czasem na długo. Dzienna racja żywnościowa dla osób pracujących przewidywała 600-800 gramów chleba, a dzieciom i osobom będącym na utrzymaniu przysługiwało 400 gramów; później racje zmniejszono: pracujący dostawali 400, członkowie ich rodzin 200 gramów. Tak było do czasu rozpoczęcia drugiej wojny światowej.

Gina opowiada: „Biały chleb zniknął wkrótce po naszym przyjeździe. Wypiekano inny, do którego dodawano makuchy, a to sprawiało, że czasem trzeba było kęs chleba potrzymać w ustach, aby można go było przeżuć, czyli dokładnie tak jak to robią krowy. Nie trzeba chyba dodawać, że jego smak i zapach bardzo odbiegał od tego zapamiętanego z przedwojennego warszawskiego dzieciństwa. Jedna z naszych sąsiadek z baraku pracowała w piekarni. Czasem zabierała ze sobą dzieci i pozwalała im zeskrobać to, co zostawało na ściankach form do pieczenia chleba. Ale co tam zostawało? Chyba tylko to, co się przypaliło”.

¹⁶ W. I. Lenin. *O głodzie*. 24 maja 1918 r.

Żeby ratować się przed głodem, ludzie zakładali przydomowe ogródki, ale nie wszyscy. Jak wynika z dokumentów, Polakom często nie udzielano zgody na ich założenie. Gdy ludzie zaczęli puchnąć z głodu, wówczas władze zezwalały na posiadanie jednej krowy lub pięciu kóz. Paradoksalnie w kołchozach i sowchozach, które powinny były być krajowymi spichlerzami, sytuacja z żywnością była katastrofalna. Z braku jedzenia matki często zmuszone były oddawać dzieci do domów dziecka.

Gina ciągnie opowieść: „Mama nigdzie nie była zatrudniona. Jej praca polegała na organizowaniu zaopatrzenia w żywność i we wszystko, co było nam potrzebne, zapewniając nam tym samym przetrwanie. Uczyła się tego od miejscowych. Wiedziała, gdzie znaleźć jedzenie «rosnące pod nogami», a potem je wykorzystać; umiała na przykład ugotować zupę na trawie. Oj, ile razy, kiedy chlipałam lurę ugotowaną na lebidzie i liściach ostu, wspominałam kości, które kapryśne gospodynie odkładały na bok w sklepie mięsnym na Pelcowiźnie. Nieco później nauczono mamę wykorzystywać czeremszą. Z nastaniem wiosny zbieraliśmy ją w lasach dziko rosnącą na zboczach gór, znaną jako niedźwiedzia cebula lub dziki czosnek (łac. *Allium ursinum*). Nie można było nie podziwiać pomysłowości mamy: solila czeremszą na zimę, gotowała zupę, a nawet umiała coś z niej upiec. Czeremsza uratowała nas przed szkorbutem. Miejscowi nauczyli mamę robić z niej też nalewkę, która miała jakoby leczyć wszystkie choroby.

Jesienią matka jakimś sposobem potrafiła zaopatrzyć się w ziemniaki, które zimą oczywiście przemarzały na wskroś. Najczęściej jedliśmy je „pieczone”, to znaczy rozmrożone – po prostu kładliśmy na piecu i czekaliśmy, aż się rozmrożą. Zdarzały się szczególne dni, kiedy mama piekła placuszki z przemrożonych ziemniaków. Bardzo je lubiłam – były słodkie bez cukru – wtedy dowiedziałam się, że przemrożone kartofle mają słodkawy smak.

Słodki, a właściwie gorzko-słodki smak kojarzy mi się z jarzębiną, którą zajadaliśmy się, traktując ją jako delikates. A moja siostrzyczka na zawsze

zapamiętała przesłodzony smak cukierków w czerwone paski, tak zwanych poduszczyk, które dzieci otrzymywały w przedszkolu z okazji jakiegoś święta. Każde dziecko dostało po jednej takiej poduszczyce – prosciutko od wujka Stalina (jeśli Lenin był dla dzieci dziadkiem, to Stalin powinien być być wujkiem). W domu obowiązywała żelazna zasada dotycząca wszystkich bez względu na wiek: dzielić się tym, co się miało, dlatego siostra przyniosła do domu cukierek w mocno zaciśniętej piąstce. Okazało się, że poduszczyka całkiem rozpuściła się i nie było czego dzielić. Mama kazała siostrze zlizać z dłoni to, co z cukierka zostało.

Jedliśmy także makuchy z łusek słonecznika i zacierki z mąki.

Przedsiębiorczość mamy sięgnęła szczytu, gdy cerowaniem i łataniem zarobiła tyle, że można było zdobyć cielaka. Mama go wyhodowała, a dorosła Mańka, bo tak ją nazwaliśmy, oswoiła się z nami i pozwoliła przetrwać.

Jednakże z Leninogorska pozostało mi w pamięci nie tyle, co jedliśmy, ale przede wszystkim, jak strasznie głodowaliśmy. Głód nie pozwalał zasnąć, a jeśli już zasypialiśmy, to z marzeniem o jedzeniu. Z takim samym marzeniem budziliśmy się. Gdybym wtedy prowadziła dziennik, to najczęściej powtarzałyby się w nim dwa słowa: chłód i głód. Taki smutny, straszny refren. Było jeszcze coś, o czym myślałam: «Kto nie pracuje, ten nie je, a ten kto pracuje, też nie je? Co na ten temat napisał w swoim słynnym artykule Włodzimierz Iljicz Lenin?». Jednak tego pytania nie odważyłabym się przelać na papier – nie zaufałamby żadnej na świecie kartce”.

Walka z zimnem i głodem przybierała dla deportowanych nie powszedni, lecz egzystencjalny wymiar.

Na uboczu

Gina mówi: „Na zesłaniu nasza mama wyszła z cienia ojca. Ileż inicjatywy przejawiała, ile w niej było siły, woli! Miała ponadto fantastyczną intuicję.

O tym, jak długo wytrzymamy w takich warunkach, nie mówiono w domu nawet szeptem, jednak każdy o tym myślał.

Do Wejgsmanów docierały wieści o tym, że ktoś z leninogorskich Polaków, nie bacząc na to, że przemieszczanie się bez zgody władz było surowo zakazane, pojechał do innego miasta i przekonał się, że podobno życie tam było odrobinę łatwiejsze. Im większe miasto, tym większe możliwości. Na przykład do chwili rozpoczęcia wojny Niemiec z ZSRR przychodziły tam paczki z Polski z herbatą i papierosami, które z czasem stawały się coraz skromniejsze, ale wciąż były prawdziwą walutą, którą można było wymienić na wszystko, czego dusza zapagnie. W dużym mieście było także więcej informacji. Natomiast w Drugim Rejonie Wejgsmanowie siedzieli jak w śniegowym worku – w kompletnej ciszy, takiej, od której dźwięczało w uszach.

Wiele osób sądziło, że aby nie zwracać na siebie uwagi władz i nie trafić do łagru, należy cały czas się przemieszczać. I przemieszczali się, nie oglądając się na nic. Mama zaś była zdania, że trzeba siedzieć w jednym miejscu i tym sposobem nie wchodzić w pole widzenia władz. Okazało się, że miała rację.

W Ałma-Acie, Ust`-Kamienogorsku i Semipałatyńsku było wielu Polaków, co powodowało więcej napięć, naruszenia rozporządzeń władz, a to pociągało za sobą większe niebezpieczeństwo. Co prawda i w Leninogorsku nie było spokojnie. Na Ginie ogromne wrażenie wywarło zdarzenie: wśród jej znajomych było rodzeństwo żydowskie z Polski, dwie siostry i brat. Pewnego dnia brat zniknął i nikt nigdy więcej go nie zobaczył.

Jednak w Drugim Rejonie władze nie dobrały się do Wejgsmanów.

Abram z całym swoim idealizmem, energią i determinacją najwyraźniej rozumiał, że nie ma sensu manifestować tutaj swojej odwagi. Trzeba schować się i nie wychylać, bo przecież od samego początku wojny jego głównym dążeniem było zachowanie rodziny. Tutaj nikt nie znał jego przeszłości, nie wiedział o członkostwie w nielegalnej Komunistycznej Partii Polski. Przed kim miał się chwalić? Komu miał demonstrować swoje męstwo? Rozkułaczonym zesłańcom, którzy tak dotkliwie ucierpieli przez bolszewików? Mógłby, co prawda, jako polski komunista, otrzymywać jakąś pomoc materialną, na przykład z MOPR-u (Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom, działającej także w Kazachstanie), ale będąc z dala od «Wielkiej Ziemi» nawet nie słyszał o takiej możliwości. Bycie na uboczu, zgodnie z wolą wielkiego wodza Stalina, który ich tu zesłał, było Wejgsmanom na rękę. Nie na darmo mama powtarzała: «Nie jest temu lepiej, kto szuka lepszego»”.

„Wszystko dla frontu – wszystko dla zwycięstwa”

Gina pracując w tartaku poszerzyła swój słownik radzieckich pojęć: *politproswiet* – organ kierujący pracą kulturalno-oświatową, *udarniki* – przodownicy pracy, *stachanowcy*, *lietuczki* – krótkie zebrania, zwykle przed rozpoczęciem pracy, *kołdogowor* – umowa zawierana między robotnikami i pracodawcą regulująca sprawy społeczne i stosunki pracy, *fabzawkom* – fabryczny organ związku zawodowego, *profgruporg* – przewodniczący organizacji związkowej, *profnizowka* – niższy szczebel związku zawodowego, itp.

Przyswojenie tych terminów nie było zwykłym ćwiczeniem w ramach nauki języka rosyjskiego, Gina chcąc nie chcąc włączała się do radzieckiego życia. Na przykład w maju 1941 roku wstąpiła do związku zawodowego. Był to Związek Zawodowy Robotników Budownictwa Przemysłowego Uralu i Zachodniej Syberii. I tak jak prawie wszystkie jej poczynania podczas przebywania w ZSRR nie wynikały bynajmniej z wyboru, a były efektem konieczności, tak samo członkostwo w związku zawodowym było obowiązkowe. Poprosiła, aby w legitymacji związkowej wpisano rok urodzenia 1925. Dopisała sobie jeden rok życia, aby łatwiej było znaleźć posadę, kiedy zakończy tymczasową pracę urzędniczą.

Gina mówi: „To, co wcześniej zostało powiedziane o naszym życiu, głodzie, zimnie i strachu, w żaden sposób nie da się porównać z tym, co było naszym udziałem po napaści hitlerowców na ZSRR i z początkiem Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Zima stała się jakby jeszcze zimniejsza, głód jeszcze bardziej nie do zniesienia, praca jeszcze cięższa. A niepokój wypełniał całe nasze istnienie”.

O tym, że rozpoczęła się wojna Abram usłyszał będąc w pracy z komunikatu podanego przez chrypiący głośnik. W domu, rzecz jasna, radia nie było. Fragmenty lokalnej gazety lub centralnej „Prawdy” wpadały w ręce

przypadkiem i bardzo rzadko. Należy pamiętać, że gazeta była nie tylko źródłem informacji, ale także czymś uniwersalnym: czystą kartką papieru, na którym pisano listy w poprzek tekstu artykułu (swego rodzaju palimpsestem), papierem do pakowania, nawet talerzem do jedzenia. No i jeszcze papierem toaletowym...

Może to dziwne, że Gina zapamiętała początek wojny za sprawą piosenki, która bardzo szybko stała się popularna w całym kraju: „Dwudziestego drugiego czerwca, równo o czwartej, Kijów bombardowali, nas poinformowali, że zaczęła się wojna...”. Wtedy Gina oczywiście nie wiedziała, że muzykę walca „Błękitna chusteczka” skomponował jeszcze w 1939 roku Jerzy Petersburski – Żyd warszawski¹⁷. Tekst rosyjski powstał do tej melodii w pierwszych dniach wojny.

Pierwsza myśl, jaka przyszła Abramowi do głowy, to los krewnych. Co z tymi, którzy zostali w Białymstoku? Z tymi, którzy w Warszawie? Listów z Polski nie dostawali, ale wciąż czekali, mieli nadzieję. Teraz Wejgsmanowie będą całkiem odcięci od swoich. Tylko pamięć stała się tą nicią, która wiązała ich z dużą rodziną, przeszłością, ojczyzną...

Wejgsmanowie uciekali przed wojną, a ona deptała im po piętach.

Gina opowiada: „Już po kilku miesiącach do Leninogorska przyjechała babcia Etl, ciocia Dorka i siostry ojca – Mania i Henia z mężem Szaulem Lewitem – zdążyli uciec z Białegostoku. Jechali do nas, do strefy względnego bezpieczeństwa długo; przeżyli po drodze bombardowania, zmieniali pociągi, zatrzymywali się w kołchozach, żeby zarobić przynajmniej na chleb. Nazywano ich *bieżeńcami* (uciekinierami) po prostu dlatego, że wielokrotnie uciekali przed niebezpieczeństwem, ciągle się przemieszczając. Ciotka Dorka przyjechała w rozpaczliwym stanie – kiedy uciekała, była w ostatnim miesiącu ciąży i po drodze straciła dziecko. O tej tragedii pamiętała do końca swoich dni. Jej mąż Heno (Henryk, Heniek) Szafer nie dotarł na miejsce – szukał możliwości wstąpienia do Armii Czerwonej. Od nich dowiedzieliśmy się, że w pierwszych

¹⁷„Mała błękitna chusteczka”; pierwotnie tekst Artura Tura; Jerzy Petersburski był także kompozytorem niezapomnianego tanga „Zmęczone słońce” („To ostatnia niedziela”), skomponowanego w 1937 r.

dniach okupacji Białegostoku Niemcy zastrzelili na ulicy brata ojca Chaima. Wtedy właśnie postanowili natychmiast uciekać. Przeczuwali, że trzeba brać nogi za pas. (Rzeczywiście, już w czerwcu 1941 roku Niemcy spalili w Białymstoku synagogę wraz z dwoma tysiącami ukrywających się w niej Żydów, w 1943 roku czterdzieści tysięcy Żydów wywieziono z miasta do obozów w Treblince i Majdanku).

To wtedy przydał się im nasz adres”.

„Pamiętam jeszcze – mówi dalej Gina – że Wejgsmanowie przywieźli ze sobą fotografię innych krewnych, zrobioną w warszawskim getcie, którą otrzymali w Białymstoku. Wtedy nie wiedzieliśmy, że jest to wszystko, co zostanie nam po naszych krewnych, po mojej ciotce, która tak bardzo pragnęła pilnować swojego pięknego domu, po jej dzieciach, a moich kuzynach”.

Na początku wojny w Leninogorsku żyło się w jeszcze większym napięciu. Już w 1941 roku wysłano na front tysiące mężczyzn. Ci, którzy zostali, musieli pracować za dwóch. Kobiety zastępowały mężczyzn nawet w najcięższych pracach i na nie spadł cały obowiązek opieki nad dziećmi. Były przemęczone i wyczerpane.

Wojna przyniosła poważne zmiany w życiu deportowanych Polaków. Nowa sytuacja polityczna: szybki przemarsz hitlerowskiej armii przez terytorium ZSRR i wspólny cel jednoczący Polaków i Rosjan – zniszczenie faszyzmu – skłoniły Polskę i ZSRR do podjęcia negocjacji. Już 30 lipca 1941 roku między rządem Rzeczypospolitej Polski na uchodźctwie a Związkiem Radzieckim podpisane zostało porozumienie i ogłoszono amnestię dla Polaków represjonowanych pod zarzutem kontrrewolucyjnej agitacji, szpiegostwa, sabotażu itp. Polskich obywateli uznano w bardzo krótkim czasie za „amnestionowanych”, ponieważ należało przekonać świat, że „radzieckie państwo i radzieckie narody szanują prawa wszystkich miłujących wolność narodów, walczących przeciwko swoim ciemnościom”.

Prawie po dwóch latach tułaczki, obozów i więzień, wychudzeni, z odmrożonymi kończynami, chorzy na tyfus i gruźlicę, w łachmanach, Polacy otrzymali zaświadczenia potwierdzające polskie obywatelstwo. W miejscowościach, w których były większe skupiska Polaków, otwarto polskie przedstawicielstwa (delegatury). Leninogorsk nie należał do takich miast. W Kazachstanie Wschodnim, według tajnej informacji NKWD Kazachskiej SRR z 28 stycznia 1942 roku, zarejestrowanych było 454 Polaków. Była to mała liczba w porównaniu na przykład z semipałatyńskim obwodem (który jak pamiętamy, w 1939 roku został wydzielony jako samodzielna jednostka administracyjna ze wschodniokazachstańskiego obwodu), gdzie według spisu było 9 tysięcy osób lub w porównaniu z Kazachstanem Południowym, gdzie liczba Polaków wynosiła około 26 tysięcy.

14 sierpnia 1941 roku podpisano porozumienie o sformowaniu na terytorium ZSRR Polskiej Armii na Wschodzie (znanej jako Armia Andersa), celem podjęcia wspólnych działań wojennych przeciwko faszystowskiemu Niemcom.

Polacy z całego terytorium ZSRR ściągali do miejsc, gdzie formowała się Armia. Jednak ci, którzy znajdowali się w oddalonych lub izolowanych miejscach, nie wiedzieli nawet, że nastąpiły tak radykalne zmiany; nie wiedzieli ani o amnestii, ani o naborze do Armii Andersa.

Mąż ciotki Dorki Henryk Szafer dowiedział się o formowaniu Armii Andersa i próbował dostać się do niej. Przyjechał do polskiej delegatury, wypełnił wszystkie niezbędne dokumenty, jednak doznał kolejnej porażki – wcześniej nie wzięto go jako Polaka do Armii Czerwonej, a teraz do Armii Polskiej jako Żyda. Nabór do Armii Andersa był ograniczony, bowiem rząd radziecki określił limit żołnierzy. Żydom szczególnie trudno było zaciągnąć się do armii. W przypadkach odmowy w dokumentach zaznaczano: „Nie przyjęty jako Żyd”. Drugi wujek Giny, jej ulubiony Felek Grinblat, miał więcej szczęścia. Razem z Armią Andersa wyszedł z ZSRR latem 1942 roku. Szlakiem

przemarszu przez Iran i Palestynę dotarł do Europy, gdzie walczył przeciwko faszyzmowi do końca wojny.

W kwietniu 1943 roku, częściowo w związku z powołaniem komisji śledczej do zbadania zbrodni w Katyniu, ZSRR i polski rząd emigracyjny zerwali stosunki dyplomatyczne. W tym samym czasie na tle tego kryzysu i dla jego przeciwwagi w Związku Radzieckim utworzono Związek Patriotów Polskich, prokomunistyczną organizację, stawiającą sobie za cel walkę z niemieckim okupantem, a także przygotowanie Polaków, którzy po zwycięstwie nad faszyzmem wrócą do kraju jako żarliwi obrońcy idei jedności narodowej, demokracji ludowej, wielkiej idei braterstwa i przyjaźni z narodami Związku Radzieckiego.

Wraz z realizacją tego strategicznego zadania Związek Patriotów Polskich zajął się innymi ważnymi zagadnieniami. Otwierał polskie przedszkola, szkoły i domy dziecka. Ogółem w ZSRR zorganizowano ponad 200 polskich szkół, 56 domów dziecka i wiele przedszkoli.

Jednak ani w Leninogorsku, ani tym bardziej w Drugim Rejonie nie było żadnej podobnej placówki. Jak już wspomniano, w Leninogorsku osiedlano tylko samotne osoby, a jeżeli rodziły się im dzieci, to one nie zdążyły jeszcze podrosnąć, tymczasem w Drugim Rejonie była tylko jedna małeńka Polka – siostra Giny. Dlatego skierowano ją do zwyczajnej radzieckiej szkoły.

Warunki były tak fatalne, że gorzej być nie mogło: jeden pokój, jedna klasa dla dzieci w różnym wieku, podręczników brakowało, podobnie jak zeszytów i piór, pisano na kawałkach starych gazet, atrament robiono z ołówków chemicznych. Natomiast poziom nauczania był dobry. Nauczycielka była z grupy ewakuowanych, chyba z dużego miasta, kobieta mądra, pełna dobroci i bardzo kulturalna.

W polskich zaś szkołach, chociaż nauczanie odbywało się po polsku, to miało ono jednak charakter ideologiczny w radzieckim stylu. Były to nie tyle polskie szkoły, co szkoły dla polskich dzieci w ZSRR. W programie nauczania

zostało powiedziane: „Polska szkoła w ZSRR dąży do wychowania polskich dzieci w duchu szczerzej i świadomej przyjaźni między Polską i ZSRR w czasie wojny i po jej zakończeniu”. Program i inne zasadnicze szkolne dokumenty, były opracowane przez *Kompoldet* – Komitet do spraw Polskich Dzieci (zwróćmy uwagę na skrót, który sam w sobie pokazuje wybitnie radziecki charakter tej polskiej instytucji i jej biurokratyczną naturę) z uwzględnieniem ideologicznej deklaracji Związku Patriotów Polskich.

Tymczasem w Drugim Rejonie nikt nie miał pojęcia o istnieniu Komitetu do spraw Polskich Dzieci, polskich szkołach, a do pewnego czasu nawet o Związku Patriotów Polskich. Nie otrzymywano więc żadnych dodatkowych instrukcji w sprawie wychowywania polskich dzieci w duchu przyjaźni z radzieckimi dziećmi. Przyjazne kontakty były czymś bardzo naturalnym, poza wszelkimi instrukcjami.

Najważniejszym zadaniem Związku Patriotów Polskich, po wyjściu Armii Andersa, była mobilizacja Polaków pozostających w ZSRR do polskiego wojska. Tak powstała Polska Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, a następnie na jej bazie utworzono Pierwszą Polską Armię w ZSRR, która, jak wówczas pisała prasa: „W bojowym sojuszu z Armią Czerwoną wykazała bohaterstwo w walkach o Warszawę i polskie wybrzeże, w szturmie stolicy niemieckiego faszyzmu, Berlina. W wojskowej przysiędze żołnierze Pierwszej Armii Wojska Polskiego w ZSRR przyrzekali, że będą wierni bojowemu sojuszowi Polski i Związku Radzieckiego. Złożona przysięga została przypieczętowana krwią przelaną przez polskich żołnierzy na polach walki na chwalebny szlaku razem z bohaterską Armią Czerwoną”¹⁸.

Mąż Dorki Henryk Szafer, zaciągnął się na ochotnika do Armii Polskiej. Nareszcie spełniło się jego marzenie, by walczyć z faszyzmem aż do ostatecznego zwycięstwa. Poza tym będąc w armii po raz pierwszy od wielu lat

¹⁸ Sekretarz Generalny Związku Patriotów Polskich w ZSRR A. Juskiewicz w artykule pt. *Dwa lata działalności Związku Patriotów Polskich w ZSRR*. [w:] Czasopismo „Słowianie” 1945, nr 6, s. 34–36.

był najedzony, ubrany i dodatkowo dumny z polskiego munduru z polskimi pagonami i orłem, a jego szczęście z tego powodu sięgało szczytów gór Ałtaj.

Abrama Wejgsmana nie zmobilizowano i nie poszedł do wojska jako ochotnik. Postanowił, że jeżeli go nie powołają, to z własnej woli nie zostawi żony i dzieci.

Tymczasem na zapleczu frontu wojennego intensywnie rozwijał się ruch patriotyczny, zapoznawano się z rozkazami ludowego komisarza obrony, towarzysza Stalina, a następnie wykonywano je. Wszystkie rezolucje były podejmowane przez robotników jednomyślnie, niezależnie od tego, czy były realne, czy nie. Jak to nazwać: samo-wola i wszech-moc władzy, czy też bezwolność i bez-silność narodu? Gina wtedy nie zastanawiała się nad tym. Widziała, z jakim entuzjazmem robotnicy podejmowali się zobowiązań podniesienia wydajności pracy. Współzawodnictwo socjalistyczne było bardzo powszechne. Przekroczenie planu o dwa tysiące i więcej procent (!) określano, jako wybitny czyn pracy.

Młoda robotnica Gina, niemająca innego doświadczenia życiowego, nie była w stanie odróżnić autentyczności i prawdziwego patriotyzmu od gry według radzieckich reguł i udawania w dalekim od rzeczywistości świecie socjalistycznych iluzji.

List do towarzysza Stalina

Wraz z pogorszeniem warunków życia, wyczerpywały się zapasy ludzkiej cierpliwości i tolerancji. Napływ do Leninogorska ewakuowanych i uciekinierów z okupowanej przez faszystów Ukrainy i Białorusi, wśród których była znaczna liczba Żydów, wywoływał zarówno sympatię, jak i niezadowolenie miejscowych. Ogromnym dla nich obciążeniem była konieczność osiedlenia i zapewnienia pracy wielkiej liczbie „obcych”, niespodziewanie przybyłych do miasta. Nie wszyscy byli gotowi godzić się na takie brzemie.

Przed wojną Żydzi byli mało znani we wschodnim Kazachstanie: w XIX wieku przeważali carscy zesłańcy polityczni lub odbywający w tych stronach służbę wojskową. Osiedlano ich przede wszystkim w Ust`-Kamienogorsku i Semipałatyńsku. Źródła podają, że wielki pisarz rosyjski Fiodor Michajłowicz Dostojewski, odbywający w Semipałatyńsku służbę wojskową – po czterech latach katorgi – zaprzyjaźnił się z kantonistą¹⁹ Natanem (Naumem) Kacem. Przed wojną Żydów wśród stałych mieszkańców Riddera raczej nie było.

Kiedy do Leninogorska dotarła wojna, sytuacja gwałtownie się zmieniła. Wojna przyszła nie tylko w postaci osiągnięć produkcyjnych robotników pracujących na tyłach dla frontu. Pojawiła się także w miejscowym szpitalu wraz z rannymi czerwonoarmistami, żołnierzami i oficerami, przywiezionymi na leczenie i rekonwalescencję.

Gina dobrze pamięta prawie nowy i duży szpital (zbudowany w 1939 roku), ponieważ tutaj odbywały się spotkania z czerwonoarmistami. Wielu z nich było inwalidami pozbawionymi rąk bądź nóg.

¹⁹ Chłopiec kształcony w tzw. szkołach kantonistów w Imperium Rosyjskim (przed 1858 r.) na zawodowego wojskowego. Kantonistami były głównie sieroty, dzieci żołnierzy i pochodzące z ubogich rodzin.

Zapamiętała przejmujące uczucie, jakie ogarniało ją na widok młodych rannych mężczyzn, gdy nie mogła oderwać oczu od ich okaleczeń. „Niestety – mówi Gina – wraz z ich pojawieniem zaczęły się w mieście antysemickie ekscesy i nie były to pojedyncze przypadki”. Możliwe, że z powodu zmarnowanego życia żołnierze inwalidzi dawali w ten sposób upust swojej goryczy i żalu. Może tak przejawiało się nabyte na froncie okrucieństwo. Mogło być też tak, że stosunek faszystów do Żydów na okupowanych terenach okazał się „zaraźliwą chorobą”, na którą radzieccy żołnierze nie byli zaszczepieni. W efekcie antysemityzm w Leninogorsku, podobnie jak w innych miastach, przybrał skalę epidemii i władze musiały podjąć w tej sprawie oficjalne decyzje. Oto fragment uchwały egzekutywy Wschodniokazachstańskiego Obwodowego Komitetu Komunistycznej Partii Bolszewików Kazachstanu z 30 września 1942 roku: „... w najbliższych dniach należy wzmocnić pracę partyjno-polityczną wśród mieszkańców, przypominając wszystkim komunistom wskazania towarzysza Stalina: « Antysemityzm jest niebezpieczny dla ludzi pracy jak ścieżka wiodąca na manowce, prowadząca do dżungli. Dlatego komuniści jako konsekwentni internacjoniści muszą być nieprzejednanymi i zaciekłymi wrogami antysemityzmu. W ZSRR antysemityzm jest bezwzględnie ścigany jako zjawisko głęboko wrogie ustrojowi radzieckiemu. Aktywni antysemici, zgodnie z prawem ZSRR, podlegają karze śmierci». W dalszej części uchwała zalecała inne formy przeciwdziałania próbom wzniecania antysemityzmu: «... w szerszym zakresie prowadzić wykłady na temat [...] leninowsko-stalinowskiej polityki narodowościowej i wielkiej przyjaźni między narodami Związku Radzieckiego...»”. Powstaje jednak pytanie, w jakiej mierze zalecenia te były realizowane. Oto dokument o wstrząsającej wymowie, który daje na nie odpowiedź.

Grigorij Sorokin, uczeń klasy 8 B w Leninogorsku, pisze 29 listopada 1942 roku list do Moskwy.

„Do Towarzysza Stalina, Kreml

Drogi Iosifie Wissarionowiczu!

Mój pionierski obowiązek nakazuje mi zawiadomić Was o haniebnych zdarzeniach, jakie mają miejsce w Leninogorsku (Ridder).

Żyd jest niepełnowartościowym obywatelem. Ulicą nie można spokojnie przejść – rozlegają się okrzyki: „Idzie Żyd” albo „Bij Żydów, ratuj Rosję!”. Do kina też nie można iść, bo jeśli się pójdzie, to pobiją. Skargi zgłaszane do Miejskiego Komitetu Komunistycznej Partii (bolszewików) Kazachstanu pozostają bez odpowiedzi i działań. Proszę Was, Drogi Wodzu, o podjęcie jakichkolwiek kroków, bo tak dłużej być nie może. Życzę Wam zdrowia i sił w Waszym dalszym życiu, ponieważ jest ono potrzebne narodom Związku Radzieckiego. Niech żyje wielka przyjaźń narodu radzieckiego²⁰”.

List ten znaleziono w Archiwum Państwowym Wschodnio-Kazachstańskiego Obwodu. Nie w kremlowskim, nie w moskiewskim, lecz w kazachstańskim. Oznacza to, że nie dotarł on do tak niezwykłego adresata.

List zaadresowany w ten sposób (jak wiele innych ze zwyczajnymi adresami) był oceniony i zatrzymany przez czujnych enkawudzistów.

Gdzie dzisiaj są ci, którzy decydowali o życiu wielu ludzi? Zapomniano o nich, o ich mogiłach także... Tymczasem wierzący we wszechwładztwo Stalina pionier Grisza Sorokin ma się dobrze i do dziś mieszka w Leninogorsku, który ponownie został przemianowany na Ridder²¹.

²⁰ *Ewakuacja: viskrieszaja proszloje*. Almaty 2009, s. 88-89. Państwowe Archiwum Wschodnio-Kazachstańskiego Obwodu. GAWKO, F. 1 p. Op. 1. D. 1551. L. 20.

²¹ Zgodnie z informacją pracownika naukowego Muzeum Historyczno-Krajoznawczego w Ridderze, Jeleny Putincewej, Grigorij Sorokin studiował w Moskwie i po zakończeniu nauki wrócił do Leninogorska, gdzie mieszkał do końca życia. Zmarł w 2014 r. Po wojnie w Leninogorsku utworzyła się nieliczna diaspora żydowska, która wniosła znaczący wkład w rozwój miasta. Byli to inżynierowie, lekarze, prawnicy, działacze kulturalni i inni.

Gina, jak wielu innych Żydów, doświadczyła uczuć podobnych do tych, które miał chłopak z Leninogorska. Na szczęście jednak zaznała od Rosjan także wiele dobrego. Mogła liczyć na pomoc i wsparcie w trudnych sytuacjach – wiele razy dzielili się z nią tym małym, co mieli. Ciągle jeszcze pamięta prawdziwe przyjaciółki: Różę, Tasię, Galę... Gina przeglądając fotografie zawsze zatrzymuje wzrok na jednej z nich: ona i Róża, „czarna” i „biała”, jak nazywano w Drugim Rejonie te dwie nierozłączne dziewczynki – jedna z nich była zdecydowaną brunetką, a druga jasną blondynką. Zdjęcie zrobiono w maleńkiej drewnianej szopie i żeby było weselej, pomalowanej na sielankowy niebieski kolor. Był to jedyny kolorowy akcent, który Gina widziała w Leninogorsku. Natomiast na szopie dumnie prezentował się szyld: „Foto Atelier – przedsiębiorstwo usługowe”.

Prawda piosenki

Dzień, w którym Ginę przyjęto do pracy w klubie, wspomina jako bardzo szczęśliwy. W końcu 1943 roku w Leninogorsku prowadzono powszechny nabór do Armii Pracy, w trakcie którego powołano także jej przyjaciółkę Tasię, pracującą w klubie jako kasjerka. Na jej miejsce tymczasowo zatrudniono Ginę. Dyrektor klubu był zadowolony, ponieważ miała ona przygotowanie do tej pracy. Była to podwójna radość dla Giny – mogła teraz oglądać filmy i równocześnie zarabiać na utrzymanie.

Nie można powiedzieć, że w Leninogorsku oprócz kina nie było żadnego innego życia kulturalnego. Organizowali je sami zesłańcy i osoby ewakuowane. W gazecie *Riddierskij Raboczij* z 12 marca 1940 roku opublikowano notatkę pod tytułem „Żydowskie Koło Dramatyczne”: “Ostatnio przy klubie *Żiłstroja* zorganizowano żydowskie koło dramatyczne. Zapisano się do niego 23 robotników i robotnic budowlanych, przybyłych niedawno z Białorusi Zachodniej. Obecnie koło przygotowuje się do wystawienia wodewilu «Doktor», którego autorem jest klasyk literatury żydowskiej Szolem Alejchem. W przedstawieniu udział biorą towarzysze Łaznowski, Cukerwar Hela, Brandstein i inni. W głównej roli wystąpi reżyser Cukerwar Binim. Wodewil zostanie wystawiony 12 marca. Równocześnie przygotowany jest koncert, w którego repertuarze znajdą się pieśni ludowe, recytacje, itd.”. Ciekawe, że koło składało się z tych, którzy przyjechali do miasta całkiem niedawno, w styczniu 1940 roku. Ludzie pragnęli namiastki normalnego życia, dodawali sobie otuchy, pielęgowali swoje tradycje, aby nie zaginęły w nowej rzeczywistości.

Nieco później ewakuowano z Dnieprodzierżyńska do Leninogorska teatr, którego dyrektorem był A.S. Kogan. Teatr ten także dawał przedstawienia.

Niestety, te wszystkie imprezy nie docierały do Drugiego Rejonu, tak więc wieczorne wydarzenia kulturalne były dla Giny niedostępne.

A klub znajdował się blisko. Oprócz tego czyż można było porównać amatorskie przedstawienia robotników z prawdziwym kinem, jego gwiazdami i niezrównanymi piosenkami lirycznymi?! Gina pamięta prawie wszystkie filmy, które były wyświetlane w klubie, na przykład „Dwaj żołnierze” – nowy, nakręcony w 1943 roku w Taszkencie w warunkach ewakuacji, opowiadający o ciężkim frontowym życiu i męskiej, żołnierskiej przyjaźni. Ileż w nim było humoru, dobroci i człowieczeństwa, uczuć, których wtedy tak bardzo ludziom brakowało! Albo film „Świniarka i pastuch” (1941 rok) o miłości rosyjskiej kołchoźnicy, świniarki Głaszy i pastucha Musaiba z górskiego dagestańskiego aulu, o zwycięstwie ich uczucia nad niewiarygodnymi przeszkodami, jakie stawiało im życie.

Kto wówczas zauważał fałsz i ideologiczny podtekst filmów o sile rosyjskiego oręża i niezwykłej przyjaźni między narodami? Czy ktokolwiek zwrócił uwagę na to, że czarno-białe były nie tylko filmy, ale całe zarejestrowane w nich życie? Kto na to zwracał uwagę, jeżeli dusza śpiewała wraz z bohaterami, a serce biło w tym samym rytmie, co ich zakochane serca? Gina nie wiedziała, jak nazwać uczucia, których doświadczała oglądając te filmy. Na pewno był to przedsmak miłości. W 1944 roku miała już 18 lat.

Praca w klubie stała się z czasem jeszcze ciekawsza, bowiem w jej życiu pojawiło się dużo nowych znajomych i Gina starała się wtedy wyglądać bardziej elegancko niż zwykle. Gdy pogoda pozwalała, szła do klubu boso, a pantofle wkładała dopiero w pracy, jako że zakup nowych w najbliższej pięciolatce nie był przewidziany.

Z jednej strony praca dawała radość, ale z drugiej wiązała się z ryzykiem. Gina musiała raz w tygodniu przekazać zarobione ze sprzedaży biletów

pieniądze do dyrekcji instytucji zarządzającej klubem w Leninogorsku. Nie miała do dyspozycji nie tylko samochodu pancernego, ale nawet roweru (przez wszystkie lata życia w Kazachstanie ani razu nie widziała roweru). Szła z pieniędzmi na piechotę 18 kilometrów w jedną i 18 w drugą stronę. Kiedy słyszała za sobą kroki, serce ze strachu uciekało jej w pięty. Gina znalazła sposób na pozbycie się tego strachu. Zatrzymywała się, dając idącemu za nią przechodniowi możliwość zrównania się z nią i udając spokój nawiązywała z nim rozmowę. Ile to ją kosztowało, wie tylko ona sama.

Najważniejsze jednak, że praca w kinie uczyniła z Giny żywicielkę rodziny i to nappełniało ją uczuciem dumy. Sprawa wyglądała tak: do klubu na seanse filmowe schodzili się ludzie z całej okolicy, w tym także z bliżej położonych kolchozów. Sala jak zawsze była wypełniona po brzegi i miejsc nie wystarczało dla wszystkich. Aby na pewno dostać się do kina, które było tak pożądaną rozrywką, widzowie przekupywali młodą, sympatyczną kasjerkę o jasnych niebieskich oczach i czarnych jak smoła włosach. Przynosili ze sobą i podawali do okienka kasy co kto miał: kilka kartofli, jajko, szklanekę mąki. Gina przyjmowała dary. Wiedziała, że w domu nie ma nic, nawet okruszynki chleba. „Potem wiele razy – mówi Gina – myślałam o tym, że radzieckie filmy uratowały moją rodzinę przed głodową śmiercią. A Hollywood? Czy uratowało choćby jednego widza przed taką śmiercią?”.

Pewnego dnia nadszedł kres tego pięknego celuloidowo-iluzorycznego życia. Z Armii Pracy wróciła poprzednia kasjerka i zajęła swoje miejsce w klubie. Teraz ona mogła marzyć razem z bohaterami filmów o miłości pisanej wielką literą. Teraz to jej wdzięczni widzowie podawali kartofle do okienka.

Trzęsawisko

Gina szukała nowej pracy, jeżeli nie ciekawej, to przynajmniej znośnej. Poszukiwania nic nie dały. Chciała się uczyć, ale nie miała żadnych możliwości. Ciągnęło ją do dużego, jakiegoś nieokreślonego miasta. Radzieckich miast nie znała, a kiedy próbowała wyobrazić sobie jedno z nich, przed oczami pojawiały się obrazki... z Warszawy. Jej dziewczęca dusza rwała się ku czemuś wzniosłemu i pięknemu. Tego pragnienia nie mógł stłumić nawet głód. Marzenia pozostawały niespełnione. Ginie wydawało się, że w Drugim Rejonie odbywa wieloletnią karę za przestępstwo, którego nie popełniła. Pewnego dnia, będąc w ponurym nastroju, Gina zaczęła utożsamiać swoje życie z torfowiskiem Drugiego Rejonu, które nie tylko zesłańcy, ale i miejscowi omijali z daleka. „Grząskie błoto – pomyślała. Wciągnie mnie i nie wydostanę się z niego. Uduszę się”.

Gina mówi: „Z pewnością błoto zemściło się na mnie za takie myśli. Zachorowałam na malarię z bardzo ciężkimi atakami, wysoką gorączką i majaczeniami. Rodzice byli zrozpaczeni – lekarza nie można się było doczekać, zresztą on każdego chorego traktował jak potencjalnego symulanta, chcącego wykręcić się od pracy. Lekarstw nie znajdziesz ze świecą w biały dzień. Mama leczyła mnie swoimi sposobami, ale nie przynosiły one żadnej poprawy. Ojciec bezradnie powtarzał: «Nie można zwlekać. Stracimy córkę». Na ratunek pospieszyła sąsiadka Kława, cudowna kobieta, której nigdy nie zapomnę. Znalazła lekarza i wywalczyła umieszczenie mnie w szpitalu. «Jeżeli dziewczynka umrze – oddam cię pod sąd!» – groziła lekarzowi. Może się wystraszył, a może ulitował, w każdym razie przysłał bryczkę i zawieziono mnie do szpitala. Tam straciłam przytomność. Kiedy się ocknęłam, poczułam ciepło. Takiego uczucia komfortu nie doświadczałam od kilku lat. Leczone mnie jasno-żółtymi tabletkami, chininą. To wszystko, co z tamtego czasu zostało w mojej pamięci”.

Podobnym zjawiskiem w czasie wojny były choroby, które z powodu niedojadania i braku higieny błyskawicznie rozprzestrzeniały się. Oprócz malarii szalały tyfus i gruźlica, na które jednakowo chorowali dorośli i dzieci. Wobec dzieci wojna była szczególnie okrutna. Małenka siostra Giny chorowała bez przerwy i mama bezustannie chodziła z nią do punktu medycznego.

Gina kontynuuje opowieść: „W szpitalu podleczyli mnie. Ataki gorączki zdarzały się coraz rzadziej, potem ustały, ale pozostało uczucie, że jestem w jakiejś pułapce i duszę się. Byłam gotowa uciec z Leninogorska dokądkolwiek”.

Pewnego razu Gina, gdy była bliska rozpaczy, usłyszała, że dziewczęta są werbowane do armii. Była tak zdesperowana, że postanowiła pójść na front, podobnie jak jej rosyjska koleżanka Gala. Poszły razem do wojskowej komendy, wypełniły ankiety, a następnego dnia przyszły dowiedzieć się, gdzie i kiedy mają się zgłosić. Ginę czekało ogromne rozczarowanie: Galę przyjęto do wojska, natomiast jej odmówiono. Zachodziła w głowę, próbując dociec, dlaczego tak się stało. O tym, że werbowano nie do Armii Czerwonej, a do Armii Pracy dowiedziała się znacznie później, kiedy z „wojska” przed upływem określonego terminu wróciła bardzo chora Gala. Okazało się, że przez pół roku harowała w kopalni.

Do Armii Pracy, którą nazywano również kolumną robotniczą pracującą na rzecz obrony kraju, mobilizowano obywateli radzieckich różnych narodowości, w tym także przesiedleńców odrzuconych „z powodów polityczno-moralnych” przy poborze do Armii Czerwonej. Wielu zesłańców – Polaków i polskich Żydów nie tylko powoływano do Armii Pracy, ale wręcz wcielano przymusowo. Dotyczyło to przede wszystkim tych, którzy z różnych przyczyn nie dostali się do Armii Andersa i odmówili dobrowolnego wstąpienia do formującej się w ZSRR 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Tym, którzy unikali Armii Pracy groziła kara więzienia, czego doświadczył niejeden Polak w tamtym czasie.

„Może mnie nie wzięto do wojska, dlatego że chorowałam na malarię – przypuszcza naiwnie Gina. – Może, jak to często się zdarzało w Związku Radzieckim, lewa ręka nie wiedziała co czyni prawa? Może Pan Bóg mnie ustrzegł? Gdybym trafiła do kopalni, nie wróciłabym stamtąd cała i zdrowa. Nawet ci, którzy byli starsi i silniejsi ode mnie, nie wytrzymali, zmarli i zostali na zawsze w tej ziemi obfitującej w złoto”.

Jablko z Semipałatyńska

„Pewnego pięknego dnia dowiedziałam się, że ciotka Dorka wybiera się do Semipałatyńska, miasta w sąsiednim obwodzie, oddalonego o około 300 kilometrów od Leninogorska. Postanowiłam dołączyć do niej. Był to mój pierwszy od kilku lat wyjazd nie tylko poza miejsce, w którym mieszkałam, ale i poza obwód. Jak już wspomniano, w czasie wojny Semipałatyńsk stanowił centrum oddzielnego semipałatyńskiego obwodu²². Pomysł podróży bardzo mnie ekscytował i wydawał się romantyczny. W rzeczywistości przyczyna podróży była prozaiczna. Dorka usłyszała od kogoś, że przy regionalnym oddziale Związku Patriotów Polskich w Semipałatyńsku otwarto punkt, w którym można było otrzymać tak zwane dary amerykańskie przysłane w ramach pomocy charytatywnej, przeznaczonej dla najbiedniejszych Polaków. Właśnie tam pojechałyśmy”.

21 maja 1943 roku został wydany rządowy dekret „O poprawie pomocy materialnej dla Polaków, ewakuowanych z zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi do rejonów w głębi ZSRR”, na podstawie którego w różnych obwodach utworzono Komisje do spraw Pomocy Polskim Obywatelom przy biurach pełnomocników Zarządu Handlu Specjalnego Ludowego Komisariatu Handlu ZSRR. Jak widać w 1943 roku wszystkich Polaków i polskich Żydów nie nazywano już osobami deportowanymi, a ewakuowanymi, stosując wobec nich terminologię odnoszącą się do tych obywateli radzieckich, którzy byli przesiedlani w głąb kraju w sposób zorganizowany z okupowanych przez Niemców terenów radzieckich.

„To ciekawe, w jaki sposób dowiedzieliśmy się o istnieniu możliwości uzyskania pomocy z darów”, mówi dalej Gina. Chodzi o to, że Dorka świetnie

²² Obecnie Semipałatyńsk jest przemianowany na Semey. Liczba mieszkańców wynosi ponad 300 tysięcy. Niedaleko Semipałatyńska znajduje się największy doświadczalny poligon jądrowy.

szyla i swoje umiejętności bardzo dobrze wykorzystywała. Będąc w Leninogorsku zaczęła szyć, miała stałych, tak zwanych wysoko postawionych klientów i nieźle zarabiała. Prowadzenie takiej nieoficjalnej działalności w ZSRR było zabronione i wiązało się z określonym ryzykiem. Jednak Dorka wolała ryzykować niż umierać z głodu. Powiedzieć o Dorce, że była dobrą krawcową, to nie powiedzieć nic. Jej talent oceniano bardzo wysoko, nazywano ją nie krawcową, a modystką, co miało świadczyć o jej najwyższych kwalifikacjach. Miała zwyczaj brać dwadzieścia miar, a nie pięć, do czego przedtem były przyzwyczajone kobiety radzieckie. To zmieniało podejście miejscowych pań nie tylko do mody, ale i do kanonów piękna w ogóle. Dla mieszkańców Leninogorska mających za sobą potężne góry Ałtaj, a przed sobą bezkresne stepy, Dorka i jej mistrzostwo były uosobieniem innego piękna i kawałkiem Europy leżącej nieco na zachód od Moskwy i Leningradu. Europejski styl w szytych przez Dorkę ubraniach przysporzył jej wielu znajomych, dzięki którym wiedziała o wszystkim, co działo się w mieście i okolicy. Dla Wejgsmanów była źródłem nieoficjalnych informacji i w rodzinie żartobliwie nazywano ją «radzieckim biurem informacyjnym».

Dorka z Giną nie bez kłopotów dotarły do Semipałatyńska. Dokumentów w drodze nie sprawdzano, zresztą one nawet nie wiedziały, czy mają prawo przekroczyć granicę obwodu, w którym mieszkały. Z oficjalnych dokumentów wiadomo, że tego rodzaju prywatne podróże nie były mile widziane. Jeśli biuro pełnomocnika znajdowało się daleko od skupisk Polaków, to zwykle wybierano spośród nich jedną upoważnioną osobę, która jechała do biura z grubym plikiem wniosków o udzielenie pomocy. Treść wniosków, które zachowały się w archiwach, była jednakowa, jakby została napisana przez kalkę. Czy można było we wniosku napisać coś innego, niż: „Proszę o udzielenie pomocy materialnej, ponieważ jestem głodna i nie mam w co się ubrać?”.

Dorka z Giną przejawiały samowolę i nie wierząc, że doczekają się, aż ktoś oficjalnie załatwi im amerykańskie dary, ruszyły same do Semipałatyńska. Był

to desperacki krok. Nie pomyślały o konsekwencjach lub liczyły na normalny radziecki bałagan, z którym zdążyły już się oswoić: z jednej strony wszystkiego zabraniano, z drugiej – jakimś sposobem wszystko było wolno albo wszystko było możliwe...

Rozpytały w Semipałatyńsku, gdzie znajduje się biuro udzielania pomocy i wypełniły wymagane wnioski. Kiedy przemarznięte na kość dotarły do wymarzonego punktu z darami okazało się, że odzieży z amerykańskich paczek już nie ma. Co lepsze wzięły sobie osoby z lokalnych władz Związku Patriotów Polskich, a to, co gorsze wydano pozostałym. Gina i Dorka nie dostały nic – tylko jakieś kamizelki bez guzików (jak mówią po rosyjsku „rękawy od kamizelki”). Dopiero po wielu latach Gina domyśliła się, dlaczego kamizelki były bez guzików – przyszły one w paczkach prosto z amerykańskich pralni chemicznych, w których guziki odpruwano przed czyszczeniem, aby nie roztopiły się w płynie do czyszczenia, a potem ponownie je przyszywano. W tym przypadku ktoś wyraźnie nie zdążył tego zrobić. Otrzymywana od zagranicznych filantropów odzież była rozdzielana przez miejscowe oddziały Zarządu do spraw Specjalnego Handlu, ale znaczna jej część przepadała niczym w otchłani, aby następnie pojawić się na czarnym rynku. W warunkach ogromnego deficytu nie można było uniknąć nadużyć, najbardziej banalnych kradzieży, wykorzystywania znajomości i przywłaszczania. Reagując na skargi, władze nalegały na dobór sprawdzonych osób do pracy w punktach wydawania pomocy, „najlepiej działaczy gospodarczych – komunistów”. Wielokrotnie wymieniano pracowników tych punktów, ale porządek, a ściślej nieporządek pozostawał wciąż ten sam.

Ale za to Gina i Dorka nabrały tyle żywności, że nie mogły jej unieść. Wzięły ją jakkolwiek by nie było dla sześciu osób: dla babci Etl, Dorki, Mani, taty, mamy, Giny i jej młodszej siostry Liny. Dostały kaszę, tłuszcz i zupy w proszku dotąd nieznanne w ZSRR. Wymieniły trochę produktów na pyszną semipałatyńską tuszonkę, produkowaną dla potrzeb wojska, która także

pojawiała się na czarnym rynku. Gina wspomina: „Uprzedzono nas: na rynku trzeba być bardzo czujnym – tam jest pełno kieszonkowców. Ciotka Dorka skomentowała to tak: «Kradną, dlatego że są głodni. Gdyby nie byli głodni, to by nie kradli.» Te słowa zapadły mi w duszę”.

I jeszcze jedno niezapomniane wspomnienie: na rynku sprzedawano jabłka. Gina nie wierzyła własnym oczom, owoców nie widziała już od kilku lat. Nie wytrzymała i wymieniła coś na kilka jabłek z jedną tylko myślą, żeby dowieźć je do Leninogorska, do Drugiego Rejonu, do rodziców...

„Byłyśmy z Dorką tak obładowane, że z trudem dotarłyśmy do dworca, – opowiada Gina. – A tam jak zwykle pasażerowie szturmowali pociąg. Obładowane pakunkami nie mogłyśmy dostać się do wagonu. Dorce pierwszej się to udało, a ja z peronu podawałam jej przez okno nasze tobołki. Pociąg nagle ruszył. Pobiegłam za nim, wskoczyłam na stopnie i chwyciłam się pokrytych lodem poręczy. Wczepiwszy się w nie tak dojechałam do następnej stacji. Odrywając dłonie od poręczy, zostawiałam na nich zakrwawioną skórę. Ale do domu przyjechałam jako zwycięzca nie gorszy niż Aleksander Macedoński: przywiozłam jabłko dla mojej malutkiej, słabiutkiej siostry – pierwsze w jej życiu”. Ona do dziś pamięta jego smak.

Kremłowskie gwiazdy

Podróż do Semipałatyńska i triumfalny powrót do Leninogorska dodały Ginie pewności siebie. Od tej pory czekała tylko na okazję, aby wyrwać się z bagna, jakim, jej zdaniem, było życie w Drugim Rejonie. Taka możliwość pojawiła się latem 1945 roku.

Wróćmy jednak do zdarzeń z początku tego roku. W styczniu Warszawa została wyzwolona. Gina opowiada: „Później dowiedziałam się, że to wydarzenie było powszechnie świętowane w miastach, w których znajdowały się skupiska Polaków. Związek Patriotów Polskich organizował wiece, w gazetach publikowano artykuły pod tytułem „Triumf polskich patriotów”. A w Drugim Rejonie jedynie sympatyczni sąsiedzi pogratulowali nam bardzo serdecznie.

W maju zakończyła się wojna – wtedy było to prawdziwe święto!

6 lipca 1945 roku między polskim Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej i rządem ZSRR podpisano porozumienie o prawie do zmiany obywatelstwa radzieckiego osób narodowości polskiej i żydowskiej, mieszkających w ZSRR i ich ewakuacji do Polski. Porozumienie dotyczyło osób posiadających obywatelstwo polskie do 17 września 1939 roku.

„Jeżeli powrót jest realny, zastanawiał się Abram Wejgsman, to do czego wrócimy? Co się stało z krewnymi, o których od wielu lat nic nie wiemy? Co się stało z Warszawą? Z Polską? Co nas tam czeka? Może lepiej zostać w ZSRR? Już znamy radziecki sposób bycia i przyzwyczailiśmy się do niego. Wojna skończyła się. Życie tutaj jakoś się ułoży – sądził naiwnie”. Dora miała na ten temat inne zdanie. Uważała, że należy wracać do Polski.

Wobec rozbieżnych opinii Wejgsmanowie postanowili poszukać kogoś trzeciego, kto wypowie się w tej sprawie. Gina mówi: „Ojciec myślał, myślał i wymyślił: trzeba pojechać do Moskwy i tam zapytać radzieckich towarzyszy, jak Abram z rodziną mają postąpić. Niech rozwieją nasze wątpliwości. Rodzice

postanowili wysłać mnie do stolicy jako tę, która ma już pewne doświadczenie w podróżowaniu. Moim zadaniem było postarać się o spotkanie z przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, Michaiłem Iwanowiczem Kalininem i zasięgnąć jego Salomonowej opinii. Mówiono o nim, że odpowiada na liczne listy obywateli z najróżniejszymi prośbami o pomoc (na przykład w związku z niesprawiedliwym aresztowaniem, problemem ze znalezieniem pracy itp.) i przyjmuje zwykłych obywateli – wysłanników z całego kraju, którzy przyjeżdżają do niego z różnymi sprawami. Można się do niego dostać na osobistą rozmowę. A ja tylko na to czekałam. Miałam nadzieję, że znajdę pracę w Moskwie i do Leninogorska już nie wrócę.

Sąsiad z baraku, moskwiczanie, inżynier Jurij Rybnikow ewakuowany razem ze swoją fabryką, bardzo życzliwy człowiek, obiecał mi pomóc: dał adres do swojej matki, proponując, żebym się u niej zatrzymała.

I oto jadę do Moskwy. Mam ze sobą małą walizkę i kawałek chleba zawinięty w ściereczkę. Serce wraz z turkotem kół śpiewa: «Jadę-jadę-jadę do Moskwy». Dojechałam. Wyszłam na plac trzech dworców kolejowych – widok jak z obrazka: klasyczny z iglicą dworzec Leningradzki, bajecznie – rosyjski z wieżyczką Jarosławski i kamienna bryła Kazańskiego... Po podróży ciemnym, dusznym i brudnym pociągiem wydawało mi się, że wszystko dookoła jest zalane światłem. Słonecznym? A może to lśniły gwiazdy kremlowskie?

Był letni dzień, mnie jednak było chłodno. Jakby to był kwiecień. Dygotałam. Skierowałam się od razu do centrum Moskwy na ulicę Arbat, gdzie mieszkała matka Rybnikowa. Pamiętam, że szłam dość długo. Co chwilę zatrzymywałam się i zadzierałam głowę – domy były takie wysokie i piękne. Wreszcie dotarłam. Drzwi otworzyła starsza kobieta. Moje pozdrowienia od syna niespecjalnie ją poruszyły. Pewnie wystraszyła się i pomyślała, że jak jestem prosto z pociągu, to znaczy zawszona i brudna. W tamtym czasie wszyscy wiedzieli, że pociągi to siedlisko epidemii. Jednak wpuściła mnie. Powiedziała, że będę spała w przedpokoju. Spędziłam tam cały tydzień.

Następnego dnia zaczęłam działać według wcześniej ułożonego planu. Minęło kilka godzin, zanim znalazłam biuro Kalinina. Po drodze zatrzymywałam przechodniów i pytałam o drogę. Byłam zdumiona, jak szybko chodzą moskwiczanie, prawie biegają. Niektórzy, gdy pytałam ich o drogę, z niezadowoleniem odwracali się ode mnie. Większość ludzi była jednak życzliwa. Biuro znajdowało się niedaleko Kremla, u zbiegu ulic Mochowoj i Wozdwiżenki. Dobrze zapamiętałam te nietypowe nazwy.

Nie miałam żadnych wątpliwości, że dostanę się do Kalinina. Na portretach wiszących w Leninogorsku i znaczkach pocztowych wyglądał na dostojnego i dobrodusznego staruszka. Trochę przypominał mojego ulubionego dziadka Grinblata. Może z powodu siwych wąsów? W takich chwilach ciężko wzdychałam. Gdzie może być teraz mój ukochany dziadek Anszel? – myślałam.

Przy wejściu do biura stali wartownicy, ale dołączyłam się do tłumu pracowników i żołnierze nie zwrócili na mnie uwagi. To by dopiero było, gdyby zatrzymali mnie, przecież nie miałam paszportu. Okazuje się, że w kraju powszechnego «nie wolno», udawało mi się jakimś sposobem żyć według własnych zasad. Weszłam do wielkiego pięknego holu, nie wiedząc dokąd się skierować. Ktoś widząc moje zakłopotanie i zaprowadził mnie prosto do Kalinina, a ten, wyobraźcie sobie, przyjął mnie od razu. Sama sobie nie wierzyłam, że poszło tak gładko. Jakiś cud!

Kalinin wyglądał tak jak na znanych mi portretach. Zapytał, w jakiej sprawie przyszłam, a ja odpowiedziałam, jak nauczył mnie ojciec, słowo w słowo: «Teraz, kiedy skończyła się wojna, jak powinien postąpić żydowski komunista z Polski: pozostać w ZSRR czy wrócić do ojczyzny?» Tak jak nauczyłam się na pamięć ojcowskiego pytania, tak samo dosłownie zapamiętałam odpowiedź Kalinina: «Prawdziwi komuniści będą nam potrzebni w Polsce. W ZSRR jest ich wielu, a w Polsce mało. Tak więc miejsce twojego ojca jest w ojczyźnie». Na tym audycja się zakończyła”.

Cóż mógł wtedy powiedzieć polskiej dziewczynie stary, pochylony pod ciężarem własnego czy też narzuconego jemu mitu człowieka z ludu, twerski chłop, potem petersburski robotnik, który został wybitnym radzieckim działaczem państwowym i partyjnym? Czego można było oczekiwać od nieszczęśliwego, zdeorientowanego, zagubionego, wystraszonego i schorowanego człowieka? Czy mógł powiedzieć: jak tylko nadarzy się okazja, uciekajcie dokąd oczy poniosą? Czy mógł powiedzieć, że jego ukochana żona (Estonka z miasta Rewel; zabrał ją, kiedy był na zesłaniu) jako wróg narodu, znajduje się w obozie już od ośmiu lat i nie może jej stamtąd wydostać? I że on sam zdradzał, osobiście podpisując rozporządzenia o masowych represjach, w których jednoznacznie było powiedziane: „Wyrok kary śmierci należy wykonać natychmiast po jego orzeczeniu”. I nie rozumie, jakim sposobem sam ocalał i nie był represjonowany, skoro Stalin miał pewność, że on „zadaje się z krętaczami”? I że sam boi się wszystkiego i nie wie jak żyć? Że jest ciężko chory?

Kalinin zmarł niemal rok po pamiętnej wizycie, w czerwcu 1946 roku. Kiedy Gina dowiedziała się, bardzo to przeżyła. Tak, jakby umarł bliski jej człowiek. Jednak kiedy pół wieku później przeczytała jego odarty z mitologii życiorys, przeraziła się.

Co jeszcze Gina zobaczyła w stolicy?

Nie bez powodu mówią o Moskwie, że jest to duża wieś. W tym wielomilionowym mieście zdarzają się przypadkowe, niewiarygodne spotkania. Na skrzyżowaniu ulic Gina spotkała się twarzą w twarz z przedwojennym warszawskim przyjacielem ojca, studentem Akademii Sztuk Pięknych, Michałem Milbergerem.

Gina opowiada: „Nie wiem, jakie stosunki łączyły go z ojcem, ale często przyjeżdżał do nas na Pelcowiznę i pamiętam naszkicowany przez niego wspaniały portret mojej siostry. Niestety, tak jak wszystko inne z naszego warszawskiego domu, nie wyłączając najcenniejszych – rodzinnych fotografii –

portret siostry także zaginął. Pamiętam jeszcze, że ten młody chłopak nigdy nie pojawiał się bez bloku rysunkowego i ołówka, a mieszkający po sąsiedzku Żydzi uważali go za śmiesznego i wołali na niego *Mojsze Szojta*, co oznaczało Mojsze głupek. Michał zawsze był głodny i mama raczyła go wszystkim, co było w domu. Ale od tamtych czasów minęła wieczność. A tu takie niespodziewane spotkanie... Okazało się, że wszystkie wojenne lata Michał spędził w Moskwie, studiował w Stroganowce, Instytucie Sztuki Stosowanej i Dekoracyjnej imienia Stroganowa. Głodował, żył w biedzie i nie miał mieszkania. Latem spał na parkowej ławce, a z nastaniem chłódów przygarniał go ktoś z dobrych przyjaciół lub protektorów. Z całą pewnością ten utalentowany artysta miał zamiar po ukończeniu instytutu wrócić do Warszawy. Stało się jednak inaczej. Zaproponowano mu wykłady w instytucie i Michał przyjął propozycję. Obronił pracę doktorską z historii sztuki i został znanym rzeźbiarzem. W samym centrum stolicy umieszczono co najmniej dwie jego prace. Jedna z nich – pomnik rosyjskiego pisarza Aleksandra Hercena, który wspierał Polskę w jej walce o wolność i niezależność od carskiej Rosji, druga, płaskorzeźba przedstawiająca poetów Aleksandra Puszkina i Adama Mickiewicza umieszczona na domu, w którym spotykało się dwóch wielkich: Puszkina, który „*jest nasze wsio*” (nasz skarb) i jeden z trzech polskich wieszczów Mickiewicz.

Milberger wrócił do Polski dopiero na początku lat sześćdziesiątych, a w 1963 roku postanowił wyemigrować do Francji²³. Wiedząc, że wyjeżdża na zawsze, przyjechał do nas pożegnać się (mieszkaliśmy wtedy w Szczecinie). Pożegnanie było bardzo wzruszające. Żyd, wieczny tułacz, Milberger nigdy nie miał prawdziwego domu: w Moskwie mówił po polsku, w Warszawie po rosyjsku. W swojej pracowni w Paryżu bardzo serdecznie podejmował swoich słowiańskich przyjaciół. We Francji został wydany album ze zdjęciami jego

²³ Michał Milberger urodził się w Warszawie w 1922 r. Zmarł w Paryżu w 1997 r.

wspaniałych, ciepłem emanujących rzeźb, który często przeglądam... Piękna doprawdy pamiątka...

Następnego dnia po naszym niespodziewanym spotkaniu Michał zajrzał do mnie do przedpokoju na Arbacie, aby ogrzać się. Zaproponował mi pójście do siedziby Związku Patriotów Polskich i zasięgnięcie tam najnowszych informacji. Zgodziłam się oczywiście, bo w Moskwie wszystko mnie ciekawiło. Zanim doszliśmy do celu, Michał pokazał mi «związkowy» sklep, a dla kogo on był, miałam dowiedzieć się nieco później. Zdziwiło mnie, że witryny sklepowe były zasłonięte żółtymi firankami. Widziałam sklepy w Warszawie pełne smakołyków i pięknych ubrań, sklepy z pustymi półkami w Leninogorsku, ale nigdy dotąd nie widziałam sklepów z zasłoniętymi szybami. Nieco później nazwałam ten sklep «Sklep za słonecznym marzeniem». Boże! Czego tam nie było! Istny róg obfitości. Niesamowity luksus, który mogłam porównać tylko z przepychem restauracji na dworcu w Nowosybirsku. Oczy wyszły mi z orbit na widok góry towarów: kury, sery, kiełbasy, czekolada... Wszystko było dla «kierownictwa» Związku Patriotów Polskich. Cóż za bezwstyd! Był to prawdziwy szok! Jedni żyją jak pączek w maśle i opływają w dostatek, kiedy tymczasem drudzy puchną z głodu. Wyszłam z tego «raju» przytłoczona i rozżalona, z mocnym postanowieniem, że od tej pory nie chcę mieć nic wspólnego z «prawdziwymi polskimi patriotami», jak siebie nazywali działacze Związku.

Pracy w Moskwie nie znalazłam. O zameldowaniu się nie mogło być mowy. Podróż, którą rozpoczęłam z wielkimi nadziejami, zakończyła się porażką. Nic dla siebie nie załatwiwszy, przygnębiona wracałam do Leninogorska”.

Promień słońca w ponury dzień

Ginę nieustannie dręczyła myśl, że z Drugiego Rejonu trzeba koniecznie wydostać się, uciec. Wyfrunąć. Kiedyś widziała na Pelcowiźnie ptaka z podciętymi skrzydłami, który nie mógł wzbić się do lotu – czasem wyobrażała sobie, że jest właśnie taką ptaszyną. Pomysł, żeby czym prędzej uciec, nie dawał jej spokoju, więc postanowiła wykorzystać kolejną szansę. Nie mogła jej zaprzepaścić.

Gina opowiada: „Kiedyś poznałam w Leninogorsku sympatyczną dziewczynę Tanię. Pracowałyśmy razem, dzieliłyśmy się chlebem i dziewczęcymi smutkami. Tanię ewakuowano z Kalinina położonego w pół drogi między Moskwą a Leningradem. Kiedy jej chłopak wrócił z frontu do miasta, Tania natychmiast postanowiła jechać do domu. Bardzo jej się spieszyło. Rozstawałyśmy się serdecznie. Zapraszała mnie do siebie, nawet nalegała. Mówiła: «Jeżeli będziesz miała sytuację nie do wytrzymania, przyjeżdżaj, będziemy razem mieszkały, znajdziemy pracę...». Dlaczego nie skorzystać z zaproszenia przyjaciółki? – pomyślała Gina i znów ruszyła w drogę. «Taki zbieg okoliczności. W Moskwie szczęście mi sprzyjało i spotkałam się z Kalininem, a teraz uda się z pracą w mieście Kalinin»²⁴. Po moskiewskiej podróży wszystko to, co było związane z imieniem Kalinina, wzbudzało w niej nadzieję. Tak bardzo wierzyła, że wszystko się ułoży, że kupiła bilet tylko w jedną stronę. Inna sprawa, że nie miała możliwości uzbierania pieniędzy na przejazd w obie strony. Adres Tani miała przy sobie – czyli wszystko będzie w porządku.

Miasto było mocno zrujnowane. Na ulicach poniewierały się wraki wojskowych samochodów. Kiedy dotarła do domu, gdzie mieszkała

²⁴ W 1925 r. padła propozycja, by nazwać jedną z jednostek administracyjnych imieniem Kalinina, czemu ostro się sprzeciwił, uważając, że ocena działaczy politycznych powinna należeć do potomków. Jednak w 1931 r. sam podpisał decyzję o przemianowaniu miasta Twer na Kalinin.

przyjaciółka, okazało się, że i ten budynek także ucierpiał w czasie walk. Zapukała i czekając, aż otworzą jej drzwi, już sobie wyobrażała, że umyje się, przebierze i coś zje.

Po chwili w otwartych drzwiach zobaczyłam bardzo pijanego, nieogolonego i rozczochranego faceta – jakby przed chwilą wylazł z nory. W ślad za nim z mroku, chowając się za jego plecami, pokazała się moja leninogorska przyjaciółka Tania i tylko bezradnie rozłożyła ręce. Nie wpuszczono mnie nawet za próg. Może niepotrzebna była dodatkowa osoba do wyżywienia – sami głodowali albo bali się, że oskarżą ich za kontakty z deportowaną Polką. Mężczyzna był tak zamroczony, że prawdopodobnie nie połapał się nawet, kim jestem i skąd się wzięłam, a Tania powiedziała: «Wracaj do domu. Nie masz tu nic do roboty». Zatrzasnęli drzwi i oboje zniknęli w swojej norze. Zostałam sama w ciemnym, zrujnowanym obcym mieście, zupełnie zagubiona. Nie pamiętam, w jaki sposób dotarłam do dworca kolejowego. Bez grosza w kieszeni. Zmarznięta, zapłakana i na granicy omdlenia z głodu.

Na dworcu zaczęłam żebrac. «Pomóżcie, dajcie na bilet. Okradziono mnie, zostałam bez pieniędzy» – to były słowa, które Gina słyszała wielokrotnie. Ktoś mówił prawdę, inny – szczerze kłamał. W czasie wojny żebraków spotykało się co krok. Taki to był czas. Podchodziłam do mężczyzn i kobiet, młodych i starszych. Wszyscy odwracali się, niektórzy z litością, inni z obrzydzeniem. Kiedy traciłam już nadzieję, pewien mężczyzna powiedział: «Chodźmy, kupię dla ciebie bilet i coś do zjedzenia w dworcowym bufecie». Do tej pory nie rozumiem, jak to się stało, że w tym tłumie ludzi zubożniętych przez tragedię wojny znalazł się człowiek. Może miał córkę w moim wieku? Wyobraził sobie, jak ona czułaby się w takiej sytuacji? Później, już w moim spokojnym i dostatnim życiu, wiele razy myślałam o nim! Nie tylko nie znałam jego imienia, ale też nie pamiętałam, jak wyglądał – a tak bardzo chciałabym wiedzieć...

Żebranie i poniżenie to najstraszniejsze wspomnienie mojego życia w ZSRR. Jakby dla przeciwwagi pozostała pamięć jednego z najjaśniejszych momentów tamtego czasu – spotkanie z dobrym Samarytaninem”.

Dla kromki chleba

Gina opowiada: „Znów przyjechałam do Drugiego Rejonu pod rodzinny dach. Rodzice oczekiwali ode mnie pomocy, tymczasem ja ze strachem myślałam o tym, że trzeba będzie wrócić do tartaku.

Pojechałam do Leninogorska, gdzie odszukałam moje koleżanki, które przez ten czas zdążyły wydorosnąć. Zatrzymać się mogłam tylko u nich. Babcia Etle oraz ciotki Dorka i Mania już pożegnały się ze wschodnim Kazachstanem: gdy tylko Armia Czerwona w końcu lipca 1944 roku wyzwoliła Lwów spod okupacji faszystów, one natychmiast pojechały tam z przekonaniem, że jest to wciąż polskie miasto.

A koleżanki? No, cóż – wszystkie ułożyły sobie życie z partnerami często za kawałek chleba. Poznały mnie z Janem. Był starszy ode mnie 14 lat i wydawał mi się staruszką. Pewnego razu zaprosił mnie na tańce. Pamiętam, że tańczyliśmy walca do melodii piosenki „Błękitna chusteczka”. Po chwili podszedł do nas jakiś chłopak i zwrócił się do Jana: „Pozwoli pan, że zaproszę pańską córkę do tańca”. Byłam tym zszokowana – to zdanie nie mogło mi wyjść z głowy. Jan i bez tego nie podobał mi się, pachniał zawsze tanią wodą kolońską, co nie czyniło go bardziej pociągającym. Był znakomitym fryzjerem, mistrzem w swoim fachu. W mieście mało było zakładów usługowych, więc powodziło mu się świetnie. Nazywałam go w myślach nie *parikmacherem* (po rosyjsku to fryzjer), a *geldmacherem*. Gdy Jan zaproponował mi małżeństwo, zawahałam się. Moje koleżanki namawiały mnie: „Będziesz miała w Leninogorsku swój dach nad głową”. Wiedziałam, że go nie kocham, lecz jeszcze lepiej wiedziałam, że jestem głodna. Tak, przyznaję się, wyszłam za mąż, ponieważ byłam głodna. Pewnie jeszcze i dlatego, że nie widziałam innych możliwości dla siebie, nie znałam swojego miejsca na ziemi. Powiedziałam tak i

poszliśmy do urzędu stanu cywilnego. Niezupełnie zdawałam sobie sprawę z tego, czym jest małżeństwo. Po ślubie chciałam jechać do domu, do rodziców. Koleżanki mnie zatrzymały, szeptały coś, czego nie rozumiałam. Nikt mnie do małżeństwa nie przygotował, a one pewnie próbowały udzielić mi rad. W tym czasie rozmowy na takie tematy uważano za coś niestosownego. Należało domyślać się. Tylko jak to zrobić, jeżeli przy całej mojej fizycznej dojrzałości, doświadczeniu w pracy i podróżowaniu, przy rozczarowaniach, chorobach, niepowodzeniach, zimnie i głodzie, wciąż czułam się wnuczką swojego dziadka? Naprawdę tak było? – pytam samą siebie. Naprawdę coś takiego jest możliwe? Okazuje się, że tak”.

Był styczeń 1946 roku.

W mieście mówiono, że do obozu zwożą ogromną liczbę niemieckich jeńców wojennych (znacznie później dowiedziałam się, że było ich 30 tysięcy). Ponadto coraz więcej mówiło się o tym, że Polacy będą reewakuowani do ojczyzny.

Żegnaj, Sybirze

Jak już powiedziano, w lipcu 1945 roku zwrócono polskie obywatelstwo wszystkim byłym obywatelom polskim, którzy posiadali je przed 17 września 1939 roku. Otrzymali oni prawo do repatriacji. Dotyczyło to większości obywateli polskich, lecz nie tych, którzy w momencie repatriacji byli osadzeni w więzieniu oraz ich dzieci. Mówiło się o tym, że do ojczyzny wracać będą Polacy, tymczasem polscy Żydzi pozostaną w ZSRR (dyskusje te miały określone podłoże, jako że przez czas przebywania w Związku Radzieckim polscy Żydzi wielokrotnie przekonali się, że są polskimi obywatelami drugiej kategorii). Niechętnie przyjmowano ich do Armii Andersa, a nawet Związek Patriotów Polskich oraz *Kompoldiet* (Komitet do spraw Polskich Dzieci) informowały: „W pierwszej kolejności zajmujemy się Polakami, którzy do momentu rozpoczęcia w 1939 roku przez Niemcy wojny przeciw Polsce byli polskimi obywatelami i zamieszkują obecnie na terytorium Związku Radzieckiego. W drugiej kolejności zajmujemy się Żydami, którzy tak jak Polacy byli przed 1939 rokiem polskimi obywatelami i zamieszkują obecnie na terytorium ZSRR [podkreślenie moje – O.M.N.]”.

Tym razem pogłoski jednak się nie potwierdziły. Od września 1945 roku przygotowania do reewakuacji szły pełną parą. Utworzono specjalną komisję do spraw przesiedleń. Sporządzano wykazy osób narodowości polskiej i żydowskiej, będących byłymi obywatelami polskimi.

Z dokumentów archiwalnych wynika, że w obwodzie wschodniokazachstańskim złożono 732 wnioski o repatriację. Jeżeli dodamy, że zgodnie z tajną informacją NKWD Kazachskiej SRR w styczniu 1942 roku w Kazachstanie Wschodnim zarejestrowanych było 454 Polaków, to można wysnuć stąd wniosek, że około 300 osób pojawiło się tutaj w latach 1942-1945. Niewykluczone, że w pierwszych wykazach umieszczono Polaków

administracyjnie wysłanych, natomiast pominięto uchodźców i deportowanych Żydów. Przytoczone dane mogły być niedokładne, a dzisiaj powodów rozbieżności nie jesteśmy w stanie ustalić.

Aby zostać zarejestrowanym w wykazie osób podlegających repatriacji, należało okazać jakikolwiek polski dokument potwierdzający obywatelstwo polskie do 1939 roku oraz napisać oświadczenie o zrzeczeniu się obywatelstwa radzieckiego. (Młodzież w wieku 14-18 lat miała sama decydować czy wyjedzie do kraju, czy zostanie w ZSRR). Takim dokumentem mógł być polski paszport, polska książeczka wojskowa, świadectwo urodzenia wydane w Polsce lub ostatecznie paszport radziecki z adnotacją, że został wydany na podstawie dokumentu wskazującego, że jego okaziciel ma obywatelstwo polskie. Na podstawie wspomnianych wykazów i wniosków organa milicji sporządzały, a następnie wydawały Polakom zaświadczenia o ewakuacji. Termin złożenia wniosków był określony: do dnia 1 stycznia 1946 roku.

Zadziwiająca, ale ta informacja dotarła do Leninogorska na czas. Wejgsmanowie zdążyli z załatwieniem formalności.

Gina opowiada: „Jeżeli chodzi o przedstawienie polskiego dokumentu, to rodzice obawiali się, że będzie problem. Wszystkie nasze polskie dokumenty zaginęły wraz z rzeczami jeszcze w listopadzie 1939 roku na Dworcu Wschodnim w Warszawie.

Na szczęście ojciec przypadkiem zachował jeden sfatygowany dokument – była to przedwojenna rodzinna polisa ubezpieczeniowa, do której wpisana była mama i ja (wtedy jeszcze Hinda), moja młodsza siostra (w odpowiedniej rubryce, zamiast jej imienia i nazwiska wpisano po prostu słowo „dziecko”). Stało się tak dlatego, że w firmie ubezpieczeniowej nie chciano wpisać jej imienia Lina, którego nie było w obowiązującym wykazie imion.

Takie imię dziewczynka otrzymała na wyraźne życzenie ojca, który chciał, aby córka nosiła imię Liny (Pauliny) Odeny Garcii (1912-1936), hiszpańskiej komunistki. Była ona jedną z przewodniczących organizacji pod nazwą

Zjednoczonej Socjalistycznej Młodzieży. Lina Garcia zginęła niedaleko Granady, gdy faszyzm dopiero zaczynał odkrywać swoje oblicze. Wśród polskich komunistów znane były słowa Dolores Ibarruri (Pasionarii) o Linie Odenie Garcii: «Jesteś jak latarnia morska wskazująca młodzieży właściwą drogę! Wspaniałym wzorcem bohaterstwa i samozaparcia. (...) Jesteś nieśmiertelna!». Mojemu ojcu bardzo to imponowało.

Przez te wszystkie lata ojciec z jakiegoś powodu strzegł tej polisy ubezpieczeniowej, chociaż wątpliwe, by miał nadzieję na szybki powrót do Polski, a tym bardziej na odszkodowanie za straty materialne. Ale właśnie na podstawie polisy otrzymaliśmy dokumenty repatriacyjne”.

Już 21 listopada 1945 roku Ludowy Komisariat Handlu ZSRR opublikował dyrektywę dotyczącą przydzielenia artykułów przemysłowych repatriowanym obywatelom polskim – Polakom i Żydom. W wykazie wymieniono: koce, prześcieradła, kupony flaneli, obuwie i trochę odzieży. Władze domagały się od handlujących firm „terminowej sprzedaży pilnie potrzebującym Polakom wełnianych i bawełnianych tkanin oraz terminowego ich przerobienia na ubrania”. Domagano się także nieprzerwanego zaopatrywania pociągów w żywność, paliwo, oświetlenie (świeczkami) i wodę, zapewnienia na czas podróży gorącego posiłku jeden raz dziennie – obiad z dwóch dań według określonej normy – i medyczno-sanitarnych usług”. Mimo że kraj był w ruinie! Cóż za dowód wielkoduszności zwycięzców wobec tych, do których władze jeszcze niedawno odnosiły się tak bezwzględnie. Jakże przewrotny bywa los i jak fałszywy system społeczny! Wejgsmanowie jednak niczego na drogę nie otrzymali. Przypuszczalnie dlatego, że mieszkali w oddaleniu od „skupisk Polaków”. Oni nawet nie oczekiwali pomocy. Przydało się im ponadsześćdziesięcioletnie doświadczenie w „samozaopatrywaniu”; gromadzili zapasy prowiantu, przygotowywali się do drogi tak, by nie powtórzyła się bieda, jakiej doznali podczas podróży z przygranicznych rejonów „w głąb ZSRR”. Przed wyjazdem, zgodnie z wydawanymi centralnie okólnikami, osoby

wracające do Polski miały być poddane badaniom lekarskim i miała być dokonana kontrola sanitarna osób i rzeczy. Wejgsmanów ominęły wszystkie powyższe procedury.

W styczniu 1946 roku Gina ukończyła 20 lat. Do Polski wyjeżdżała już jako młoda zamężna kobieta. Jechała z Janem tym samym pociągiem, co rodzice. Ile pociągów z Polakami wyjeżdżało z Leninogorska, tego Gina nie wiedziała.

Wiadomo, że ogółem z Kazachstanu, Kirgizji i Uzbekistanu wyjechało wiele składów. W każdym z nich było do sześćdziesięciu wagonów, które parowóz z ledwością ciągnął. W wielu wspomnieniach tych, którzy przeszli podobną do Wejgsmanów drogę, Gina później czytała, że Polaków odprowadzano uroczyście, z muzyką. Niektóre osoby, a w szczególności dzieci, rozstając się z rosyjskimi rówieśnikami płakały. Te przejawy zwyczajnych ludzkich uczuć przedstawiano w prasie jako znak wiecznej i zwycięskiej przyjaźni narodu polskiego i radzieckiego. „W Leninogorsku muzyki nie było, ale pożegnanie z koleżankami i sąsiadami było wzruszające”, – mówi Gina.

Pociąg specjalny ruszył. Warunki podróży były całkiem znośne. Nie można ich porównać z tymi, które mieli jesienią 1939 roku, gdy wieziono ich na miejsca osiedlenia się. Uciekinierzy, zabierając nogi za pas przed hitlerowcami, jechali pociągami towarowymi, w zatłoczonych i dusznych wagonach bez wody, jedzenia i toalet, z resztkami dobytku, z małymi dziećmi i starcami. Teraz repatrianci także jechali pociągami towarowymi, lecz tym razem każda rodzina miała przydzielone w wagonie osobne prycze. Na postojach kobiety rozpały ogniska i gotowały ciepłe posiłki. Było to zabronione, ale miały one swoje sposoby, by zdążyć z gotowaniem przed pojawieniem się służby ochrony kolei. Z higieną też było o wiele lepiej. Na niektórych stacjach były łaźnie, z których repatrianci mogli korzystać. Co prawda pod jednym warunkiem – pranie było tam surowo zakazane. „Pamiętam, że na tych, którzy tego zakazu nie respektowali, – mówi Gina – rosyjskie *banszczicy*, czyli kobiety pracujące w

łaźni, okropnie wrzeszczały”.

Tylko jedna sprawa do bólu przypominała 1939 rok – jechali w nieznane.

Jeżeli Ginę pamięć nie zawodzi, to w jej wagonie byli sami Żydzi. Ale gdy na stacjach wysypywali się pasażerowie z innych wagonów, po raz pierwszy od wielu lat słyszała czystą polską mowę i upajała się prawie zapomnianym brzmieniem języka ojczystego. Wkrótce jednak okazało się, że łatwiej jej pisać po rosyjsku niż po polsku i przestraszyła się tego odkrycia. „No, a co powiedzieć o mojej malutkiej siostrze? – myślała z przerażeniem Gina. Co będzie z moją nauką?”.

Przyszłość napawała ją lękiem. Odpędzała od siebie złe myśli i starała się myśleć optymistycznie. Nie można powiedzieć, że w tym momencie cieszyła się lub była szczęśliwa. Raczej czuła się zagubiona. Myśli wbrew jej woli uciekały do minionych lat, do Kazachstanu i Leninogorska. Przeszłość przed okresem radzieckim, która tak często śniła jej się w Drugim Rejonie w baraku, gdzie spała na żelaznym łóżku zwinięta w kłębek, żeby nie przeszkadzać siostrze, teraz nie wracała. Przeciwnie, im dalej było od Leninogorska, tym więcej myślała o wojnie, która zakończyła się zwycięstwem nad siłami zła za cenę niewyobrażalnych ofiar i bezpośrednio dotknęła dużą rodzinę Wejgsmanów. Ostatnią ofiarą był mąż ciotki Dorki, Henryk Szafer. Gina mówi: „Dorka powierzyła mi sekret jej serca – mąż, odchodząc na front w 1943 roku, dodawał otuchy żonie oczekującej dziecka wysyłając jej w liście z Barnaulu zwrotkę popularnej piosenki:

Podstawiono już pociąg,

Odjeżdżam na front.

Żona mnie żegna -

Smutny jej wzrok.

Z nią razem się smucę,

Lecz wierzę, że wrócę.

Oczy uśmiech rozjaśni

z radości zacałuję²⁵.

W tym samym liście, jakby przeczuwając swój tragiczny koniec, napisał : «Jeżeli urodzi się chłopczyk, daj mu po ojcu imię Henryk». Tak też się stało. Heniek Szafer junior urodził się w Leninogorsku. Także do Leninogorska nadeszło w sierpniu 1944 roku zawiadomienie o śmierci: «Henryk Szafer... zginął śmiercią odważnych...». Wojna dogoniła naszą dużą rodzinę tuż przy polskiej granicy.

Leninogorsk, miasto na głębokim zapleczu frontu, gdzie zdawałoby się, nie docierał huk bitewny, był tak samo teatrem wojny. To zdarzenie zostawiło niezatarty ślad w mojej duszy – mówi Gina. Wtedy nie mogłam sobie jeszcze wyobrazić, ile mogił czeka na moją rodzinę w ojczyźnie. Nie wiedziałam albo nie rozumiałam, że deportacja oznaczała dla nas ratunek przed nazistowskimi prześladowaniami i pewną śmiercią, unicestwieniem. Jakże gorzkim było to wybawienie od śmiertelnego niebezpieczeństwa! Znow i znow myślałam o głodzie, chłdzie i ciężkiej pracy, niemal czując ciężar mokrych cegieł i lodowatych desek, które dźwigałam. Myślałam także o mieście, które zostawiłam na zawsze, o ZSRR i Kazachstanie, który w latach wojny przygarnął ogromne masy ludzi, ochronił setki tysięcy, dzieląc się z nimi tym, czego miejscowi sami mieli niewiele.

I jeszcze myślałam o swoim mężu Janie, który – jak mi się teraz

²⁵ Oryginalny tekst piosenki:

Выйди, подруга, к поезду друга,
Друга на фронт проводи.
Дрогнет состав эшелона
Поезд помчится стрелой,
Я из вагона — ты мне с перрона
Грустно помашешь рукой.
Пройдут года,
И снова я встречу тебя,
Ты улыбнёшься,
К сердцу прижмёшься,
Я расцелую тебя.

wydawało – z powodu jakiegoś nieporozumienia znalazł się ze mną na jednej przycy...”.

Rozmyślając o tym wszystkim Gina nie czyniła podsumowań, nie nazywała tego, co przeżyła doświadczeniami nie na miarę jej wieku, których innemu wystarczyłoby na całe życie. Nie wyciągała także wniosków na temat kraju, w którym przeżyła sześć i pół roku. Znalazłszy się tam była zbyt młoda i głodna, by świadomie go poznać i ocenić. Jej opowiadanie o radzieckim Kazachstanie w jednym z najtrudniejszych okresów jego istnienia jest oszczędne, bez wyolbrzymiania i emocji, bez uogólnień, nie da się nazwać narracją dojrzałej kobiety, starającej się zrozumieć istotę tego, co dzieje się z nią i z tymi, którzy znaleźli się obok. Jednak zarejestrowało ono mnóstwo szczegółów z życia w ZSRR, zapamiętanych przez dziewczynę, która patrzyła na cudze życie „innymi” oczami.

Dopiero po wielu latach mogła podsumować swoje przeżycia i wyciągnąć wnioski. Oto one.

Życie Wejgsmanów w ZSRR toczyło się „według norm obowiązujących w tym kraju”. Przetrwali razem z radzieckimi ludźmi w nieludzkich warunkach. Ale miejscowi: Rosjanie i Kazachowie, i zesłańcy radzieckiego okresu, i ewakuowani, wywiezieni wraz z zakładami pracy, i uciekinierzy z okupowanych przez faszystów obszarów radzieckich, przetrwali u siebie w domu, swoim kraju, na swojej ziemi. Wejgsmanowie – choćby nie wiadomo jak przystosowali się do radzieckiej rzeczywistości, choćby nie wiadomo jak byli wdzięczni losowi i krajowi za uratowanie ich, musieli przetrwać na obczyźnie. Tego faktu nie wolno w żaden sposób pominąć. Autentyczna niezwykłość Kazachstanu została poza możliwościami percepcji przytłumionej głodem. Tak naprawdę oni żyli nie tyle w Kazachstanie, ile w jego tle. W pamięci pozostał wschodniokazachstański adres, który w dniu przyjazdu podali im sąsiedzi, i który pozostał dla nich jedynie adresem. A lata zsyłki do Kazachstanu były i pozostały dla Wejgsmanów – Sybirem.

Część III

Odzyskani na Ziemiach Odzyskanych

Droga z Kazachstanu do Polski wydała się Ginie o wiele krótsza, niż w przeciwnym kierunku – z Warszawy w głąb ZSRR. Inaczej wyglądały też pociągi: w 1939 roku, kiedy Wejgsmanowie jechali z Białorusi na Syberię, wagony jeden po drugim odczepiano zostawiając Polaków w różnych miastach i wsiach. Zaś w drodze powrotnej wagony do pociągów doczepiano – Polacy wracali do ojczyzny.

W ramach przygotowań do repatriacji, jak wiemy, z Moskwy posypały się okólniki do miejsc „stałego” zamieszkania porzucanych po Związku Radzieckim Polaków. Dotyczyły one między innymi reguł asystowania Polakom w drodze z ZSRR do tak zwanych „przekazująco-przyjmujących” punktów granicznych, gdzie obywatele polscy przechodzili pod pieczę polskich władz, a także obsługi pasażerów na trasie przejazdu. Gina nie pamięta, w którym miejscu przekraczała radziecko-polską „miedzę” i jak długo stał tam pociąg. Natomiast pamięta coś innego: „Myśleliśmy, że dowiozą nas do Warszawy. Ale stało się inaczej. Nie zatrzymując się w stolicy, nasz pociąg pojechał dalej. Nikt nam nie powiedział, dokąd nas wiozą. W powietrzu pełno było pogłosek na ten temat, które nie ominęły także naszych wagonów. Ludzie mówili, że jedziemy w kierunku niedawno ustanowionej zachodniej granicy Polski. Wcale nie byliśmy na to przygotowani.

A Polacy, którzy przeżyli okupację niemiecką w ojczystym kraju, także byli nieprzygotowani – nieprzygotowani na spotkanie z nami. Kiedy nasz pociąg zbliżał się do stacji i stacyjek, w okna wagonów leciały kamienie. Widzieliśmy twarze wykrzywione złością i słyszeliśmy okrzyki: «Jeszcze nie wszystkich was pozabijali? Po co wracacie? Nikt na was tutaj nie czeka!». Wyglądało na to, że w ZSRR żegnano nas, tak zwanych prawdziwych przyjaciół, niezwykle uroczyście – chociaż na pewno na pokaz, lecz w Polsce witano nas – bez żadnego fałszu, całkiem szczerze – złowróźnie. W każdym razie w taki właśnie

sposób pozdrawiano pociągi z Żydami. Strach nas ogarniał, ale co było robić? Gdzie mieliśmy się podziąć? Który to już raz nie mieliśmy żadnego wyboru. Niby zmierzaliśmy do wolności, ale czy jest wolność bez możliwości dokonania wyboru?!

Krażące podczas podróży pogłoski o tym, że nasz pociąg jedzie w kierunku granicy polsko-niemieckiej, sprawdziły się. Nas, podwójnych albo i potrójnych już przesiedleńców, przywieziono na tak zwane Ziemie Odzyskane”.

Tym terminem określano wówczas polskie ziemie zachodnie i północne, które zgodnie z postanowieniami konferencji poczdamskiej w 1945 roku, po zakończeniu drugiej wojny światowej zostały przyznane Polsce jako rekompensata za utratę na rzecz Związku Radzieckiego ziem dawnej Polski wschodniej. Nazwa Ziemie Odzyskane, podobnie jak hasło o powrocie ziem północnych i zachodnich do macierzy, nawiązywało do polskiej przeszłości tych obszarów, wywodząc z niej prawo państwa polskiego do posiadania tych terenów. W wyniku konferencji Wielkiej Trójki Polsce przypadło i największe i historycznie najbogatsze miasto tego regionu – Stettin, który od tego momentu stał się polskim Szczecinem²⁶.

I tu właśnie po wojnie, w maju 1946 roku, przywieziono Wejgsmanów, podobnie jak tysiące innych Polaków i polskich Żydów.

Miasto leżało w gruzach. Przybyszom opowiadano, że dotkliwe straty przyniosły Szczecinowi dywanowe naloty aliantów w latach 1943 i 1944²⁷.

²⁶ Słowiańskość nazwy miasta nie budzi żadnych wątpliwości. Historycy różnią się w opiniach, jeżeli chodzi o pochodzenie tego wyrazu. Niektórzy wywodzą go od słowa szczeń, szczecina (trawa bagienna), inni od słowa szczyt (pagórek, wzgórze), a inni od prawdopodobnego założyciela osady – Szczota. Nazwy najstarszych dzielnic miasta, okolicznych miejscowości i arterii wodnych są słowiańskiego pochodzenia. Nazwy niemieckie pojawiły się dopiero w związku z niemiecką kolonizacją tych ziem. Pierwotne brzmienie otrzymały po odzyskaniu Pomorza Zachodniego przez Polskę w 1945. Por. Białecki T., *Historia Szczecina*. Wrocław, Warszawa, Kraków 1992, s. 9.

²⁷ Wstępna inwentaryzacja zniszczeń w sierpniu 1945 roku odnotowuje 43,6% całkowicie zniszczonych obiektów, obiektów mieszkalnych ocalało zaledwie 32,5%. Zniszczenia w innych dziedzinach: w energetyce-80%, w komunikacji miejskiej-45%, w gazowni-40%. W przemyśle okrętowym, hutniczym i spożywczym zniszczenia sięgały 60-80%, w przemyśle

To, co Wejgsmanowie zobaczyli na własne oczy, to były stosy kamieni i szkielety budynków, pewnie niegdyś pięknych... Szczecin był prawdziwym symbolem destrukcji.

Gdy Armia Czerwona zbliżała się do zachodnich rubieży Polski, Niemcy – zgodnie z rozporządzeniem władz o przymusowej ewakuacji z dnia 18 lutego 1945 roku – masowo porzucali Szczecin i okoliczne obszary. Wreszcie 25 kwietnia miasto opuściły władze i resztki wojska z gauleiterem Schwede Coburgiem na czele²⁸. Po ciężkich walkach na przedmieściach, 65. Armia II Frontu Białoruskiego pod dowództwem generała Pawła Batowa zajęła miasto następnego dnia, 26 kwietnia 1945 roku. Władze polskie pojawiły się w Szczecinie dwa dni później, a pierwszym jego prezydentem został inżynier Piotr Zaremba. Władze dwukrotnie jeszcze opuszczały miasto (19 maja i 19 czerwca), by ostatecznie przejąć je 5 lipca 1945 roku. Jednak sprawą wciąż otwartą pozostawał przebieg granicy państwowej na zachód od Szczecina²⁹.

Wyzwaniem dla władz było przemieszczenie się ludności na teren byłych niemieckich wschodnich prowincji. Było to niewątpliwie trudne doświadczenie historyczne i społeczne. W nowym, obcym dla nich miejscu zamieszkali ludzie różnych narodowości i różnych konfesji: poza Polakami, Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Tatarzy, Ormianie, Grecy, Macedończycy, wreszcie Niemcy, którzy zostali, i oczywiście Żydzi – ci, którzy się uratowali; katolicy, ewangelicy, grekokatolicy, prawosławni, wyznawcy judaizmu... Wszyscy bez wyjątku w ten

chemicznym, papierniczym, energetycznym i metalowym do 90% i więcej procent. *Dzieje Szczecina*, t. IV, pod red. T. Białeckiego i Z. Silskiego. Szczecin 1998, s. 62-63, 342.

²⁸ Piskorski J.M., Wachowiak B., Włodarczyk E., *Szczecin. Zarys historii*. Poznań 1993, s. 140.

²⁹ Definitywne rozstrzygnięcie tego problemu nastąpiło 2 sierpnia 1945 r. w Poczdamie, natomiast 4 października granicą państwa polskiego. Nie oznaczało to natychmiastowego jej uznania przez państwa niemieckie i minie kilkadziesiąt długich lat, nim to nastąpi. Powstała w 1949 r. NRD uznała nową granicę w 1950 r. (Układ Zgorzelecki), dopiero 7 grudnia 1970 r. RFN uznała postanowienia graniczne zawarte tego roku wytyczono granicę lądową na zachód od Szczecina, która stała się również w Układzie Zgorzeleckim, a 14 listopada 1990 r. Polska i RFN (po zjednoczeniu się obu państw niemieckich) podpisały w Warszawie stosowny układ graniczny. Białeckie T., *Historia Szczecina*. [...], s. 301.

czy inny sposób dotknięci tragedią okrutnej sześciolatej wojny.

A oto najwcześniejsze wspomnienia Giny o Szczecinie: „Przywieziono nas na Dworzec Niebuszewo, chyba dlatego, że Dworzec Główny był zniszczony. Transporty z Żydami kierowano również na dworce Gołecin i Stołczyn. Dworce były wówczas miejscem nadziei. Pociągi przyjeżdżały jeden za drugim i ludzie ruszali na peron – w napięciu, w milczącym oczekiwaniu, z nieśmiałą wiarą zobaczenia tych, których stracili z oczu siedem lat temu. Ściany dworca były oklejone ogłoszeniami: «Szukam...», «Czekam na...pod adresem...». Mało kto miał szczęście spotkać – choćby w przelocie – dawnego znajomego, znaleźć kogoś żywego. Miliony zniknęły bez śladu.

Ojciec również chodził na dworzec. Myślał, że odnajdzie brata Naftalego, który na początku wojny pozostał w Warszawie. Ktoś w Szczecinie powiedział mu, że widział brata już po wyzwoleniu. Nadzieja malała z każdym dniem. Jednak ojciec przestał przychodzić na dworzec dopiero wtedy, kiedy przestały przyjeżdżać pociągi ze Wschodu.

A więc nasz pociąg przybył właśnie na Dworzec Niebuszewo. Ten przypadek, jak się później okazało, odegrał ważną rolę w moim życiu, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. W tej niebuszewskiej dzielnicy, przeważnie na ulicach Żupańskiego, Krasieńskiego, Słowackiego i Wilsona³⁰, osiedlono nas, jak zresztą większość Żydów, chociaż byli i tacy, którzy zamieszkali na Pogodnie, w Śródmieściu, Stołczynie i Żelechowej, ale to były raczej pojedyncze rodziny. Kwartał wyznaczony przez te ulice był prawdziwie żydowski, a w piątkowe dni rozmawiano tu prawie wyłącznie po żydowsku”.

Nieśmiała radość mieszała się z poczuciem zagubienia pierwszych powojennych miesięcy.

Przybyszom przydzielano mieszkania według zasady „jedna rodzina – jeden pokój”, czasem w domach na wpół zrujnowanych lub całych, ale

³⁰ Obecnie ulica Wilsona przybrała nazwę Niemierzyńska.

pachnących wojną, bowiem mury szerniały od ognia, pokryte były sadzą. Przy tym meble i sprzęty w mieszkaniach tych domów często były nietknięte.

Obraz nieledwie surrealistyczny! Takie oto sur-realie...

„W tych obcych mieszkaniach, na obcych ulicach, znaleźliśmy się my – tułacze – kontynuuje Gina. Proponowano nam nazwać to miasto naszym domem... Nie było to łatwe”.

Pięknie i precyzyjnie przedstawiła tę atmosferę w swoich wierszach Anna Frajlich, urodzona w 1942 roku w ZSRR i przesiedlona wraz z rodzicami do Szczecina. Gdyby nie wojna, urodziłaby się i mieszkała we Lwowie. Przeżycia poetki przelane na papier zostały odtworzone na podstawie jej własnych dziecięcych wspomnień, po części opowiadań matki, a być może i na podstawie relacji Wejgsmanów (Anna dobrze знаła tę rodzinę z lat młodości), i innych, podobnie jak Wejgsmanowie i Frajlichowie, przesiedleńców szczecińskich:

„To nie oni wędrowali
to granice
przenosiły się na zachód i na wschód
tak jak w walcu
kiedy tańczą wszystkie ściany
i desenie na parkiecie układane,
Oni figur nie zmieniali
A granice wirowały naokoło
Jak we śnie”³¹.

Gina i wielu innych czuło to, co wyraziła słowami obdarzona talentem poetka:

„miasto nie było nasze
tylko odebrane innym
co stąd uciekli w wojennym
popłochu i wszystko zostawili...

miasto nie było nasze
ale kwitło dla nas

³¹ Frajlich A., *Z pogranicza (fragment). Łodzią jest i jest przystanią*. Szczecin 2013.

bzami i jabłoniami...³²

„I kasztanami, i magnoliami – dodaje Gina. W 1946 roku kwitły bujnie, jakby na przekór zniszczeniom. To prawda, że nie czuły ludzkiego cierpienia, jak nie czuły go szerokie rozlewiska Odry. A my, niczym rozbitkowie statku wyrzuceni na «swoją obcy» brzeg, patrząc na korony drzew, mieniające się w słońcu wszystkimi odcieniami świeżej zieleni, myśleliśmy równocześnie o korzeniach ukrytych pod grubą warstwą popiołów”.

Tych, którzy powrócili z dalekich stron do ojczyzny, rejestrowano już na dworcu. Potem listy zarejestrowanych wędrowały do Centralnego Komitetu Żydów Polskich (CKŻP, 1944-1950). Żydzi przychodzili tu, na Słowackiego, i kartkowali drżącymi rękami wykazy zarejestrowanych, z trudem czytali nazwiska, bo litery się rozmazywały – oczy były pełne łez.

Przybyłym wydawano dowody tożsamości.

Żydzi powszechnie spolszczali swoje imiona, a nawet nazwiska. Wydawało im się, że tak łatwiej będzie przeżyć tutaj, w nowej Polsce – „bez Żydów”. W ten sposób Abram Wejgsman – jeden z wielu – został Andrzejem. Jego córka, której przy urodzeniu nadano imię Hinda, które na radzieckiej granicy zmieniono na Ginę, została Longiną, ponieważ „Giny” w polskim wykazie imion nie znaleziono.

Wraz z nowymi imionami ocaleni musieli odtwarzać swoją tożsamość – w ateistycznym Związku Radzieckim, gdzie głoszenie nienaruszalnej przyjaźni wszystkich narodów było ważniejsze od charakteru każdego narodu z osobna, o swoich tradycjach i wierze mogli tylko marzyć i tylko w snach. Odtworzyć swoją tożsamość czy raczej tworzyć nową stosowną do nowych czasów? Przecież dla ocalonych obce było nie tylko miasto, ale cały kraj. W tym, z którego uciekali w 1939 roku, znajomych spotykało się na każdym kroku. W tamtym kraju legendy rodzinne przekazywano z pokolenia na pokolenie, tam się

³² Frajlich A., *Miasto* (fragment). *Który las*. Londyn 1986.

chodziło na cmentarze na rodzinne groby. W tamtej Polsce Żydzi najczęściej rozmawiali ze sobą w jidysz, ale zwracali się do siebie „pan”, „pani” – nawet jeśli z mocnym żydowskim akcentem. W obecnym kraju coraz pewniej brzmiało słowo „towarzysz”.

Trudno było ludziom dojrzałym. A jak żyło się młodzieży i dzieciom: tym urodzonym na obczyźnie przez półgłodne matki; tym, które od kołyski odczuły gorycz braku ojców, do czyich dokumentów wpisywano egzotyczne nazwy miejsc, gdzie los rzucił ich rodziców? Jak żyło się tym, którzy zetknęli się twarzą w twarz z rozłąką i śmiercią i przez to przedwcześnie wydorosleli? Tym, którzy w 1939 roku byli nastolatkami, a w końcu wojny uświadomili sobie, że bezpowrotnie stracili przynajmniej sześć lat? Lat, które mogły być czasem fizycznego i duchowego formowania się, a zanurzyły się w ciemną nicość?

Wbrew obiegowej opinii, że dzieci łatwiej niż dorośli adaptują się do nowych warunków, było im bardzo ciężko. Mali repatrianci, którzy wyrosli na obczyźnie, musieli kształtować swoją tożsamość z przedziwnej mieszaniny „klocków”, zachowując lub odrzucając to, co w nich nagromadziło się poza granicami Polski, i dodając to, co nabywali w obcym mieście, gdzie wszystko mówiło o innej kulturze. Wyobraźcie sobie nastolatka, który znalazł się na takim skomplikowanym i „nieregulowanym” skrzyżowaniu, gdzie spotykały się niebywale różnorodne ludzkie potoki i obyczaje: rosyjskie, radzieckie, polskie, żydowskie, niemieckie... Spróbujcie z tego wszystkiego ułożyć jednolitą całość.

Niektórym to się udawało.

Kiedy siostra Giny, Lina, przyjechała do Polski, miała dziewięć lat, mówiła po polsku bardzo słabo. Rosyjska szkoła i rosyjskie środowisko zrobiły swoje. To, co dzieciom mieszkającym w swoim kraju przychodziło łatwo, ponieważ niejako wyssały swoją polskość (czy jak kto woli, „polsko-żydowskość”) z mlekiem matki, Lina musiała wywalczyć codzienną harówkę. Niezależnie od trudności, z którymi przyszło się jej zmierzyć, ukończyła uniwersytet we Wrocławiu i została filologiem. Wzięła udział w konkursie na lektora Polskiego

Radia Szczecin. Wymagania, jakie postawiono uczestnikom, były bardzo wysokie. Jednak Lina zajęła w nim pierwsze miejsce. Jej niski głęboki głos, dający się zapamiętać, rozpoznawalny nieomylnie przez słuchaczy, był znany w każdym szczecińskim domu przez długie dziesięciolecia.

Owszem, niektórym udawało się zamienić chaos, jaki wywołała w ich życiu wojna – w harmonię. Pozostaje tylko pytanie, za jaką cenę?

Trudne pytanie – trudna odpowiedź.

Tak czy inaczej ludzie łaknęli spokoju. Zakasać rękawy i – do roboty: na odbudowę zrujnowanego żydowskiego życia.

Ważną rolę odgrywał w tym wspomniany już Centralny Komitet Żydów Polskich, jak również Wojewódzki Komitet Żydów Polskich³³ i Żydowskie Towarzystwo Kultury. (W 1950 r. obie te organizacje połączyły się w Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce). Pomagał także Polski Urząd Repatriacyjny (PUR, od października 1944 roku).

I rzeczywiście, stopniowo sytuacja się normalizowała. Na Niebuszewie powstało dużo prywatnych sklepików, warsztatów rzemieślniczych, pojawiły się żłobki, przedszkola i szkoły, organizacje społeczno-kulturalne, restauracja koszerna, klub, a nawet własna prasa.

Na ulicach Niemcewicza i Krasieńskiego jak grzyby po deszczu powstawały żydowskie spółdzielnie pracy. Stanowiły one istotną część uruchamiania powojennego życia gospodarczego. Dokumenty z tego okresu świadczą o tym, że dominowały one w ruchu spółdzielczości pracy – stanowiły 81proc. wszystkich spółdzielni tego typu na Pomorzu Zachodnim³⁴. W samym

³³ Wojewódzki Komitet Żydów Polskich (WKŻP), będący agendą Centralnego Komitetu Żydów Polskich, działał w Szczecinie od lutego 1946 r., skupiając wszystkie żydowskie partie i organizacje. Jego zakres działalności obejmował osiedlanie Żydów, aprowizację, wyszukiwanie miejsc pracy, opiekę zdrowotną, a także tworzenie żłobków, przedszkoli i szkół. Bartczak A., *Losy żydowskiej szkoły podstawowej im. I.L. Pereca w Szczecinie (Szkoła Podstawowa nr 28 im.I.L. Pereca z wykładowym językiem żydowskim)*. Szczecin 2006.

³⁴ Ze względu na ogromne zniszczenia w przemyśle łatwiej było uruchamiać małe zakłady, a ponadto rozwojowi spółdzielczości sprzyjała struktura zawodowa przybyłych Żydów, wśród których znaczną grupę tworzyli rzemieślnicy.

Szczecinie w sierpniu 1946 r. było osiem spółdzielni, w których pracowały 44 osoby, a w 1949 r. już 19 zakładów zatrudniało 1246 osób. Gina dotychczas pamięta niektóre nazwy tych przedsiębiorstw, takie jak: „Jedność”, „Wolność”, „22 Lipca”... A inne, takie jak „Trykot”, „Elegancja”, „Galanteria”, przypominały jej syberyjsko-kazachstański sweterek, własnoręcznie przez nią zrobiony szydełkiem, i sukienkę, którą matka uszyła ze starej podpinki. Nazwy te kierowały jej myśl w przeszłość, ale brzmiały również jako niezaprzeczalny dowód tego, że jest w Polsce, że powróciła do kraju.

Gina przypomina: „Niemców w mieście było mało. Przypuszczano, że około sześciu tysięcy w porównaniu z liczbą 383 tysięcy mieszkających w Szczecinie przed wojną i 84 tysiącami w 1945 roku³⁵. Nie było ich prawie widać. Radzieccy żołnierze, stacjonujący w tym czasie w mieście, w miarę możliwości też starali się być niezauważalni. Wiele lat później wyczytałam, że obywateli polskich było w mieście w tym czasie zaledwie 200³⁶. Zapytacie mnie, czy to mało, czy dużo? – mówi. Jakże względne – i martwe – są cyfry!”.

A ilu w tym czasie było Żydów? 13 lutego 1940 roku 1107 Żydów mieszkających w Szczecinie zostało deportowanych do obozów koncentracyjnych w południowo-wschodniej części Polski, a następnie zamordowanych³⁷. Zostało tylko 16 cudem ocalałych osób!

Inaczej ułożyła się sytuacja tuż po wojnie. Ze względu na przygraniczne usytuowanie, wielkomięjski charakter oraz polityczną konieczność zasiedlania

³⁵ Liczba Niemców w powojennym Szczecinie zmieniała się dynamicznie w zależności od rozwoju sytuacji politycznej. Tych, którzy nie zdążyli uciec, później wysiedlano na mocy Układu Poczdamskiego. Mieczkowski J., *Między emigracją a asymilacją. Szkice o szczecińskich Żydach w latach 1945-1997*. Szczecin 1998.

³⁶ Piskorski J.M. i in. [...], s. 141.

³⁷ Deportacja ta była pierwszą taką akcją przeprowadzoną przez Niemców. Przypieczętowała ona losy nie tylko szczecińskiej społeczności żydowskiej i Żydów z Pomorza Przedniego, ale była też preludium do ostatecznego „rozwiązania kwestii żydowskiej” w Rzeszy na długo przed początkiem systematycznych deportacji jesienią 1941 r. Deportowanym wolno było zabrać tylko bagaż podręczny z niezbędnymi rzeczami, natomiast wszelkiej innej własności, w tym pieniędzy, kosztowności (z wyjątkiem obrączek ślubnych i zegarków, które wolno im było zabrać), nieruchomości i wszelkich pozostawionych w nich przedmiotów musieli się zrzec pisemnie w formie już przygotowanych oświadczeń.

Ziem Zachodnich, Szczecin stał się wielkim ośrodkiem skupiającym Żydów. Główna fala przyjazdów przypadła akurat na wiosnę 1946 roku. W kwietniu i maju tego roku na Pomorze Zachodnie przybyło z ZSRR 39 transportów z 25 321 osobami narodowości żydowskiej. Największą liczbę zamieszkałych w Szczecinie Żydów, bo 30 951, odnotowano w czerwcu tego roku.

„Trzeba powiedzieć – mówi Gina – że akurat w tym okresie życie towarzyskie kwitło. Pamiętam, że sąsiedzi zbierali się przed kamienicami dosyć głośno plotkując. A w piątkowe wieczory ludzie tłumnie udawali się na modlitwę. Nie, nie do synagogi (synagogi nie było, piękny budynek spalili bojówkarze hitlerowscy jeszcze podczas «nocy kryształowej» w listopadzie 1938 roku, a w 1941 nawet jej zgliszczka wysadzono w powietrze)³⁸, lecz do świeckiego pomieszczenia przy CKŻP, które tymczasowo zostało przeznaczone na modlitwy”.

Co jeszcze utkwilo Ginie w pamięci? Taka prosta rzecz: przy pl. Kilińskiego powstał pierwszy w Szczecinie ryneček, na którym zaopatrywano się w nabiał, warzywa i kury prosto od gospodarzy z okolicznych wsi. Sam malowniczy ryneček i to, co tam sprzedawano – smaczne, pachnące – nie do wiary po syberyjskim głodzie! – było pierwszą w jej powojennej rzeczywistości namiastką normalnego życia.

³⁸ Zbudowana w latach 1873-1875 w stylu eklektyczno-mauretańskim przy ul. Grüne Schanze (obecnie ulica Dworcowa 9a). Dziś o synagodze przypomina tablica pamiątkowa umieszczona obok budynku Książnicy Pomorskiej. W 1938 r. spalono także dom przedpogrzebowy przy cmentarzu żydowskim. Szczecińska wspólnota żydowska wykupiła w 1816 r. teren pod kirkut pomiędzy Bethanienstraße (dziś ul. Ojca Beyzyma), Henriettenstraße (dziś ul. Maksyma Gorkiego) oraz Lamprechtstraße (dziś ul. Jacka Soplidy). Cmentarz założono w 1821 r. W 1899 r. wybudowano dom przedpogrzebowy. Podczas II wojny światowej cmentarz nie ucierpiał. Od maja 1946 r. odbywały się tu pochówki organizowane przez gminę żydowską. W 1962 r. cmentarz został zamknięty, zaś w 1982 r. zlikwidowano nagrobki oraz dokonano ekshumacji prochów, przenosząc je na wydzieloną kwaterę nr 62 Cmentarza Centralnego. W 1988 r. na terenie dawnego cmentarza (obecnie parku) wzniesiono monument według projektu Zbigniewa Abrahamowicza, dokumentujący przeszłość tego miejsca.

Tasując talię kart

Jednak wcale nie było tak różowo.

Sytuacja polityczna była wciąż niepewna, obawiano się powrotu Szczecina, a zwłaszcza jego lewobrzeżnej części do Niemiec, trudno było o pracę – wszystko to stwarzało atmosferę tymczasowości, wywoływało niepokój.

Negatywne nastroje spowodowane brakiem stabilizacji nasiliły się po pogromie kieleckim 4 lipca 1946 roku. Żydzi niosący w sercach ciężar Zagłady czuli się zagrożeni. Powtarzali: „Dobrze, że osiedlono nas obok siebie, w jednej dzielnicy. Gdybyśmy byli rozproszeni, bylibyśmy bardziej narażeni na agresję. Skupieni – w razie napaści – będziemy mogli się bronić”. Nie były to myśli, z którymi chcieliby żyć, ale trudno było od nich uciec. Zostać tutaj, czy nie – to pytanie spędzało pierwszym żydowskim osadnikom sen z oczu.

Wielu skłaniało się do tego, żeby opuścić kraj, który, jak mówili, stał się cmentarzem dla ich najbliższych. „Żywi nie mają nic do roboty na kirkucie” – słyszało się tu i ówdzie. Chcieli wyjechać jak najdalej od Europy, w której kulturę uwierzyli swego czasu bez zastrzeżeń, a która w tak barbarzyński sposób ich zdradziła. Wydawało im się, że w Ameryce Północnej lub Południowej łatwiej będzie zapomnieć o wojnie. Palestyna, jako załączek przyszłego państwa Izrael, była celem dla większości tułaczy, którzy święcie wierzyli w to, że po powrocie do źródeł już nigdy nie będzie im groziło unicestwienie. Dla części Żydów emigracja była nadzieją na lepszy start do nowego życia na Zachodzie. Bezpieczeństwo, które było na porządku dziennym, wydawało się ważniejsze od dalszego rozproszenia. W grudniu 1946 roku ludność żydowska w Szczecinie gwałtownie zmalała – nieomal o połowę, osiągając liczbę od 13,1 do 15,8 tysięcy³⁹. Dokładniej nie można było ustalić, bo podążający w tamtą stronę przekraczali granicę legalnie i nielegalnie.

Kto mógł mieć im to za złe?

Szczecin był jednym z trzech punktów przerzutowych Koordynacji

³⁹ Mieczkowski J., *Między emigracją* [...], s. 7.

Syjonistycznej *Brichah* (co w języku hebrajskim oznacza ucieczka). Sprzyjała temu niewielka odległość od Szczecina do granicy niemieckiej. *Brichah* dokonywała nielegalnych przerzutów Żydów przez granicę i dalej do mandatowej Palestyny, a po powstaniu państwa Izrael, do Izraela⁴⁰. Nielegalne przerzuty możliwe były dzięki nieuregulowanej sytuacji granicznej, kontaktom z przemytnikami, akcjom wysiedlania ludności niemieckiej, kiedy do transportów z Niemcami dołączano Żydów ze spreparowanymi dokumentami.⁴¹

Niejeden raz uciekinierzy początkowo trafiali do obozów dla przesiedleńców mieszczących się na terenie byłych hitlerowskich obozów koncentracyjnych, a następnie organizowano ich wyjazd do portów Morza Śródziemnego lub Czarnego – stamtąd Ziemia Obiecana była już na wyciągnięcie ręki. Tym z nich, którzy przeżyli wojnę w ZSRR, pod palącym środkowoazjatyckim słońcem, łatwiej było oswoić się z upałami pustyni w *Erec Israel*.

Wielu tych, którzy nadal zostawali w Szczecinie, traktowało to miasto jako jedynie tymczasowe schronienie. Jeszcze niedawno repatriowani znów zbierali się w drogę. Jakby ktoś bardzo potężny zaciekle tasował talię kart – tylko zamiast różnych kolorów, w królewskim orszaku byli ludzie.

Na miejscu zostawał jedynie dzoker.

⁴⁰ 14 maja 1948 r., zgodnie z decyzją ONZ, państwo Izrael proklamowało niepodległość.

⁴¹ Mieczkowski J., *Między emigracją* [...], s. 9.

Wyjechać czy zostać?

Niestety, w wielonarodowym Szczecinie nie było zgody pomiędzy różnymi grupami ludności. To dziwne, że Polaków tak dotkliwie doświadczonych przez wojnę, przesiedlonych z dawnych wschodnich terenów Polski włączonych po wojnie do ZSRR, jak i Żydów, nie zbliżyły do siebie traumatyczne przeżycia i straty. Dotyczyło to oczywiście określonej, chociaż dość znacznej części społeczeństwa. Daleko było do powszechnej harmonii⁴².

Mąż Giny, Jan, również myślał o wyjeździe. Mówił: „Za wszelką cenę, ale dotrę do Ziemi Obiecanej. Pokonam wszystkie przeszkody”. Gina myślała inaczej – podobnie jak jej ojciec Abram Wejgsman, który wierny swoim zasadom, nie zamierzał wyjeżdżać z Polski. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem uważał, że jego miejsce i miejsce jego rodziny jest w Polsce; tu potrzebne są jego ręce, by wspólnym wysiłkiem podnieść ojczyznę z gruzów. Często wspominał prawie jak testament słowa Kalinina o tym, że prawdziwy komunista powinien wrócić do Polski i wcielać jakże szlachetne ideały. „Kto, jeśli nie my, ocaleni w ZSRR, powinniśmy znów budować nowe życie. To właśnie my mamy siał ziarna sprawiedliwości na polskiej ziemi”, myślał. Piękno komunistycznej teorii i jej rzeczywisty kształt istniały w jego umyśle oddzielnie, niezależnie od siebie. Nawet mając za sobą sześć i pół roku przetrwania w ZSRR wciąż uważał, że to wojna była przyczyną biedy, nędzy, głodu, nieufności, podejrzliwości i strachu – tego wszystkiego, czego tam doświadczył. Żadnych innych argumentów nie brał pod uwagę; wierzył w ideę powszechnej równości bardziej niż inni wierzą w samego Stwórcę. A co jego domownicy? A domownicy – przyzwyczajeni ufać głowie rodziny – myśleli podobnie jak on.

Wielkość i skala idei, na podstawie której planowano wznosić nową Polskę, niektórym mieszała w głowach. Prostego, małego człowieka, drobinki zagubionej w tym ideologicznym wszechświecie, nie widziano ani nawet nie

⁴² Giedroń M., *Kształtowanie się tożsamości kulturowej mieszkańców Pomorza Zachodniego w drugiej połowie XX wieku*. Szczecin 2005, s. 97.

zauważano. Ale większość – ludzie jak ludzie – żyła z dnia na dzień swoim własnym życiem, raz przecież danym. Jedni po wojnie na zawsze rozstali się z komunistycznymi iluzjami i tylko powodowani konformizmem deklarowali swoją „właściwą” postawę ideową, a inni, zderzając się z socjalistyczną codziennością, wpadali w zubożenie, podczas gdy jeszcze inni przeciwstawiali się, walczyli o prawdziwą wolność... No a jeszcze inni, tacy jak ojciec Giny, mieli niewyczerpane pokłady optymizmu co do perspektyw społeczeństwa socjalistycznego. Abram Wejgsman wyjechał do ZSRR jako komunista i wrócił stamtąd oddanym członkiem partii, człowiekiem o jeszcze bardziej ugruntowanym światopoglądzie komunistycznym.

Abram umacniał swoją postawę czynem. Spotkawszy przedwojennego przyjaciela, kolegę z partii, postanowił zorganizować razem z nim Osiedleńczą Spółdzielnię Rolniczą we wsi Chlebówek pod Stargardem – niedaleko Szczecina. „Chlebowa” nazwa wydała się przyjaciołom odpowiednia dla ich przedsięwzięcia. Jednak próba przeniesienia radzieckiego doświadczenia na polski grunt (w dosłownym tego słowa znaczeniu) nie powiodła się. Żydzi, którzy początkowo zapisali się do spółdzielni, wkrótce opuścili Polskę. Sam inicjator i organizator spółdzielni wrócił do Szczecina po dwóch latach, w 1948 roku. W mieście zarobki były lepsze, a i życie ciekawsze. Abram Wejgsman znalazł pracę w Stoczni Szczecińskiej, gdzie pracował wiele lat, początkowo w Dziale Bezpieczeństwa i Higieny Pracy, a następnie w Dziale Kadr. Tu odnalazł starych przyjaciół, poznał nowych. Zaprzyjaźnił się z poetą Eliaszem Rajzmanem (1909-1975), który był częstym gościem Wejgsmana. Jakaż to była dla nich przyjemność zagrać partię szachów i pogadać w języku ojców – po żydowsku⁴³! Widocznie Abram miał w sobie jakąś charyzmę, która przyciągała

⁴³ E. Rajzman był jednym z ostatnich poetów tworzących w języku jidysz w powojennej Polsce. O swoim języku pięknie pisał w wierszu „Mój żydowski język”: „Z nim jestem tym, kim być mi pisane, / to w jego lustrze mój świat się nurza /on żywą krwią płynącą w mej strofie, pieśnią, wchodzącą jak polna róża...” (przełożył A. D. Liskowacki). Ponadto Rajzman w swoim dorobku miał utwory w języku hebrajskim, rosyjskim, ukraińskim i polskim. Z inicjatywy szczecińskiego Oddziału TSKŻ i przy współudziale Książnicy Pomorskiej im.

do niego „uskrzydłonych” artystów, czy to Michała Milbergera, czy też Eliasza Rajzmana.

Ważną częścią życia Abrama była działalność dziennikarska – pracował w charakterze niezależnego korespondenta gazety „*Folks Sztyme*” („Głos Ludu”), wydawanej w języku jidysz⁴⁴.

Słowa – niezależnie od stosowanego języka – o socjalizmie, klasie robotniczej, równości, wolności i sprawiedliwości, które zgodnie z intencją redaktorów pisma powinny były dotrzeć do każdego żydowskiego domu, wyglądały o wiele bardziej przekonująco na papierze niż w rzeczywistości.

Gina nie pojechała z rodzicami do Chlebówka. Latem 1946 roku okazało się, że jest w ciąży. Jej pierwsze wrażenia po powrocie do Polski na pewno byłyby bardziej wyraziste, gdyby nie fatalne samopoczucie. Mdłości i torsje, torsje i mdłości – to właśnie w znacznej części wypełniało jej życie w tamtym czasie. Jedyne, co mogła przełknąć bez nieprzyjemnych konsekwencji, był czarny chleb. Można go było zdobyć tylko w garnizonie radzieckim i mąż Giny raz po raz biegał do Rosjan, do piekarni garnizonowej, po bochenek chleba.

Stanisława Staszica wydano prozę E. Rajzmana „Było kiedyś miasteczko” (2000 r.), a następnie w 2015 r. tomik jego wierszy „Mech płonący”. Szczeciński Oddział TSKŻ uczcił pamięć znakomitego poety, umieszczając w 2005 roku tablicę pamiątkową na budynku przy ul. Unisławy 1, w którym poeta mieszkał. Przy współpracy z Książnicą Pomorską, TSKŻ organizował wystawy, spotkania poetyckie i okolicznościowe prelekcje.

⁴⁴ Od 1968 r. gazetę wydawano jako tygodnik. W 1991 r. przekształcono ją w czasopismo „Słowo Żydowskie”.

Syn

Jedyny syn Giny – Saul Seweryn, którego w domu nazywano Salek – urodził się 1 lutego 1947 roku. Już wtedy Gina wiedziała, że nie ułoży sobie życia z Janem. Znane powiedzenie o małżeństwie, że miłość przychodzi z czasem, w jej przypadku nie sprawdziło się. Niezgodność charakterów, spora różnica wieku, niezłomna decyzja Jana o wyjeździe do Izraela, a Giny – że trzeba zostać w Polsce – wszystko to razem stało się przyczyną głębokiego rozdźwięku między nimi. Po wyjeździe rodziców do Chlebówka Gina odeszła od męża. Przygarnęła ją rodzina Gajerów (z ich córką Zosią Gina się zaprzyjaźniła), ale Gina rozumiała, że trzeba podjąć radykalne kroki i rozstać się z mężem na dobre. Zaczęła szukać pracy. Znalezienie jej w Szczecinie nie było łatwe.

Gina opowiada: „Od listopada 1945 roku do stycznia 1949 na czele Ministerstwa Ziem Odzyskanych stał Władysław Gomułka, ten sam przedwojenny komunista, którego żona Liwa Szoken pracowała z mamą w fabryce zapalek na Pelcowiźnie. Gdyby tak w tej trudnej sytuacji zwrócić się z prośbą o pomoc do żony towarzysza Wiesława? Ale nie zwróciliśmy się. Po pierwsze – proszenie nie leżało w naszej naturze, a po drugie ważna żona była znana jako osoba nieprzystępna i niewspółczująca swoim współpracownikom”.

Gina sama znalazła pracę – biurową: najpierw w Zarządzie Hotelu i Restauracji, a później w Dziale Kadr na stanowisku personalnej w Rejonowej Przychodni Zdrowia w dzielnicy Pogodno.

Malutkiego synka oddała do żłobka dla żydowskich dzieci na Niebuszewie, a później do przyzakładowego przedszkola spółdzielni „Konsumy”. To, że w pobliżu domu na Wilsona 24, gdzie zamieszkała z rodzicami po ich powrocie ze wsi, była zajezdnia tramwajowa, ułatwiało życie

młodej samotnej matce – przecież wiadomo, że w pierwszych powojennych latach z komunikacją w mieście było nie najlepiej⁴⁵.

Pod egidą Wojewódzkiego Komitetu Żydów Polskich powstały w Szczecinie również inne instytucje świadczące o rodzącym się na nowo życiu żydowskim, na przykład biblioteka i Żydowska Szkoła Podstawowa nr 28 imienia I.L. Pereca, do której później uczęszczał Salek.

Gina relacjonuje: „Na Niebuszewie przy ulicy Niemcewicza otworzono restaurację, która na nowa modłę otrzymała nazwę Bar Ludowy. Mieścił się on w kompleksie budynków, gdzie wcześniej miała swoją siedzibę spółdzielnia «Trykot», a przed wojną znakomita, jak mówiono, o światowej renomie fabryka Bernharda Stoewera, produkująca maszyny do szycia i pisania, a następnie rowery i samochody. W «Barze Ludowym» grał Haim Ferszko, doskonały pianista o jednej ręce. (Drugą temu wspaniałemu muzykowi odcięli «koneserzy muzyki», naziści). Publiczność zbierała się tłumnie, aby go posłuchać. I ja wybierałam się tam nieraz, zostawiając dziecko z rodzicami.

Prowadzono tu również gorące dyskusje o tym, czy wyjechać, czy zostać w Polsce. Młodzież spierała się do ochrypnięcia, ale – jak to młodzież – z nie mniejszą pasją bawiła się, tańczyła, śpiewała.

W tym Barze Gina poznała młodego atrakcyjnego mężczyznę. Nazywał się Szaja Dimant, a po zmianie imienia – co jak wiadomo, w powojennym okresie było rzeczą powszechną, wołano na niego Sasza. Wywiózł to imię wraz z przeżyciami ze Związku Radzieckiego.

Był wciąż 1948 rok.

⁴⁵ Dzisiaj mieści się w niej Muzeum Techniki i Komunikacji – Zajezdnia Sztuki.

Tango

A z Saszą było tak.

Gina dzieli się wspomnieniami: „Poznaliśmy się przypadkiem. W Barze bywałam rzadko. Tym razem nie odmówiłam przyjacielowi Mundkowi pójścia z nim na wieczorek z okazji święta 1 Maja. Jeszcze nie zdążyliśmy na dobre usiąść, gdy nie wiadomo skąd pojawił się i podszedł do mnie, jak się potem dowiedziałam, Sasza. Z czasem życie pokazało, że był mi przeznaczony. Mundek nie zdążył nawet zorientować się, kiedy ten zaprosił mnie do tańca.

Pierwszym utworem, który zagrano, było przedwojenne tango Petersburskiego «To ostatnia niedziela», które pamiętałam jako «Znużone słońce» z czasów, gdy byłam w ZSRR. Potem tańczyliśmy walca, fokstrota, a potem jeszcze inne tańce, którym nie było końca. Przetańczyliśmy z Saszą do rana. Tymczasem Mundek tylko od czasu do czasu podnosił głowę znad kufła z piwem, smętnie spoglądał na nas i popijał dalej. Było sprawą oczywistą, że swoją «partię» przegrał. Rozumiał, że buntować się nie ma sensu i przyjął to z pokorą”.

Po tym spotkaniu Ginie chodziły po głowie różne myśli: „Jakie przypadkowe i cudowne spotkanie! Może to los?”. A w tym samym czasie Sasza rozmyślał: „To cudowne spotkanie nie jest przypadkowe! To na pewno los!”.

Dużo, dużo później Sasza powiedział Ginie, że zauważył ją na niebuszewskim dworcu jeszcze w maju 1946 roku. Zobaczył ją na peronie i – „przepadł”... Zastygł jak rażony piorunem, a kiedy poderwał się, by dogonić dziewczynę, ona zdążyła rozplynać się w tłumie. Ileż razy potem Sasza przychodził na dworzec z nadzieją, że i ona będzie witała przyjeżdżające pociągi! Ale błękitnooka, jak ją w duchu nazwał, nie pojawiała się. Pomyślał, że dziewczyna w poszukiwaniu pracy może przychodzić do biura Centralnego Komitetu Żydowskiego, ale i tam jej nie znalazł. Potem godzinami z zamierającym sercem „dyżurował” w Wydziale do spraw Emigracji Komitetu. Bał się, że jeśli tam ją spotka, to

natychmiast straci na zawsze tę jedną z przynajmniej stu tysięcy Żydów, którzy wrócili ze Związku Radzieckiego – jedną jedyną, o której marzył...

Sasza już wtedy wiedział, że ich losy skrzyżują się. Jak później się okazało, nie tylko skrzyżowały, ale splotły się w ciasny węzeł.

Kiedy zobaczył ją w Barze zrozumiał, że drugi raz jej nie straci i nie ma takiej siły, która go od niej oderwie.

I rzeczywiście, Saszę nic nie powstrzymało: ani mąż, ani inni adoratorzy Giny, ani to, że była młodą mamą...

Od tamtego spotkania Sasza i Gina nie rozstawali się. Sasza nigdy nie wypuszczał jej dłoni ze swojej – dużej, zapewniającej poczucie bezpieczeństwa, męskiej ręki.

Zbliżenie

Jan, po wyprowadzeniu się Giny, raz wykazywał całkowitą obojętność wobec żony i dziecka, innym razem żądał ich powrotu, odgrażając się, że popełni samobójstwo albo wręcz zamorduje nowego przyjaciela żony. Niczego nie wyjaśniał, nie prosił, nie błagał – tylko żądał, nie zostawiając Ginie żadnego wyboru. To ostatnie działało na nią najbardziej odpychająco. Miała 22 lata i doskonale już wiedziała, co to jest wybór i jak się on wiąże z poczuciem wolności. Gdy sprawa rozwodu stanęła na ostrzu noża, Jan w ogóle nie chciał o nim słyszeć. A Sasza, zawsze opanowany, spokojnie powiedział: „Wybór należy do Giny”. Zdaje się, że były to słowa, na które czekała wiele lat – słowa szacunku.

Jan wkrótce wyjechał z Polski.

Gina spotkała go kilkadziesiąt lat później, przypadkiem. W Jerozolimie, w Starym Mieście, minęli się w tłumie w wąskiej uliczce, nieomalże ocierając się o siebie. Rozpoznali się natychmiast i – Gina jest pewna – oboje przypomnieli sobie ten sam dzień: pierwsze spotkanie w domu koleżanki w Leninogorsku, gdzie jeden z chłopców prowadził seans hipnozy.

Spotkali się i minęli obok siebie. Jak w hipnotycznym śnie. Bezcielesne zjawy. Cienie odległej przeszłości.

A Sasza nie przestawał powtarzać, że Gina była mu przeznaczona przez samego Pana Boga. Był pewien, że widział ją na długo przedtem, nim mignęła mu na niebuszewskim dworcu. Możliwe, że wmówił to sobie, a może tak właśnie było. Przecież życie bywa niesamowite i płata czasem takie figle, że nie ogarnie go nawet najbardziej nieposkromiona wyobraźnia. Sasza twierdził, że widział ją, dziewczynkę, jeszcze przed wojną, na Muranowie u zbiegu ulic Zamenhofa i Miłej. Rzekomo wydarzyło się to w 1938 roku. Miał wtedy 16 lat (urodził się 17 września 1922 roku). W tym wieku chłopcy zaczynają interesować się dziewczętami. Gina powątpiewała – w 1938 miała dopiero 12 lat. Wprawdzie była już wówczas wyższa od matki, wyglądała na starszą niż

była w rzeczywistości. Już nie dziewczynka, prawie panienka. Jednak Sasza nie ustępował i nawet obrażał się, kiedy podawała w wątpliwość to, co jego zdaniem było absolutną prawdą. Był tak przekonujący, że z czasem i Gina uwierzyła w stworzoną przez niego legendę. „Dlaczego nie? – myślała. Wszystko pasuje: moja ulica Zamenhofska i Niska, gdzie mieszkała rodzina Grinblatów, i Miła, gdzie mieszkała rodzina Saszy, wszystkie w tej samej dzielnicy. I skrzyżowania na każdym kroku”.

W pewien późny szczeciński wieczór Ginę i Saszę, wracających od przyjaciół, niespodziewanie zaczepili Polacy, typy spod ciemnej gwiazdy, obrażając ich, grożąc, a w końcu żądając pieniędzy. Ginie i Saszy udało się uwolnić od napastników i skryć w ciemności na wpół zrujnowanego domu. Stali na półpiętrze na samej górze, oparli o ścianę przy oknie, które było ich punktem obserwacyjnym, i wstrzymywali ze strachu oddech, myśląc o tym, co przeżyli ich bliscy w okupowanej Warszawie. Nagle Sasza, prawdopodobnie rozumiejąc, że trzeba jakoś złagodzić ogromne napięcie wywołane tą sytuacją, zaczął cichutko podśpiewywać:

„Ulica Miła wcale nie jest miła.
Ulicą Miłą nie chodź moja miła.

...

Moja miła, ty nie wiesz, jak źle
ulicą Miłą błąkać się we mgle.”

Gina natychmiast rozpoznała wiersz Broniewskiego, który kiedyś nucił dla niej dziadek Grinblat. Ogarnęła ją fala ciepła. Sasza w jednej chwili stał się jej bardzo bliski – wszystkie bariery, wszystkie zapory runęły.

Gina mówi: „Miłość Saszy była nagrodą za wszystkie cierpienia, których doznałam, za wojnę, za Sybir, za zebranie na dworcu w Kalininie i niepowodzenie pierwszego małżeństwa.

Pobraliśmy się w 1952 roku. Mąż usynowił Salka i pokochał go jak swojego własnego syna. Chłopiec długo nie wiedział, że Sasza nie jest jego

biologicznym ojcem. Między naszą trójką były wspaniałe stosunki i nic nie mąciło naszego rodzinnego życia. Z powodów zdrowotnych nie mogłam mieć więcej dzieci, a Sasza przyjął to ze zrozumieniem.

Całe nasze życie od pierwszych dni i w ciągu długich lat było jednym niekończącym się dialogiem, pełną zaufania rozmową. Jakbyśmy przekazywali sobie sztafetę pamięci, opowiadając o tym, co przeżyliśmy, uważnie słuchając i uzupełniając się wzajemnie.

Oto jedno z pierwszych opowiadań Saszy, które utkwilo mi w pamięci.

Dzieciństwo Saszy związane jest z ulicą Miłą. To już mówi samo za siebie. Wiemy, że była ona brudna i zaniedbana. Ulica biedoty. Rodzina Dimantów była biedna i wielodzietna. Ojciec Saszy był wdowcem i z pierwszego małżeństwa miał córkę, natomiast z drugiego małżeństwa z Fajgą Dimant – matką Saszy, miał córkę Chumcię i trzech synów: Szłomę, Jakuba i najmłodszego Szaję (Saszę).

Ojciec najwyraźniej nie umiał zarabiać pieniędzy, ale za to cały czas gorąco się modlił, licząc na to, że Bóg pomoże mu wyżywić rodzinę i licznych krewnych, którym nigdy nie odmawiał dachu nad głową i zacierek.

Krewni także mieszkali na Miłej, w domu obok Dimantów, na strychu. Zarabiali na kawałek chleba wyrabianiem pasty do butów, którą sprzedawali szewcom. Pewnego razu, prawdopodobnie wskutek czyjejs nieostrożności, wybuchł pożar. W płomieniach zginęła cała rodzina. Nikt nie zdołał się uratować. To zdarzenie pozostało w pamięci chłopca jako tragiczne, traumatyczne wspomnienie: płomień, popiół – unicestwienie...

Sasza poszedł do pracy po *bar micwie*. Przyjęte było, że czternastoletni chłopak pracuje i pomaga utrzymać rodzinę. Nikogo to nie dziwiło. Sasza był dumny z tego, że jest jednym z żywicieli rodziny i to najmłodszym. Pomimo biedy, zawsze wspominał swoje dzieciństwo jako szczęśliwe. Wszyscy go lubili i on lubił wszystkich. Oczywiście, że to było szczęśliwe dzieciństwo!

Marzeniem Saszy była nauka. Po dwóch latach pracy zapisał się do szkoły zawodowej, w której z dużym zacięciem studiował właściwości metali. Na pewno byłby z niego niezły inżynier.

We wrześniu 1939 roku postanowił opuścić Warszawę. Wiedział, że rodzice, którzy nie chcieli uciekać, nie puszczą go samego. Ojciec, jak zwykle ufał Panu Bogu, a mama nie śmiała mu się przeciwstawić. Tymczasem instynkt podpowiadał Saszy: uciekać. Miał kolegę Leona, który podzielał ten zamiar. Nie powiedziawszy rodzicom ani słowa, niespełna siedemnastoletni chłopcy z dziesięcioma groszami przy duszy wyruszyli w drogę.

Popiół, nic prócz popiołu

Gina niejednokrotnie próbowała wypytać Saszę o jego życie podczas wojny. „Kto ciebie lepiej zrozumie niż ja, która doświadczyła tak wiele złego?” – mówiła. Ale mąż milczał. A kiedy pewnego razu nalegała, powiedział: „Moja droga, najpierw uporamy się z twoimi wspomnieniami, a potem weźmiemy się za moje. Nawet we dwoje nie jesteśmy w stanie unieść podwójnego ciężaru wspomnień. Wobec tego będziemy przeżywać je po kolei”. I Gina ustąpiła. Pomyślała, że mąż musi mieć powody, skoro tak postanowił. A przede wszystkim troszczył się o drugiego człowieka – taki już był, to leżało w jego naturze.

Gina opowiada: „Myśli o tych, co zginęli w ogniu wojny, nie dawały nam spać po nocach. Postanowiliśmy pojechać do Warszawy. Na co liczyliśmy, wiedząc o koszmarze Oświęcimia i Treblinki? Że uwierzymy w to, że wszystko, co się stało – to prawda, a nie straszny sen? A kiedy uwierzymy, uwolnimy się od cierpień? Przecież najgorsza prawda jest lepsza od przypuszczeń i domysłów”.

Zresztą Gina chciała jechać do Warszawy od razu po powrocie do Polski, ale wszyscy dookoła przekonywali ją, że dla młodej ciężarnej kobiety takie przeżycia są niebezpieczne. Mieli rację.

W 1948 roku Gina i Sasza stanęli wśród ruin Muranowa. Gdzieniegdzie były wydeptane ścieżki. Nic nie zostało z ulic ich dzieciństwa. Wystarczy powiedzieć – tutaj było getto. Nie płakali – skamienieli. Jak osieroczone dzieci usiedli obok siebie na kupce popiołu (zwięźle i przejmująco powie później poeta Eliasza Rajzmana, „...góra popiołu po moim narodzie”). Gina zaproponowała mężowi: «Przymknij oczy, może zobaczysz swój dom, mamę, ojca». Sasza odpowiedział: «Nie muszę, i z otwartymi oczami widzę ich tak wyraźnie...».

Pobyli wśród ruin i poszli. Na Pelcowiznę nie pojechali. Dowiedzieli się, że nie ma jej – spłonęła w pożarze wojny w 1944 roku. Nie mieli sił, aby zmierzyć się z przeszłością.

Tego samego dnia wieczorem Sasza opowiedział Ginie o swojej wojennej niedoli – krok po kroku, od września 1939 roku do kwietnia 1946.

„Gdzie się pchasz?”

Sasza z Leonem powędrowali w kierunku granicy. Szli kilka dni – drogi były zapchane uciekinierami. Dotarli do miejscowości Brześć Litewski, gdzie znajdowało się przejście graniczne. Nowiuteńkie, otwarte niedawno, po 22 września 1939 roku, kiedy niemieccy okupanci podzieliwszy się z „partnerami”, przekazali miasto Związkowi Radzieckiemu. Chłopcóm pomogli dotrzeć tutaj miejscowi Polacy, którzy mieszkali w tych stronach od niepamiętnych czasów i znali wszystkie drogi jak swoje pięć palców. Nielegalna wymiana i handel przygraniczny kwitły tutaj zawsze. Wielokrotnie przechodzili też przez nową, przesuniętą na zachód, granicę radziecką.

Uciekinierzy bali się, że granica zostanie – jak się mówiło wtedy – „zamknięta na kłódkę”. Tymczasem czerwonoarmiści otrzymali rozkaz wpuszczania uchodźców – oczywiście do czasu. „Do czasu” – było to nieprecyzyjne określenie, które mogło oznaczać, że granica zostanie zamknięta jutro czy nawet jeszcze dziś, a może już za pięć minut. I co wtedy? Jasne, że w takiej sytuacji tłum z całej siły napierał na czerwonoarmistów. A ci krzyczeli: „Gdzie się pchasz? Cofnij się!”. Ale nikt nie ruszał się z miejsca, nikt nie zrobił nawet jednego kroku do tyłu.

Z Brześcia Litewskiego ruszyli do zajętego przez Sowietów Białegostoku. W mieście potok ludzi kierował się do synagogi, która nie mogła wszystkich pomieścić. Zaczęła się straszna ulewa, a Saszy nie udało się precisnąć pod dach. Był zmęczony, zrozpaczony, przemoknięty do nitki. Poczul, że ma dreszcze. Zasnął na progu synagogi. Ile spał – tego nie wiedział. Obudził się zdrowy. Przez wszystkie lata wojny – jakkolwiek by straszne były – ani razu nie zachorował. I to wtedy, gdy obok umierały setki i tysiące osób: z powodu gruźlicy, tyfusu, malarii, głodu.

Po kilku dniach wydano rozporządzenie, w myśl którego nowo przybyli mają natychmiast opuścić miasto.

Z Białegostoku dojechali jakoś do Witebska. Miasto było przepelnione uciekinierami z Polski. W tłumie polskich Żydów można było od razu zobaczyć miejscowych. Po wielu latach Sasza rozpoznawał ich charakterystyczne cechy na portretach pędzla Marca Chagalla i mówił, że widok z okna wynajmowanego pokoiku był dokładnie taki sam, jak na obrazie wielkiego malarza. Później Gina żartowała z męża: „Może widziałeś i tych zakochanych, latających nad miastem?”. A Sasza ze spokojem i pewnością odpowiadał: „Owszem, przecież to Witebsk!”

W Witebsku Sasza rozpoczął naukę w przyfabrycznej szkole zawodowej. Jej dyrektorem był Moisiej Łazarewicz, cudowny człowiek, który troszczył się o każdego ucznia, jak o własnego syna. W pamięci Saszy pozostał pierwszy Pesach w ZSRR, który uroczyście obchodził w domu dyrektora.

W tym samym czasie, wiosną 1940 roku, Leon, który wraz z Saszą przeszedł drogę z Warszawy do Witebska, postanowił wrócić do Polski – nie wytrzymał rozłąki z rodzicami. Sowieci okrutnie traktowali *pieriebieżczyków* („zbiegów”, którzy raz przekroczyli granicę, a potem wracali do Polski), uznając ich za szpiegów. Opiekun przyjaciół, dyrektor szkoły, uprzedził ich, że ci, którzy napiszą podanie z prośbą o umożliwienie powrotu do Polski, do ojczyzny nie zostaną wypuszczeni, tylko będą wysłani w głąb ZSRR do wykonywania najcięższych prac. Leon jednak od swojego zamiaru nie odstąpił. Dziwne, ale cały i zdrowy dotarł do Warszawy. Odwiedził nawet Dimantów i dowiedział się, że brat Saszy, Jakub wraz z żoną jest w ZSRR w mieście Machaczkała, stolicy autonomicznego Dagestanu (na południu kraju), o czym zdążył zawiadomić przyjaciela. Naturalnie Sasza chciał dołączyć do brata. Jednak bez specjalnej przepustki nie wolno było przemieszczać się po Związku Radzieckim. Znów na pomoc przyszedł Moisiej Łazarewicz. Nie tylko pomógł Saszy wydostać się z Witebska, ale i uratował mu życie. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby chłopak został w mieście. Po kilku miesiącach od jego wyjazdu, już 25 czerwca 1941 roku, Niemcy rozpoczęli bombardowanie Witebska. Samodzielna

ewakuacja z miasta była zabroniona i traktowana przez władze jako dezercja. Już po miesiącu naziści utworzyli w mieście getto. W latach okupacji zginęło tu 18 tysięcy osób. Wśród nich był na pewno i dyrektor fabrycznej szkoły, niezapomniany Moisiej Łazarewicz.

„Dziesięć lat bez prawa do korespondencji”

Sasza odnalazł brata w Machaczkale. Zatrudnił się jako tokarz w przedsiębiorstwie przemysłu naftowego. Zamieszkał przy zakładzie: w jednym pokoju – dziesięć osób – sami uchodźcy. Kiedy już naprawdę nie mógł wytrzymać szumu i gwaru panującego w jego „schronieniu”, przychodził do brata mieszkającego z żoną w prywatnie wynajmowanym pokoju. Pewnego razu, podczas kolejnej bytności u brata, do pokoju wdarło się dwóch umundurowanych olbrzymów. Kazali bratu iść z nimi. Sasza w tym zamieszaniu wykrzyknął: „Dokąd go zabieracie?”. Odepchnęli go, odburknęli: „Mamy do niego kilka pytań. Odpowie i wróci”.

Stało się to wiosną 1941 roku.

Sasza zobaczył brata dopiero wiosną 1946 roku w Szczecinie.

Jakubowi Dimantowi postawiono zarzut uprawiania propagandy antyradzieckiej i wysłano go do łagru na dziesięć lat bez prawa do korespondencji. Pewnie powiedział do kogoś jakieś „niepotrzebne” słowo. A właściwie, niekoniecznie tak musiało być: żeby trafić do GUŁAG-u, niepotrzebne były żadne prawdziwe powody.

„Moje kochane dzieci”

Wtedy w Warszawie Sasza po raz pierwszy pokazał mi listy, które w Machaczkałe otrzymał od rodziców, a które były wysłane z getta warszawskiego. Specjalnie zabrał je w podróż. Czuł, że przyszła pora, by opowiedzieć o tym, co tak bardzo go dręczyło.

Były to cztery pocztówki. Tyle otrzymał, będąc w ZSRR. Sasza czytał je nie raz i nie dwa - wielokrotnie. Na każdej pieczętka *Judenratu* (Żydowska Rada Starszych, za pośrednictwem której okupanci sprawowali władzę w gettach) – wysyłka listów odbywała się tylko przez *Judenrat* – i znaczek Generalnej Guberni (tak nazywała się część okupowanej przez hitlerowców Polski), i obce słowo *Warschau*, zamiast bliskiego i ukochanego – Warszawa.

W korespondencji z getta dopuszczano stosowanie dwóch języków: polskiego i niemieckiego. Listy pisane w języku hebrajskim, jidysz lub esperanto były niszczone. Tym właśnie trzeba tłumaczyć fakt, że listy od rodziców pisane były w łamanym języku polskim, którym z pewnością na co dzień posługiwali się rzadziej niż ojczystym żydowskim.

Daty na wszystkich pocztówkach mówiły o tym, że zostały one wysłane między lutym i majem 1941 roku. Nie były one przypadkowe. Listy z getta adresowane do ZSRR były wysyłane tylko do momentu napaści Niemiec na Związek Radziecki, czyli do 22 czerwca 1941 roku. W następnym – praktycznie nie pozostał nikt, kto mógłby je pisać. Od początku Wielkiej Deportacji, to znaczy od lipca 1942, cała korespondencja z getta i do getta była przekazywana w ręce Niemców. W końcu 1942 r. i na początku 1943 r. na poczcie utworzyły się stosy niewysłanych i niedoręczonych listów.

Pierwszą z zachowanych pocztówek wysłano 15 lutego 1941 roku.

Matka Fajga Dimant (rodzice używali nazwiska Dymant, nie Dimant) pisze do syna do Machaczkały: „Mój ukochany syn Salek [tak matka nazywała Szaję-Saszę – *O.M.N.*]. Pisze, że twoje 6 kart otrzymałam i fszystko to samo

piszesz. Ja jestem zadowolona, że możesz sobie sam radzić i masz co ubrać. Ja się bardzo starałam i chciałam cię posłać trochę bielizny i spodnie, ale [na pocztach paczek] nie przyjmują. [...] My jesteśmy zdrowie...⁴⁶”.

Syn widocznie tęskni i prosi matkę o przysłanie fotografii. Ona zawiadamia go, że wysłała zdjęcie listem poleconym. Jednak daremne były jej starania. Fotografia nigdy nie dotarła do adresata.

Jeszcze jedną pocztówkę napisał 10 kwietnia 1941 roku ojciec Saszy, Izrael Dimant. Wysłana z Warszawy z datą 17 kwietnia 1941. Dotarła do Machaczkały 5 maja. Droga do adresata trwała średnio 25-30 dni. (Tyle samo szedł list z Machaczkały do Warszawy). W gruncie rzeczy nie tak długo, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że listy przechodziły przez kilkakrotną cenzurę: niemiecką w Warszawie i podwójną w ZSRR: na pocztówce – dwie pieczętki; jedna z Machaczkały, druga z Moskwy. Czy mógł gdzieś się ukryć polski uciekinier przed wszechwidzącym okiem Kremla?

Adres rodziców na pocztówce: ul. Dzielna 58/10. Chociaż ulica Miła, na której mieszkali Dimantowie, także była częścią getta, przesiedlono ich na Dzielną. Taka była polityka okupantów. Sasza nic o tym nie wiedział. Dziwił się: dlaczego? Myślał: jak im tam jest?

A jak im było w 1941 roku?

W marcu wydano rozporządzenie zabraniające Żydom korzystania, bez specjalnego pozwolenia, z ogólnodostępnego transportu (włączając tramwaje, taksówki i powozy).

W kwietniu – obława za obławą; tych, których złapano, wysyłano do obozów pracy. Liczba mieszkańców getta warszawskiego wynosi 450 tysięcy. W maju dowiadują się o strasznych warunkach w obozach pracy. Ale w listach rodziców Saszy nie ma najmniejszej wzmianki o ich tragicznym położeniu. Wprost przeciwnie – piszą, że dobrze im się żyje, że czują się bardzo dobrze. Bali się, że listy z prawdziwymi wiadomościami z getta zostaną wstrzymane.

⁴⁶ Zachowana pisownia oryginału.

Byli skupieni nie na sobie, lecz wyłącznie na dzieciach. Ileż w tych krótkich listach miłości, troski i niepokoju: „Kochane moje dzieci [pisze „dzieczy”] Jakub, Hela, kochany i drogi mój Salek...” – pisze do synów Fajga Dimant⁴⁷. Przeżywa, że od starszego syna Jakuba od czterech miesięcy nie ma wiadomości; potem, że to już piąty miesiąc – nie ma ani jednego słowa. Martwi się. Pisze, że szaleje z niepokoju, bo wie, że takie milczenie jest niepodobne do jej syna. „Zlituj się, napisz” – woła. Skąd mogła wiedzieć, że na jej syna wydano wyrok za przestępstwo, którego nie popełnił? Ten wyrok, to „dziesięć lat więzienia bez prawa do korespondencji”.

Listy z getta przestały przychodzić latem 1941 roku. Sasza myślał, że jedyną tego przyczyną jest wojna Niemiec ze Związkiem Radzieckim. Nie przypuszczał, że jest i druga przyczyna – wojna hitlerowców przeciwko narodowi żydowskiemu.

Cztery pocztówki. To wszystko, co zostało po rodzicach Saszy. Jeszcze trzy fotografie, które zabrał ze sobą uciekając na wschód: ojca, brata Szlomy z żoną oraz matki i siostry z maleńkim chłopczykiem, który wtedy miał na imię Szaja. Imienia Sasza, z którym ich syn będzie żył całe życie, w rodzinie Dimantów nikt nigdy nie słyszał.

A listy od Saszy? Na pewno matka przyciskała je do piersi do samego końca – w wagonie towarowym, który wiozł ją i jej bliskich, wszystkich tych, których wymienia w swoich listach: ciotkę Pajdelę, Bernarda, Reginę i tysiące, dziesiątki i setki tysięcy innych, bezimiennych – do Treblinki...

⁴⁷ Hela, żona Jakuba – starszego brata Saszy.

Sybir Saszy

W 1942 roku Sasza został wcielony do Armii Pracy (*Trudarmii*), będącej organizacją paramilitarną, podlegającą Państwowemu Komitetowi Obrony. Mówiąc prościej, była to armia przymusowej pracy z bezpłatną siłą roboczą.

Początkowo Sasza trafił na budowę odcinka rurociągu naftowego między Astrachaniem i Stalingradem, którym miała popłynąć ropa naftowa z Baku. W tym tak zwanym punkcie pośrednim *trudarmiejcy* nie mieli dachu nad głową. Spali pod gołym niebem.

Byli to głównie uciekinierzy, tacy jak Sasza, którzy nie wiedzieli, dokąd ich ostatecznie skierują. Pewnego dnia zebrano ich – około czterystu osób – w Astrachaniu, załadowano na pusty tankowiec i przetransportowano do Baku. Na Morzu Kaspijskim pasażerowie najedli się strachu; Niemcy zaciekle bombardowali, planując przechwycić rejon naftowy wokół Baku. W tym samym czasie rozpoczęły się walki o Stalingrad i wróg szczególnie zajadle walczył. Na szczęście wszyscy płynący w tym rejsie ocalili.

Baku, jak się okazało, też nie było dla nich stacją końcową. Stamtąd wywieziono ich na Syberię. Wlekli się w *tiepluszkach* dwa tygodnie, dopóki nie dotarli do osady Bajdajewka pod Nowokuźnieckiem (w czasie wojny nazywał się Stalińsk – na cześć wielkiego wodza narodu radzieckiego) w obwodzie kiemierowskim. Dowieźli ich do baraków stojących na skraju lasu i wyładowali. W barakach czekały na nich trzypiętrowe prycze; pełno ludzi, nie było czym oddychać. Ogrzewania żadnego. Wilgoć. Wody nie było – istny raj dla wszy.

Razem z wcielonymi do Armii Pracy uchodźcami pracowali deportowani: Polacy, Niemcy, Ukraińcy, Grecy, Litwini, Żydzi – wszyscy tak zwani *nieblagonadieżnyje*, czyli nieprawomyślni, niegodni zaufania z powodu podejrzanego pochodzenia. Byli oczywiście i Rosjanie – więźniowie oraz zesłańcy skazani nie wiadomo za jakie grzechy, uznawani za niepewnych, lecz tym razem z powodów wyłącznie społecznych i politycznych.

Początkowo Saszę skierowano do budowy kanału odpływowego od rzeki Bajdajewka. Następnie jakiś czas pracował w kopalni węgla. Z różnych zdarzeń w tamtym czasie zapamiętał szczególnie jedno: straszną awarię w kopalni „Bajdajewka”, która wydarzyła się w lutym 1944 roku. Zginęło wtedy ponad stu górników.

Przyszła jesień, a wraz z nią chłód i mrozy. Robotnicy nie mieli ani walonek, ani waciaków. Skarżyć się nie wolno – aresztują. Brakowało jedzenia. Chorowali: kurza ślepotą i szkorbut dotykały prawie wszystkich. Historycy udokumentowali, że średnio w obozach pracy przeżywał co trzeci człowiek. Zmarłych chowano we wspólnych mogiłach, nazwisk najczęściej nie rejestrowano. We wspomnieniach jednego z polskich zesłańców przytoczony jest pewien epizod z życia w tamtych warunkach: „Zapytałem kierownika: Po co nas tu przywieziono? Kierownik odpowiedział: Żebyście tutaj zdechli. I zdychali. Ale Sasza – prawdziwy mocarz – trzymał się. Nic się go nie imać.

W takich warunkach Sasza przeżył cztery lata: od 1942 do 1946. Jak przetrwał? Jakim cudem pozostał wśród żywych?

Mówił, że ocalał jeszcze i dlatego, że w Bajdajewce znalazł przyjaciela. Jakub Borensztejn był także uciekinierem z Polski, z Radomia. Z nim mógł rozmawiać o rodzinie w Polsce, o której nic nie wiedział od wiosny 1941 roku. W jednym z baraków urządzono klub, gdzie słuchano radia. Było to jedyne źródło informacji o sytuacji na froncie. Ale o Żydach w okupowanej Polsce nie mówiono ani słowa.

Jakub był starszy od Saszy tylko o cztery lata. Wyrósł bez ojca i dlatego był bardziej zahartowany i zaradny. Opiekował się Saszą jak bratem i tak traktował go do końca swoich dni.

Jakub Borensztejn zmarł w Portland, w USA, w 1996 roku.

W 1943 roku niedaleko od obozu pracy, w którym znajdował się Sasza, założono obóz dla niemieckich jeńców wojennych. To był dobry znak. Ale do końca wojny jeszcze było daleko.

W 1946 Sasza miał 24 lata. W repatriacji do Polski pomógł mu jego studencki ulgowy bilet tramwajowy na rok akademicki 1938/1939 z imieniem, nazwiskiem i zdjęciem. Na jego podstawie mógł otrzymać dokument pozwalający na reewakuację do Polski. Gdyby nie miał go przez przypadek w kieszeni, gdy uciekał na wschód, musiałby znaleźć świadków gotowych potwierdzić, że w 1939 roku był obywatelem Polski. W Bajdajewce znalezienie takich osób było niemożliwe. Sasza do końca życia zachował ten tramwajowy bilet, który nazywał szczęśliwym loteryjnym losem.

Po powrocie do kraju w Szczecinie Sasza stale chodził na dworzec. Wypatrywał krewnych i znajomych. Miał nadzieję, że kogoś z nich Pan Bóg ocalił. Znalazł brata Jakuba, który wrócił z radzieckiego Gułagu – zakończenie wojny skróciło jego dziesięcioletni wyrok do nadzwyczajnie długich pięciu lat. Pozostałych, wszystkich co do jednego, Sasza stracił.

Pewnego dnia nadziei, jak nazywał swoje “dyżury” na dworcu w Niebuszewie, zauważył Ginę...

Gina mówi: „Już będąc moim mężem Sasza kiedyś obliczył, że odległość od Bajdajewki do Leninogorska w linii prostej, to trochę ponad 600 kilometrów. Według rosyjskiej skali odległości, to nie dystans. Sasza mówił: «Gdybym wiedział, że jesteś tak blisko, uciekłbym z obozu i poszedłbym na piechotę na spotkanie swojego losu. Żeby tobie pomóc i ulżyć twoim cierpieniom».

Taki zawsze był mój Sasza: zapominał o sobie – myślał o innych”.

Kamienie (Żałobna Lista)

Po pierwszej podróży do Warszawy w 1948 roku Gina z Saszą bywali tu jeszcze wielokrotnie, jakby coś uporczywie wzywało ich do rodzinnego miasta. Jednak już nie chcieliby i nie mogli mieszkać „na ruinach”. Odbudowywane, a następnie odbudowane Stare Miasto, Zamek Królewski, most Kierbedzia, Teatr Wielki, Grób Nieznanego Żołnierza – wyglądały tak samo jak w przeszłości, ale nie były te same.

I nie było już ludzi, którzy obróceni w popiół, w miarę upływu lat zamieniali się w kamienie.

Na ulicy Zamenhofa – gdzie upłynęło dzieciństwo Giny – odsłonięto pomnik Bohaterów Getta. W pobliżu postawiono granitowy pomnik ku czci Szmula Zygielbojma, polsko-żydowskiego działacza politycznego, który w 1943 roku popełnił samobójstwo na znak protestu przeciwko obojętności i bezczynności świata w obliczu zagłady narodu żydowskiego.

Blisko domu na ulicy Miłej, w którym kiedyś mieszkali Dimantowie, w 1943 roku znajdował się bunkier sztabu Żydowskiej Organizacji Bojowej. Po wojnie uczczono pamięć członków sztabu, stawiając w tym miejscu kamienny obelisk i usypując kopiec poświęcony Mordechajowi Anielewiczowi, przywódcy powstania w getcie warszawskim. Na miejscu dawnej rampy kolejowej *Umschlagplatz*⁴⁸, skąd odjeżdżały transporty z Żydami do Treblinki (niedaleko była szkoła, do której chodził Sasza), postawiono kamienny mur z symbolicznymi imionami tych, którzy zginęli. W samej Treblince ustawiono setki bezimiennych kamieni...

Za każdym razem, patrząc na te świadectwa historii, ludzkiej tragedii i pamięci, Gina i Sasza z żalem myśleli: „Lepiej, gdyby było mniej pomników, a więcej ludzi”.

⁴⁸ Nieistniejąca rampa kolejowa przy ulicy Stawki 4/6 w Warszawie, która wraz ze znajdującymi się w jej sąsiedztwie budynkami była wykorzystywana w latach 1942–1943 jako miejsce koncentracji Żydów z warszawskiego getta przed wywiezieniem ich do obozu zagłady w Treblince oraz obozów w dystrykcie lubelskim.

Bardzo chcieliby wejrzeć w swoje dzieciństwo, wrócić do tamtego beztroskiego czasu! Zapukać do drzwi i powiedzieć obecnym mieszkańcom: „Mieszkaliśmy tutaj”. Wejść, pochodzić po drewnianych skrzypiących podłogach, oprzeć się o duży stół, gdyby jeszcze stał przez wszystkie te lata na swoim miejscu, wyjrzeć przez okno... Ale nie, to niemożliwe. Przeszłość minęła i nie tak, jak zwykle odchodzi, podporządkowując się nieubłaganemu upływowi czasu. Przeszłość zapadła się w ognisty krater. Pochłonął rzeczy, domy i – ludzi.

W Holocauście zginęło, przepadło bez śladu, wielu krewnych Giny i Saszy. Oto ich imiona:

Grinblat Anszel, dziadek Giny od strony matki. Miejsce śmierci nieznane.

Grinblat Mania z domu Judelewicz, babcia Giny. Miejsce śmierci nieznane.

Grinblat-Wejgsman Masza, ciotka Giny, córka Anszela i Mani Grinblatów, siostra Dory Wejgsman z domu Grinblat, żona Naftalego Wejgsmana. Miejsce śmierci nieznane.

Grinblat Ewa, ciotka Giny, córka Anszela i Mani Grinblatów, siostra Dory Wejgsman z domu Grinblat. Miejsce śmierci nieznane.

Mąż Ewy Grinblat. Miejsce śmierci nieznane.

Rysia, córka Ewy Grinblat. Miejsce śmierci nieznane.

Wejgsman Szyja, dziadek Giny ze strony ojca. Miejsce śmierci nieznane.

Wejgsman Naftali (Natan), wujek Giny, syn Szyi i Etlia Wejgsmanów, mąż Maszy Grinblat. Miejsce śmierci nieznane.

Wejgsman Ryszard (Rysiek), syn Naftalego i Maszy Wejgsman. Miejsce śmierci nieznane.

Wejgsman Isaak (Icek), syn Naftalego i Maszy Wejgsman. Miejsce śmierci nieznane.

Wejgsman Israel (Srulek), syn Naftalego i Maszy Wejgsman. Miejsce śmierci nieznane.

Wejgsman Chaim, wujek Giny, syn Szyi i Etlia Wejgsmanów. Miejsce śmierci – Białystok. Zastrzelony przez Niemców na ulicy w 1941 roku.

Wejgsman Chana, żona Chaima. Miejsce śmierci nieznane.

Żółkiewicz Szyja, mąż Soni Wejgsman, ciotki Giny. Zginął podczas bombardowania Warszawy w pierwszych dniach wojny.

Szafer Chench (Henryk, Heniek), mąż Dory Wejgsman (ciotki Giny), był dowódcą plutonu Pierwszej Brygady Czołgów imienia Bohaterów Westerplatte Wojska Polskiego. Zginął w sierpniu 1944 roku w potyczce czołgów w bitwie pod Studziankami. Jego imię wyryto na pomniku w Studziankach wraz z imionami innych żołnierzy Brygady. Pisarz Janusz Przymanowski tak opisuje śmierć Henryka w swoim wojennym reportażu „Studzianki”: „Z czołgu [...] trysnęły na boki płomienie o barwie dojrzałej wiśni. Armata raz jeszcze dała ognia, potem odskoczyła pokrywa wjazdu i Szafer wydzwignął ciało po pas, usiłując ratować życie. Dostał serię. Mocował się z sobą przez długą sekundę, póki, owinięty dymem, nie zniknął w gorejącym wnętrzu”⁴⁹.

Szafer Majka, córka Dory i Henryka Szaferów. Zmarła w wieku niemowlęcym w ZSRR w drodze z Białegostoku do Leninogorska.

Dimant (Dymant) Israel, ojciec Saszy (Szai, Salka, Aleksandra). Miejsce śmierci nieznane.

Dimant Fajga, matka Saszy. Miejsce śmierci nieznane.

Dimant Szlomo, brat Saszy. Miejsce śmierci nieznane.

⁴⁹ Przymanowski J. *Studzianki*. Warszawa 1987, s. 165.

Dimant Regina, żona Szlomy. Miejsce śmierci nieznane.

Dimant Nachama (Chumcia), nazwisko po mężu Goldman, siostra Saszy.
Miejsce śmierci nieznane.

Goldman Bernard, mąż Nachamy. Miejsce śmierci nieznane.

Goldman, dzieci Nachamy i Bernarda. Miejsce śmierci nieznane.

Symboliczny grób Dimantów znajduje się na Cmentarzu Żydowskim przy ulicy Okopowej w Warszawie.

Los bardziej sprzyjał Ginie niż Saszy. Ile żydowskich dziewcząt w Polsce mogło w pierwszych latach powojennych przedstawić swojemu narzeczonemu rodziców i powiedzieć: „To moja mama, a to mój tata!?”.

Ci, którzy uratowali się w ZSRR, zapłacili za to wysoką cenę. Jakkolwiek układało by się ich dalsze życie, pytania postawione i wielokrotnie powtórzone przez poetę Ryszarda Mirabela w wierszu „Przesiać proch” były także ich trudnymi pytaniami:

Czemuż to ja
wyszedłem cało
z nocy czarnych jak poczęcie?

Po co pozostałem
bez krzty sensu
przesiewać proch
i śnić o byłym?

Czemuż to ja
gdy tylu martwych?

Gdy czuć
to zbrodnia –
po co czuję?

Ciemność stoi w ogniu
i nie pozostaje
nic prócz prochu

W tej grozie mroku
życie ma blask
gwiazd letniej nocy
w oku ślepcy⁵⁰

⁵⁰ Wiersz kanadyjskiego poety Ryszarda Mirabela, który stracił w Warszawie podczas wojny prawie wszystkich swoich krewnych. Wiersz powstał w 1945 r. Tytuł oryginału *Combing the Ashes*. [in:] Richard Mirabel. Poems. Ed. O. Medvedeva-Nathoo. Preface by O. Medvedeva-Nathoo. Vancouver 2012. Przekład polski: Ryszard Mirabel. Wiersze przełożyła Grażyna Zambrzycka. Poznań 2013.

Wrócić, aby opuścić

Ocaleni Wejgsmanowie i Dimantowie stopniowo wracali do ojczyzny. Na Zachodzie został tylko Felek Grinblat, oficer Armii Andersa. Ukochany wujek Giny mieszkał początkowo w Anglii, później w USA.

Poza rodziną Abrama Wejgsmana ze Związku Radzieckiego repatriowała się ciotka Giny, Henia Wejgsman z mężem Szaulem Lewitem i dziećmi. Szaul był w 1940 roku powołany do Armii Czerwonej wraz z dziesiątkami tysięcy innych Polaków pochodzących z anektowanych obszarów polskich. Jednak już latem 1941 roku, gdy rozpoczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana, zaczęto przekazywać Polaków pod jurysdykcję *Narkomstroju*⁵¹, aby zapobiec ich dezercji lub przejściu na stronę hitlerowców. Jednak Szaula z jakiegoś powodu pozostawiono w Armii Czerwonej; walczył w jej szeregach do dnia zwycięstwa w Berlinie.

Druga ciotka Giny, Sonia Wejgsman, wróciła z ZSRR do Polski w 1946 roku, by już po dwóch latach wyjechać do nowo utworzonego państwa Izrael.

Babcia Etlą Wejgsman oraz jej dwie córki Mania i Dorka przebywały do 1954 roku we Lwowie, który po wojnie znalazł się na terenie Związku Radzieckiego. Gina i Sasza, wykorzystując sprzyjający klimat po śmierci Stalina, odwiedzili babcię Etlę i jej córki, którym żyło się nieźle, a szczególnie Dorce, mającej fach w ręku. Pamiętamy, że była wspaniałą krawcową, z czego była znana jeszcze w Leninogorsku. Tak bardzo przyzwyczaiła się do języka rosyjskiego, że listy i pocztówki wysyłane do krewnych pisała na przemian w języku polskim i rosyjskim. Babcia i ciotki Giny chciały połączyć się z rodziną w Polsce. Postanowiono, że Gina po powrocie do Szczecina postara się wykombinować nowe polskie dokumenty, bez których babcia i ciotki nie mogłyby wydostać się ze Związku Radzieckiego. Ich polskie dokumenty zaginęły, natomiast z radzieckimi paszportami wyjazd do Polski na stałe był

⁵¹ Ludowy Komisariat do spraw Budownictwa ZSRR.

niemożliwy. W nowych dokumentach – wskutek pomyłki urzędnika – daty urodzenia sióstr dzieliły jedynie cztery miesiące, zamiast dziewięciu – jak przykazała matka natura.

Na szczęście w sytuacji ocieplenia stosunków między krajami w tak zwanym obozie socjalistycznym, nikt oczywiście pomyłki nie zauważył ani na radzieckiej, ani na polskiej stronie granicy. Panie Wejgsman szczęśliwie wróciły do Polski.

A historię z „wymuszonym fałszerstwem” – przecież wszystkie trzy kobiety w rzeczywistości urodziły się w Polsce – opowiadano w rodzinie jako anegdotę.

Z radzieckiego Gułagu wrócił do Polski Jakub Dimant z rodziną, brat Saszy.

Jednak dawnych, zerwanych przez wojnę, więzi nie udało się odbudować. Teraz każdy szedł własną drogą.

Jedyna, która potrafiła jednoczyć rodzinę – babcia Etlą zmarła w 1956 roku w Warszawie. W tym właśnie roku, zaraz po wznowieniu *alii*, kiedy Polskę opuściło około 30 tysięcy Żydów, do Izraela wyjechały też córki babci Etlę – Dorka z rodziną i Mania.

Gina z Saszą także myśleli o wyjeździe. Sasza nawet pojechał do Izraela sprawdzić, czy jego żona odporna na mróz po latach pobytu w Syberii, ale nieodporna na upały, wytrzyma klimat izraelski. Doszedł do wniosku, że nie wytrzyma. Zostali w Polsce.

Pojedyncze (jak by powiedziano w czasach ogólnego zakłamania) incydenty antysemickie w Polsce zdarzały się także w latach pięćdziesiątych, ale władze starały się tłumić ekscesy i nie nagłaszać informacji o nich.

Pewnego razu na ulicy obrażono matkę Giny. Nie zawahała się i skierowała do sądu sprawę przeciwko antysemicie. I wygrała. Wygrana sprawa dawała nadzieję.

Życie Giny i Saszy było poukładane. Sasza, pracując na stanowisku

dyrektora Wydziału do spraw Handlu Detalicznego w Urzędzie Miejskim, ukończył Wydział Inżynieryjno-Ekonomiczny Transportu Politechniki Szczecińskiej. Gina, jak już wiemy, pracowała w Dziale Kadr Rejonowej Przychodni Zdrowia. Opowiada: „Nasze życie w Polsce Ludowej upływało bez kłopotów – przede wszystkim dlatego, że w rodzinie były miłość i zaufanie”.

Dimantowie mieli obszerne mieszkanie na Słowackiego, jednej z najpiękniejszych ulic Szczecina, tuż obok willi, w której pod numerem 2 znajdowała się siedziba Szczecińskiego Oddziału TSKŻ. Co prawda, akcja zagęszczania mieszkań, prowadzona przez władze miasta, nie ominęła także Giny i Saszy. Chciano im dokwaterować kogoś, ale oboje postanowili zamienić mieszkanie na mniejsze na ul. Naruszewicza. Było to dosyć wygodne, bowiem w pobliżu, na ulicy Heleny, mieszkali rodzice Giny.

Salek chodził do Szkoły Podstawowej nr 28 im. I.L. Pereca, która była utrzymywana ze środków WKŻP, a w 1950 roku szkołę upaństwowiono. Dzięki pomocy *Jointu* była dobrze zaopatrzona; funkcjonowała tu stołówka, najbardziej potrzebujący uczniowie otrzymywali odzież i obuwie⁵². W szkole uczyli znakomici nauczyciele. Gina szczególnie dobrze wspomina dyrektorkę Szajnę Lew i ulubioną „belferkę” Salka, Irenę Lebelową. I chociaż bardzo starali się nauczyciele przekazać dzieciom swoją wiedzę, to nauka w szkole była niezwykle utrudniona. Językiem wykładowym przez pierwsze cztery lata nauki był język żydowski. Brakowało podręczników. A i rodzice nie zawsze mogli pomóc dzieciom w nauce. Z czasem trzeba było z tego systemu zrezygnować i jako wykładowy wprowadzono język polski, a żydowski stał się językiem dodatkowym⁵³.

⁵²American Jewish Joint Distribution Committee, w skrócie Joint, Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Rozdzielczy, organizacja założona w USA w 1914 r. Jej fundusze pochodzą głównie z datków amerykańskich Żydów.

⁵³Szkoła była jedną z najdłużej działających tego typu szkół w Polsce. Prezentowała wysoki poziom nauczania i jej absolwenci nie mieli żadnych kłopotów z dostaniem się do prestiżowych szkół średnich. Bartczak A., *Losy żydowskiej szkoły podstawowej im. I.L. Pereca* [...].

Salek szczególnie lubił zajęcia sportowe, widocznie odziedziczył po matce miłość do roweru i pływania. Z pewnością od zajęć szkolnych wolał spacerować w malowniczym parku Kasprowicza. Zresztą park ten uwielbiała cała rodzina, Wybierali się tam, gdy tylko mieli wolną chwilę – z rodzicami, z siostrą Liną, z przyjaciółmi – tym bardziej że znajdował się on koło ich domu, wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy.

„Czy zdarzało się, żeśmy szli na kompromis? – mówi Gina. – Na pewno tak. Staraliśmy się o tym nie myśleć. Sasza musiał wstąpić do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, aby zrealizować marzenie o wyższym wykształceniu – brak legitymacji partyjnej poważnie utrudniłby ten zamiar. Ja zaś, wychowana w domu komunisty z przekonania, prawie bezwiednie, niejako automatycznie, siłą inercji szłam torem ojca. Pracowaliśmy uczciwie, żyliśmy tak jak wymagały tego czas i okoliczności. I nie zamierzaliśmy wyjeżdżać z Polski”.

Stary problem – nowa fala. 1968

W 1968 roku nadeszły inne czasy.

Wydarzenia marcowe poprzedzone zostały wybuchem wojny izraelsko-arabskiej (znanej także jako wojna sześciodniowa) na początku czerwca 1967 roku. Z jednej strony konflikt Izraela z jego sąsiadami wywoływał niepokój, ponieważ, zdaniem polskich kół politycznych, mógł on stać się zarzewiem konfliktu światowego. Z drugiej strony, obserwatorzy sceny politycznej przewidywali, że wojna ta – w obliczu kryzysu ery Władysława Gomułki i pogarszających się nastrojów społecznych – może odmienić sytuację wewnętrzną w Polsce. Przeczowano, że jakieś przesilenie w kraju musi nastąpić. Wówczas zaczęła narastać fala antysemityzmu⁵⁴.

Jeszcze przed marcem miały miejsce zamieszki w związku z wydanym przez cenzurę zakazem wystawiania na scenie Teatru Narodowego w Warszawie „Dziadów” Adama Mickiewicza, którego kultowa rola w polskiej świadomości społecznej była szczególnie wielka. Powodem zakazu były zawarte w przedstawieniu treści antyrosyjskie, które w tamtym czasie miały równocześnie podtekst antyradziecki⁵⁵. Sługusi reżimu wiedzieli, czego się boją – doskonale rozumieli, że sztuka nie tylko odzwierciedla, ale także kształtuje opinię społeczną.

Wydarzenia Marca `68 miały dramatyczne konsekwencje dla rodziny Dimantów. Wszystko zaczęło się od kłopotu z ich synem Salkiem.

Gina opowiada: „14 marca 1968 roku Salek wziął udział w antyrządowym wiecu na osiedlu akademickim Politechniki Szczecińskiej. Podzielał i popierał żądania młodzieży dotyczące między innymi zniesienia cenzury, poszanowania praw człowieka, liberalizacji systemu.

Po zakończeniu wiecu Salka zatrzymano. Nie zdążył nawet uświadomić

⁵⁴ Krasucki E., *Żydowski Marzec `68 w Szczecinie*. Szczecin 2008.

⁵⁵ „Przedstawienia «Dziadów» w reżyserii Kazimierza Dejmka stały się polityczną odskocznią o wymowie antyradzieckiej” – mówił I sekretarz PZPR Władysław Gomułka do warszawskiego aktywu partyjnego.

sobie, kim są ludzie zadający mu pytania i spisujący jego dane. Informacja, której udzielił wydała im się niewystarczająca. Podnieceni faceci, pewnie z tak zwanego aktywu robotniczego: ochotnicy lub wynajęci, celowo przychodzący na wiece, by wyśledzić „inicjatorów zajęć”, bezlitośnie pobili syna. Salek był przypadkową ofiarą, mógł stać się nią każdy, kto akurat był wtedy pod ręką.

Fala nastrojów antyżydowskich narastała, aby objawić się w pełni zaraz po zajęciach na Uniwersytecie Warszawskim.

18 marca 1968 roku w województwie szczecińskim zorganizowano wiec z udziałem aż 12 tysięcy członków partii, a miejsce było nieprzypadkowe – Stocznia Szczecińska im. Adolfa Warskiego, symbol Szczecina i potęgi klasy robotniczej. W przemówieniu A. Walaszka, I sekretarza KW PZPR, pojawiły się akcenty, które umożliwiały dalszą eskalację nastrojów antyżydowskich⁵⁶.

Ważniejsze, bo sankcjonujące nagonkę antyżydowską w skali Polski było przemówienie Władysława Gomułki, I sekretarza KC PZPR, z 19 marca 1968 roku na spotkaniu z warszawskim aktywem partyjnym. W swoim wystąpieniu powiedział między innymi, że „[...] tym, którzy uważają Izrael za swoją ojczyznę, gotowi jesteśmy wydać emigracyjne paszporty”.

Właśnie po tym wystąpieniu jeszcze bardziej wzrosły antyżydowskie postawy szczecińskiego społeczeństwa. Coraz bardziej zjadliwe stawały się artykuły prasowe.

Gina relacjonuje: „Byliśmy świadkami politycznego kryzysu w kraju i na własne oczy widzieliśmy, jak działa machina propagandowa, uruchomiona przez partyjnych działaczy, broniąca ówczesnego systemu i posługująca się sprawdzoną metodą – «poszukać wroga». Kozłem ofiarnym stali się Żydzi lub, jak wtedy mówiono, «syjoniści». Arsenal lingwistycznych kłamstw był niewyczerpany: organizatorami protestów studenckich były osoby «określonego pochodzenia», używano fałszywych i zawołowanych haseł w rodzaju: «Antysemityzmowi – mówimy nie! Antysyjoniści – tak!», itp. Cały ten

⁵⁶ Fragmenty wystąpień I sekretarza KW PZPR [w]: Krasucki E., *Żydowski Marzec '68* [...].

kamuflaż był szyty grubą nicią.

Biorąc pod uwagę wszystko to, co działo się dookoła, zrozumieliśmy, że zdarzenie z Salkiem – to tylko początek czegoś bardzo złego.

Już następnego dnia zatelefonowano z Komitetu Wojewódzkiego PZPR i poproszono mnie «na rozmowę». Znając sytuację w Polsce i na arenie międzynarodowej (niedawne zwycięstwo Izraela w sześciodniowej wojnie rozczarowało ZSRR i Polskę: stosunki dyplomatyczne z Izraelem były zerwane), nietrudno było domyślić się, jaka czekała mnie rozmowa. Nie chcąc denerwować męża, postanowiłam nic mu nie mówić o wyznaczonej «randce» w tak ważnym miejscu, jakim był komitet partii. Okazało się, że takie samo «zaproszenie» otrzymał także Sasza. Kierując się tymi samymi pobudkami co ja, również przemilczał o «spotkaniu».

Jeżeli chodzi o scenariusz rozmowy, to był on w tamtym systemie zawsze taki sam i wielokrotnie wykorzystywany: wzywano oddzielnie podejrzaną lub «winną» osobę, by wyciągnąć z niej możliwie najwięcej informacji, a gdy to się nie udawało, szantażowano mówiąc, że ta druga osoba (mąż, żona, matka, przyjaciel, współpracownik, sąsiad) przyznała się szczerze do wszystkich grzechów. Jednak tym razem w realizacji scenariusza coś nie zadziało jak należy i sytuacja wymknęła się spod kontroli. Czy to z powodu bezmyślności, czy też «przeciążenia» pracą, towarzysze partyjni źle rozegrali sprawę: wyznaczyli spotkanie ze mną i Saszą na tę samą godzinę. Idę poddenerwowana (nie powiem, że nie bałam się) po «korytarzu władzy», tymczasem z przeciwnej strony w moim kierunku zdąża znajoma, kochana sylwetka – Sasza! Od razu zrozumieliśmy, o co chodzi. Mało brakowało, a wybuchnęlibyśmy śmiechem. Tylko tak naprawdę było nam nie do śmiechu.

W związku z tym, że «plan» urzędników nie powiódł się, nie pozostało im nic innego, jak zaprowadzić nas razem na spotkanie z Ważnym Kierownikiem. To, że byliśmy razem, oczywiście dodało nam sił.

W ostrej formie przedstawiono nam zarzuty: »Dwoje członków partii (wspominałam już, że ja i Sasza byliśmy członkami PZPR) wychowało izraelskiego szpiega«. Próbowaliśmy zaprzeczać, ale obcesowo nam przzerwano: «Nie ma dyskusji. Mamy niezbita dowody i będziemy sądzić waszego syna, jak szpiega». Rozumiejąc, że niczego nie udowodnimy, że sprawa już została sfabrykowana, powiedzieliśmy:«Cóż, skoro są dowody na to, że nasz syn jest szpiegiem, sądzcie go».

Skierowaliśmy się już do drzwi, gdy nagle jakaś siła – może matczyzna miłość, szalona próba uchronienia jedyne dziecko? – skłoniła mnie do tego, żeby zawrócić. Podskoczyłam do biurka nienawistnego urzędnika, złapałam kryształową popielnicę i cisnęłam nią w partyjnego szefa. Sama dziwię się, że tak gwałtownie się zachowałam (pierwszy i ostatni raz w moim życiu tak postąpiłam). Nie miałam doświadczenia w podobnych «potyczkach», wprawy w rzucaniu czymkolwiek także nie, więc na szczęście nie trafiłam popielniczką w człowieka. W przeciwnym razie byłabym sądzona i siedziałabym razem z synem na jednej ławie oskarżonych.

Następnego dnia, na znak protestu przeciwko absurdalnym oskarżeniom wobec syna, oddaliśmy z Saszą nasze legitymacje partyjne. Gdybyśmy sami tego nie zrobili, to i tak by wykluczono nas z partii, jak wyrzucono tysiące innych. Skutki tego nie dały na siebie długo czekać. Po kilku dniach zwolniono nas z pracy.

Dyrektorem w mojej przychodni zdrowia był dr Waluk, który mimo nacisków nie chciał mnie zwolnić. Pytał: «Jak to jest możliwe, skoro niedawno wręczyłem jej nagrodę za dobrą pracę? Co mi zrobicie, jak nie posłucham? Zwolnicie mnie? Jestem lekarzem i zawsze będę ludziom potrzebny». Moja bezpośrednia kierowniczką w Wydziale Kadr także nie chciała wykonać polecenia instancji nadrzędnej w mojej sprawie, za co usłyszała groźby pod swoim adresem.

W podobnej sytuacji znalazło się wielu innych Polaków sympatyzujących z Żydami. Ci, którzy nie chcieli uczestniczyć w tej oszczerczej kampanii, niejednokrotnie mówili nam, że to wszystko przypomina im czasy niemieckiej okupacji”.

Partii, której pozycja została nadszarpnięta podczas masowych protestów, udało się jednak wprowadzić w błąd znaczną część społeczeństwa. Wiece i zebrania, które były inscenizowane w przedsiębiorstwach, podgrzewały atmosferę podejrzliwości i nienawiści. Niemało było takich, którzy z widocznym zadowoleniem brali udział w publicznym osądzeniu „prowokatorów”, „zdrajców-syjonistów”, „zauszników imperializmu”, „wewnętrznych wrogów kraju”, a nawet „wewnątrzpartyjnych wrogów” rzekomo przyciągających i demoralizujących niedoświadczoną młodzież, podburzając ją mrzonkami o wolności i stojących na przeszkodzie stałemu i pomyślnemu rozwojowi kraju.

I jeszcze jedno – partyjna góra liczyła na szerzenie kłamliwych informacji o Żydach: o ich rzekomym kosmopolityzmie i antypatriotyzmie, bowiem mieszkając w Polsce, uważają Izrael za swoją ojczyznę.

Nacjonalistyczna zaraza zawsze i wszędzie rozprzestrzenia się jak pandemia.

Więc tak fałszowano rzeczywistość i karmiono naród absurdalnymi hasłami. Przy tym trzeba mieć na uwadze, że była to inna epoka, w której źródeł niezależnej informacji prawie wcale nie było, natomiast nieograniczone możliwości miała propaganda partyjna. Ponadto wiadomo, że pewna i niemała, niestety, grupa ludzi, niemająca nawyku samodzielnego myślenia, zawsze chętna jest powtarzać nedorzeczne hasła.

Tymczasem inni zadawali sobie pytanie, czy najważniejszy przywódca partyjny w kraju, Władysław Gomułka, w swoich wystąpieniach piętnujący „syjonistów”, zdaje sobie sprawę, że stawia pod pręgierz także własną żonę i syna. Kto, jak nie on, powinien wiedzieć o szczerym oddaniu Liwy Szoken

(„towarzyski Zofii”) sprawom partii? Czy może sądzi, że jest ona rzadkim wyjątkiem, czy też woli zapomnieć, jakiego jest pochodzenia?

Właściwie, czy należy się temu dziwić?

Historia zna przykłady, gdy z ideowych pobudek ludzie sprzeniewierali się rodzinie, bliskim, kochanym, ze strachu o siebie, o własne życie – wspomnijmy Michała Kalinina, którego Gina odwiedziła w Moskwie w 1945 roku. A w przypadku Gomułki – wiedział, że Wielki Brat, ZSRR, nie daruje mu niepowodzenia w realizowaniu polityki socjalistycznej w Polsce Ludowej...

Antysemicka histeria wzmagająca się i nabierała rozpędu.

Gina opowiada: „Żyliśmy jak wszyscy uczciwi ludzie w Polsce Ludowej – od wypłaty do wypłaty. Mijał już rok, odkąd zwolniono nas z pracy i zostaliśmy bez środków do życia. Wspierali nas na szczęście przyjaciele i znajomi. Długi jednak rosły. Ile jeszcze mogło to trwać?

Salek cierpiał, uważając, że niechcący stał się przyczyną zburzenia naszego rodzinnego spokoju. Uważał, że jako dorosły człowiek powinien sam odpowiadać za swoje działania.

I odpowiadał, oj, jeszcze jak odpowiadał!

Nie było końca naszym kłopotom.

Studiował zaledwie pół roku; wyrzucono go z wilczym biletem. Podobnie jak wielu innych studentów relegowanych z uczelni, Salka powołano do wojska. Jego, «izraelskiego szpiega», przyjęto do szkoły lotniczej. Ale ocknęli się i szybko go stamtąd wyrzucili. Został wcielony jako szeregowy do karnego batalionu służby obowiązkowej, gdzie było sporo takich, którzy odbywali karę za różnego rodzaju przestępstwa. Wśród «towarzyszy bojowych» mój syn był jedynym obrzezanym Żydem. Znęcano się nad nim bez końca. Kiedy ojciec odwiedził syna, dowódca batalionu przeszywając Saszę swoim stalowym wzrokiem, bez cienia zażenowania rzucił mu w twarz: «Zabierajcie się z Polski, póki jesteśmy dobrzy dla was. Nie wyjedziecie – wykończymy waszego synusia»”.

Sasza wrócił z jednostki wojskowej ponury jak chmura gradowa.

Wiadomo, że kłopoty chodzą parami.

Szok, jaki przeżyła w 1968 roku Gina, odbił się na jej zdrowiu. Konieczna była operacja. Instynkt przeżycia podpowiadał Ginie i Saszy, którzy raz już doświadczyli prześladowań, że trzeba pakować się i wyjeżdżać.

Ojciec Giny odmówił wyjazdu ze względu na swoje komunistyczne poglądy. Został na posterunku wraz z oddaną sobie żoną. Przeszli razem ręką w rękę przez przedwojenne lata, wojnę, Sybir, Polskę Ludową... I zmarli jedno po drugim: Dora w 1984 roku, a Abram – w 1985 roku⁵⁷.

Napisano całe tomy na temat marcowych wydarzeń 1968 roku, zbadano przyczyny i skutki kryzysu. Samo czytanie ich, to trudne zajęcie. A wtedy, zaledwie dwadzieścia kilka lat po bezprecedensowych prześladowaniach hitlerowskich, Żydzi, którzy uratowali się w czasie Holocaustu, zmuszeni byli poznać smak izolacji i odrzucenia, znieść ataki i szykany.

Czarę goryczy wychyliła także rodzina Dimantów.

Rok 1969 przyniósł falę kolejnych wyjazdów Żydów ze Szczecina.

Aby otrzymać pozwolenie na wyjazd (bez prawa powrotu), trzeba było zrzec się obywatelstwa polskiego. Zamiast paszportu dawano Dokument Podróży z zaznaczeniem: „Okaziciel niniejszego dokumentu nie jest obywatelem Polski”. Nie jest obywatelem Polski. To kim jest? Znów uciekinierem, do nikogo nieprzynależącym, który zbłądził we wszechświecie? W 1946 roku, aby przywrócić obywatelstwo polskie, wystarczyła przypadkowo zachowana polisa ubezpieczeniowa lub starty, ledwie czytelny ulgowy bilet tramwajowy. Teraz pozbawiano ludzi prawa bycia obywatelem kraju, w którym się urodzili oni, jak również ich przodkowie i potomkowie. I to w tak zwanej Polsce Ludowej, która siedmiomilowymi krokami kroczyła drogą

⁵⁷ Wejgsmanowie przeżyli całe swoje trudne życie razem, tymczasem rozdzieliła ich śmierć. Pochowani są na szczecińskim Cmentarzu Centralnym, lecz oddzielnie. Dora Wejgsman spoczywa w kwaterze żydowskiej (nr 62), natomiast Andrzeja Wejgsmana pochowano w kwaterze Działaczy Ruchu Robotniczego (nr 41).

demokratyzacji!

Właściciel Dokumentu Podróży w miesiąc po jego otrzymaniu musiał opuścić Polskę. Żydów wypychano z kraju w pośpiechu, niecierpliwie. Eliminowano ich z życia w Polsce bez zbędnej zwłoki.

Decyzję o wyjeździe musiało podjąć tysiące Żydów szczecińskich, wyrzuconych z pracy, znieważonych i upokorzonych. Szczególnie boleśnie rzeczywistość marcową odczuwali szczecińscy studenci pochodzenia żydowskiego, którzy niejednokrotnie spotykali się z niechętnymi wypowiedziami ze strony kolegów i wykładowców.⁵⁸ Antysemicka nagonka sprawiła, że liczba dzieci w żydowskiej szkole znacznie zmalała. Ostatecznie jesienią 1969 roku klasy żydowskie zostały zlikwidowane⁵⁹.

Młoda inteligencja akademicka, lekarze, ludzie kultury wyjeżdżali masowo: docenci, doktorzy z Politechniki, Wyższej Szkoły Rolniczej, Akademii Medycznej, artyści, muzycy, działacze teatralni, około 60 studentów...⁶⁰.

Gina mówi: „Polska pozbyła się Żydów, odrzuciła nas niezasłużenie i niesprawiedliwie. Przejmujący ból tkwił w nas długie lata”.

Dimantowie, jak już wspomnieliśmy, nie mogli wyjechać do Izraela z powodu ciężkiego klimatu, który mógłby niekorzystnie odbić się na słabym zdrowiu Giny. Zostawać w Europie wydawało im się bezsensowne – jeszcze sączyła się krew z ran, które zadała wojna. Droga do Stanów Zjednoczonych była dla nich zamknięta: kraj ten niechętnie przyjmował byłych komunistów, nie czyniąc różnicy między działaczami komunistycznymi i szeregowymi członkami partii.

„Sytuację komplikował fakt – kontynuuje Gina – że synowi odmówiono prawa wyjazdu. Postawiono warunek: wypuszczą go nie wcześniej niż za rok i tylko w takim przypadku, gdy znalazłszy się na Zachodzie nie będziemy zlorzeczyć na Polskę. Wyjeżdżaliśmy 2 sierpnia 1969 roku z warszawskiego

⁵⁸ Krasucki E., *Żydowski Marzec '68* [...].

⁵⁹ Bartczak A., *Losy żydowskiej szkoły podstawowej im. I.L. Pereca* [...].

⁶⁰ Mieczkowski J., *Między emigracją* [...].

Dworca Gdańskiego, który stał się symbolem emigracji Marca `68. Poniżającej kontroli bagażu towarzyszyło zazwyczaj wymuszanie łapówek przez celników. Aby przyspieszyć procedurę kontrolną, wyjeżdżający wkładali do okazywanych dokumentów pieniądze. Była nawet określona wysokość łapówki: 500 dolarów. W tamtym czasie celnicy z pewnością bardzo wzbogacili się – przecież z Polski wyjechało około 20 tysięcy Żydów. My również byliśmy gotowi mieć swój udział w bogaceniu się urzędników państwowych. Celniczka, do której podeszliśmy, wiedziała bez dwóch zdań, dla kogo i w jakim celu przeznaczone są pieniądze znajdujące się w naszych dokumentach. Zareagowała na nie w zupełnie nieoczekiwany sposób: „Nie mam wątpliwości, że te pieniądze zarobione są ciężką pracą. Nie wolno wam ich wywieźć. Może jest ktoś w Polsce, komu mogłabym je przekazać?”. Odpowiedziałam, że w Szczecinie zostali moi rodzice. Celniczka zapisała adres i za kilka dni moi rodzice otrzymali przekaz pieniężny – co do grosza. Tak więc nawet w ostatniej chwili naszej obecności na polskiej ziemi jeszcze raz przekonaliśmy się o tym, o czym dotąd przekonywaliśmy się nieustannie: są Polacy i Polacy. Niektórzy szli na pasku skorumpowanych władz i potakiwali. Inni nam współczuli. Były osoby, które sięgały po cudze, wykorzystując naszą ciężką sytuację, byli też uczciwi ludzie. Niektórzy odczuwali złośliwą satysfakcję z powodu naszego wyjazdu i nie szczędzili zjadliwości. Innym było wstyd spojrzeć nam w oczy.

Wyjeżdżaliśmy. Żegnaliśmy się z Polską jak ze zmarłym, którego nie będzie nam dane kiedykolwiek zobaczyć. Odrywaliśmy od serca Szczecin, do którego tak długo przyzwyczajaliśmy się i Warszawę, która pozostała naszym domem. I cokolwiek by robiły i mówiły władze, to nie miały takiej mocy sprawczej, by zabrać nam uczucie przynależności do naszego miasta, kraju i miłości do języka polskiego.

W Wiedniu zatrzymaliśmy się tylko na tydzień, a w następnym punkcie emigracyjnym, w Rzymie – na cały rok. Tam utrzymywał nas *Joint*, który finansował mieszkanie i nasze wydatki. Z niewielkiej kwoty umieliśmy wykroić

jeszcze środki na pomoc dla naszego syna, który w tym czasie wciąż odbywał służbę wojskową.

W Rzymie nigdy wcześniej nie byliśmy i korzystając z okazji, obejrzeliliśmy wszystkie zabytki Wiecznego Miasta. Właśnie wszystkie, a nie tylko te, które zwyczajowo włączane są do programu turystycznego. Mieliśmy szczęście, ponieważ naszym przewodnikiem po włoskiej stolicy był przypadkowy znajomy – mieszkaniec Rzymu – ksiądz katolicki, który zaprzyjaźnił się z nami i bardzo się cieszył, że zwiedzamy miasto niepowierzchownie i z wielkim zaciekawieniem.

W Rzymie otworzyła się dla nas, uciekinierów politycznych, możliwość emigrowania do Kanady”.

Gina podkreśla: „Nas przyciągała Kanada znajdująca się daleko od Europy, niepobrzękująca szabelką i przyjmująca nowych obywateli z nadzieją, że ci będą wiernie jej służyć. Nie mieliśmy żadnych podstaw formalnych do tego, żeby emigrować do Kanady – nie mieszkali tam nasi krewni ani tym bardziej ci, którzy mogliby nas sponsorować. Podczas wywiadu w kanadyjskim konsulacie na pytanie, dlaczego chcemy jechać do Kanady i właśnie do Vancouver, Sasza otwarcie odpowiedział: «Dlatego, że w Portland, w USA, oddalonym o kilka godzin jazdy od Vancouver, mieszka mój przyjaciel Jakub Borensztejn, który służył mi za brata, kiedy byliśmy w radzieckim obozie pracy...». Konsul ze zdziwieniem uniósł brwi i zapytał z niedowierzaniem: «Przyjaciel w Portland?». A Sasza odpowiedział: «Czy pan zna wartość przyjaźni mężczyzn powstałej podczas wojny?». Czy te słowa, czy też szczerść i bezpośredniość Saszy wywarły wrażenie na kanadyjskim urzędniku, który nie powinien kierować się żadnymi emocjami, a jedynie literą prawa. Może coś innego zadziałało? Nie wiem. W każdym razie otrzymaliśmy pozwolenie na imigrację do Kanady. I teraz po raz pierwszy zrobiło się nam nieswojo: wybieramy się na drugi kontynent, na koniec świata, zostawiliśmy w Polsce starych rodziców i syna... Czy znajdziemy pracę, nie znając ani słowa po

angielsku. Tego samego dnia zabraliśmy się do nauki języka.

To był pierwszy krok w nowe życie”.

Część IV

Posłannictwo pamięci

W sierpniu 1970 roku Gina z Saszą przylecieli do Vancouver⁶¹.

Miasto oczarowało ich swoją urodą; położone nad Oceanem Spokojnym na zboczach pięknych gór i wzniesień. Wszechogarniająca zieleń sprawiała, że wydawało się ono przytulne i od razu im się spodobało. Ponadto zachwyciła ich prostota i jakaś lekkość, którą wyczuwało się natychmiast przy pierwszym zetknięciu z miastem. Tchnęło życzliwością, spokojem i ciepłem. Było słonecznie. Wydawało się, że wszystko dookoła emanuje światłem. „Zaiste Nowy Świat!” – pomyślała Gina.

Jednak Dimantowie nie od razu odnaleźli się w Vancouver. Dawała o sobie znać trauma z niedawnej przeszłości – uczucie, że są śledzeni z czasem zmieniło się w swego rodzaju obsesję. Doszło do tego, że drżeli na widok każdego policjanta (których na szczęście widzieliśmy niezbyt często) i ze strachu chcieli natychmiast zapaść się pod ziemię. Samopoczucia nie poprawiała długo trwająca niepewność co do ich przyszłości w nowym kraju.

Emigracja, nawet gdy towarzyszą jej sprzyjające okoliczności, jest zawsze trudnym doświadczeniem. Tak było i z Dimantami, mimo że Kanada wyciągnęła do nich pomocną dłoń. Otrzymywali zasiłek i skierowano ich na pięciomiesięczny kurs języka angielskiego, który okazał się dla Saszy – miał już 48 lat – swoistym wyzwaniem. Nauka nowego języka nie przychodziła mu łatwo.

⁶¹ Miasto w zachodniej Kanadzie, w prowincji Kolumbia Brytyjska. Ma ponad 600 tys. mieszkańców, zespół miejski (Greater Vancouver) – ponad 2,3 mln mieszkańców. Jest trzecim co do wielkości miastem Kanady. Otoczone z trzech stron wodą, sąsiaduje ze stromymi stokami gór wznoszących się ponad 1500 m n.p.m. Port dał nie tylko początek miastu, ale zawsze stanowił o jego bogactwie. Vancouver jest ważnym ośrodkiem naukowym – działają liczne szkoły wyższe, instytuty naukowo-badawcze i uniwersytety. W Vancouver znajduje się 180 parków, a najsłynniejszy z nich to Park Stanleya.

Z otwartymi ramionami przyjęła ich społeczność żydowska. Lecz pomimo życzliwości, z jaką spotkali się po przyjeździe do Vancouver, nie od razu tutaj się zadomowili.

Gina wspomina: „Wynajęliśmy kąt do zamieszkania, pusty pokój, a na podłodze stał telefon. Bagaż wysłany z Warszawy dotarł częściowo uszkodzony. Odnosiło się wrażenie, że ktoś z premedytacją chciał nam dokuczyć – z każdej pary obuwia zostawiono po jednym bucie. Może to był żart, a może złośliwość? Kanadyjska linia lotnicza zrekompensowała nasze straty. Osoby z najbliższego otoczenia dzieliły się z nami tym, czym mogły i w ten sposób zgromadziliśmy trochę rzeczy. Przypomniałam sobie Leninogorsk – stół i łóżko, to wszystko, co mieliśmy i po chwili zachnęłam się; jak można porównywać kwitnący raj w Vancouver z barakiem stojącym na bezludnej ulicy w Drugim Rejonie!”.

Do kłopotów finansowych (przyjechaliśmy bez grosza przy duszy i z długami) doszło zmartwienie o syna, którego nie chciano wypuścić z Polski, a jednocześnie już po służbie w wojsku nie przyjmowano go do pracy. Sasza bombardował listami Ministerstwo Spraw Zagranicznych Polski, walcząc o pozwolenie wyjazdu dla Salka. Trzeba oddać sprawiedliwość polskim władzom: spełniły one swoją obietnicę i po roku pozwoliły mu wyjechać z kraju. Wkrótce dołączył do rodziców.

W międzyczasie Dimantowie intensywnie poszukiwali pracy, mając się różnych zajęć.

Przez pierwsze dwa lata Gina sprzątała w prywatnych domach i opiekowała się starszymi osobami. Po wielu latach pracy biurowej w Polsce nie była przyzwyczajona do takich zajęć, jednak wykonywała je z pokorą. Pamiętała słowa, które słyszała będąc już tu, w Vancouver, od pewnej starszej pani, byłej emigrantki: „Nawet jeśli przyjdzie łopata machać, bądź i za to wdzięczna”. Gina nauczyła się cieszyć z każdej pracy. Wciąż jednak nie ustawała w poszukiwaniu zajęcia odpowiadającego jej doświadczeniu i kwalifikacjom. Postanowiła spróbować szczęścia w dziale administracyjnym Uniwersytetu Brytyjskiej

Kolumbii. Odmówiono jej. I wtedy w Ginę diabeł wstąpił; zdecydowała, że nie wyjdzie z sekretariatu, dopóki kierownik z nią nie porozmawia. Sekretarka, zachowując niezwykle grzecznie, próbowała ją wyprosić, ale Gina nie dawała za wygraną. W końcu sekretarka poddała się, anonsując Ginę przełożonemu: „To jest pani, która nie przyjmuje odpowiedzi «nie». I wyobraźcie sobie, że po krótkiej rozmowie z kierownikiem zatrudniono ją w dziale finansowym. Było to w 1973 roku, lecz od tamtej pory przez wszystkie lata jej pracy na uniwersytecie pamiętano, że Gina nie uznaje słowa „nie”. Była cenionym pracownikiem – w liście pożegnalnym z okazji przejścia na emeryturę podziękowano jej za wielki talent organizacyjny, sumienność, oddanie pracy.

Sasza w poszukiwaniu pracy rozesłał do różnych instytucji kilkaset egzemplarzy CV. Jednak pozytywne odpowiedzi nie nadchodziły. Przyzwyczajony do tego, że to on jest głównym żywicielem rodziny, nie ustawał w staraniach. Pukał do wszystkich możliwych drzwi proponując swoją wiedzę i doświadczenie księgowo-ekonomiczne. Szczęście uśmiechnęło się do niego dopiero w 1973 roku. Przypadek zaprowadził go do firmy Sztajna, Żyda z Polski, który zdołał ocaleć podczas okupacji w Łodzi. Postanowił pomóc Saszy. Zapytał: „Kiedy pan może przystąpić do pracy?”. A Sasza wypalił: „Natychmiast”.

Po kilku latach Sasza otworzył własną firmę księgową, która świetnie prosperowała, a to przełożyło się na pomyślność finansową Dimantów. Nigdy jednak nie zapomnieli tego bardzo trudnego okresu, który ten dobrobyt poprzedził.

Biznesmen z Łodzi, z którym los tak szczęśliwie zetknął Saszę, nie był jedynym, który po tragedii Holocaustu znalazł w Vancouver przystań. Sasza i Gina nie dobierali sobie przyjaciół według określonych kryteriów: imigrant z Polski, Żyd, ocalony – tak się samo ułożyło. Tych ludzi jednoczyły tragiczne losy, straty, które ponieśli i ojczyzna polszczyzna, dla innych może zbyt

szeleszcząca, świszcząca, sycząca, a dla nich kochana i pieszcząca słuch. W języku polskim dzielono się bolesnymi wspomnieniami i wesołymi żartami.

Pierwszą osobą, którą poznali w Vancouver, był lekarz Leon Komar.

Gina opowiada: „Sprawa wyglądała tak. W drodze z Rzymu zachorowałam i musieliśmy zatrzymać się na jeden dzień w Montrealu – tam mieliśmy przesiadkę. Nie mogliśmy zawiadomić gminy żydowskiej w Vancouver o zmianie daty naszego przylotu, dlatego na lotnisku nikt nas nie witał. Wezwaliśmy taksówkę i pojechaliśmy do hotelu. Wieczorem bardzo źle się poczułam. Sasza zadzwonił się do gminy żydowskiej i poprosił o lekarza: «Bardzo proszę, to pilne, i jeszcze proszę o lekarza mówiącego po polsku lub jidysz». I znalazł się ktoś taki, kto znał oba te języki. Był to Leon Komar, który stał się naszym nieodłącznym przyjacielem do samej jego śmierci”.

Znacznie później Leon spisał swoje wspomnienia pełne przygód, podróży, strat (większość jego krewnych zginęła w czasie wojny w Polsce), ale i sukcesów, z których największym był ten, że przed wojną podjął studia medyczne w Anglii i uniknął piekła *Szoah*. Doktor Komar w swoich wspomnieniach przywołuje także nazwisko Dimantów nazywając ich nie inaczej, jak „cudownymi ludźmi o złotych sercach”.

Krąg ich przyjaciół był z pewnością otwarty i dla Polaków. Dimantowie nie różnicowali ludzi ze względu na pochodzenie narodowościowe czy etniczne. Jedynym zasadniczym kryterium był człowiek. W miarę upływu lat utworzyło się grono ciekawych ludzi o różnych, niepowtarzalnych życiorysach.

Gina podkreśla: „Nasz dom był otwarty dla tych, którzy chodzili do synagogi i kościoła, a także dla tych, którzy nie chodzili ani do kościoła ani do synagogi... Wspieraliśmy się dobrym słowem po polsku, rozumieliśmy się. Oderwani od ojczyzny, całym naszym życiem mówiliśmy sobie i innym: «Cokolwiek przeżyliśmy, żyjemy...».

Ważnym wydarzeniem w życiu Dimantów był ślub ich syna w 1974 roku. Rosalie Neuwirth okazała się wspaniałą żoną i matką dwójki cudownych dzieci:

Dova i Sally. Córka tych, którzy przeżyli Holocaust w Polsce, Rosalie urodziła się w Kanadzie. Zdobyła wykształcenie w dziedzinie pedagogiki specjalnej i zajęła się nauczaniem dzieci niepełnosprawnych, oddając temu szlachetnemu zajęciu całe swoje siły. Salek pracował początkowo jako taksówkarz. Mówił: „Nie ma lepszego sposobu na poznanie miasta, w którym wypadnie mieszkać przez całe życie”. Z czasem znalazł swoje powołanie, otworzył własny biznes i bardzo pomyślnie go rozwijał.

Niezależnie od tego, co działo się w życiu Giny i Saszy, oni swoją główną misję życiową upatrywali w zachowaniu pamięci o ofiarach Holocaustu. Ciągłe przypominanie o katastrofie drugiej wojny światowej traktowali jako swoją powinność i przestrożę przed rozlewem krwi i eksterminacją jednego narodu przez inny. Próbowali dociec przyczyn: ekonomicznych, politycznych i psychologicznych bestialstwa, które jak coś diabelskiego omotało i przyćmiło rozsądek Europy. W pracach badawczych naukowców i opowiadaniach świadków poszukiwali prawdy o tej haniebnej i tragicznej historii. Zebrali bardzo ciekawą kolekcję książek o przedwojennej przeszłości Żydów w Polsce i ich losie w czasie wojny – w języku polskim, angielskim, a także w jidysz. Nigdy nie uciekali od trudnych spraw i nieustannie, z wielką odwagą, zagłębiali się w cierpienia prześladowanego narodu. Może w ten sposób kompensowali poczucie winy, że przeżyli. Albo próbowali ukoić dręczący wciąż ból.

Niektóre książki z tej bogatej biblioteki zostały przywiezione przez Dimantów w emigracyjnym bagażu – „żartownisie” celnicy nie połakomili się na nie. Inne nabywali w antykwariatach, przeważnie w Polsce, zwłaszcza gdy w połowie lat siedemdziesiątych pojawiła się możliwość wyjazdów do kraju.

W kolekcji Dimantów są rzadkie, nawet unikatowe wydania, między innymi książki napisane w jidysz i opublikowane przez Centralną Żydowską Komisję Historyczną, która w latach 1944-1947 wzięła na siebie trud zbierania literackich dokumentów Holocaustu: powstałych w getcie, po aryjskiej stronie,

w obozach koncentracyjnych i uratowanych – często z narażeniem życia – przez autorów lub ich przyjaciół.

Książki wydawano w małym nakładzie – po co drukować w większym, skoro czytelników prawie nie zostało?

Sasza czytał te książki w samotności, głęboko przeżywając ich treść. Chciał dotrzeć do istoty rzeczy. Analizował słowo po słowie. Jidysz, którym doskonale władał w młodości, teraz sprawiał mu trochę kłopotów, ale z determinacją pokonywał je, jakby chciał udowodnić i przekonać innych, że ten język nie jest martwy, jak się przyjęło o nim mówić po wojnie, że wciąż jest żywy.

Wśród tych książek są wspomnienia Bera Ryczywoła „Jak przeżyłem okupację niemiecką”, będące podróżą w przeszłość człowieka, który wyrwał się z getta warszawskiego, latami tułał się i przetrwał, udając Polaka, głuchoniemego, innym razem nędzarza...⁶².

Sasza zawsze dzielił się z Giną, która nie знаła języka żydowskiego, wyczytanymi z książek świadectwami tułaczy i uciekinierów. Pokazywał jej fragmenty książki Friedy Zerubavel „Zapiski uchodźcy z Polski”⁶³, czytał na głos urywki poematu „Idź stąd” Simchy Bunima Szajewicza⁶⁴, napisanego w łódzkim getcie w lutym 1942 roku. Poeta opowiada w nim córce o prześladowaniach, jakich doświadczał żydowski naród w całej swojej historii. Jakby przeczuwając swoją rychłą śmierć, nie pozostawił czytelnikowi nawet odrobiny nadziei. Nie znał odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się stało, dlaczego okrucieństwo okazało się silniejsze od rozumu, a bestialstwo silniejsze od człowieczeństwa. Sasza Dimant szukał odpowiedzi na te same pytania i także ich nie znajdował.

⁶² Ryczywół B., *Vyazoy ikh ibergelebdt di Daytshn*. [Jak przeżyłem niemiecką okupację]. Łódź 1949.

⁶³ Zerubavel F., *Na V'nod. Fartseykhnungen fun a pleyte*. [Zapiski uchodźcy z Polski]. Tsentral-farband fun poylishe yidn in Argentine. Bwenos Eyres 1947.

⁶⁴ Simcha Bunim Szajewicz, . *Lech Lecho*. [Idź stąd]. Tsentral komitet fun di yidn in poyln. Łódź 1946.

Szczególne miejsce wśród rarytasów zajmuje śpiewnik „Nasze piosenki” zawierający teksty 90 piosenek w języku hebrajskim i jidysz wraz z tekstami i nutami ⁶⁵. Na marginesach zrobione są czyjaś ręką notatki. Ojciec sprezentował śpiewnik wybierającej się w daleką podróż Ginie, żeby nigdy nie zapomniała o dużej rodzinie Wejgsmanów, która tak bardzo lubiła śpiewać. Kupił śpiewniczek wydany ku pokrzepieniu serc Żydów ocalonych z Zagłady i dla ich odrodzenia (wydany tuż po zakończeniu wojny przez Centralny Komitet Żydów Polskich). Gina nie pamięta, żeby rodzina w szczecińskim domu śpiewała. W Vancouver także nie korzystano ze śpiewnika, ale Dimantowie często zdejmowali go z półki i dotykali tak, jak dotyka się odległą i szczęśliwą przeszłość. Był to drogocenny bagaż przywieziony z Polski.

W bibliotece Dimantów znajdują się zamówione przez Saszę i Ginę kopie „Gazety Żydowskiej” („*Jidische Cajtung*”).

Gazeta ukazywała się w okupowanej Polsce w getcie warszawskim od 23 lipca 1940 roku do 28 sierpnia 1942 roku. Wydawano ją w języku polskim, widocznie Niemcom łatwiej było kontrolować w ten sposób zawarte w niej treści. W istocie był to półoficjalny organ Rady Żydowskiej (*Judenrat*), ale okupanci pozwalali na jego wydawanie, wykorzystując go dla własnej propagandy, przekazując mieszkańcom getta informacje o zwycięstwach wojsk niemieckich na różnych polach walki.

Dlaczego Sasza przechowywał kopie właśnie tej gazety i z określonych dat: 1 lipca 1942, 15 lipca 1942, 7 sierpnia 1942? Czego szukał na pozółkłych stronach? Wspomnień o członkach swojej rodziny obróconych w popiół, jakby ich nigdy nie było na ziemi? Przypadkowej notatki, która doprowadziłaby na ich ślad? Czy dowiadywał się, jak żyli w getcie – przecież w gazecie było dużo ogłoszeń, które dają pojęcie o tym, co tam się działo? Na przykład o tym, że w dzielnicy żydowskiej wydawano kartki żywnościowe, kapustę kiszoną? O pracy

⁶⁵ *Undzer Gezang* [Nasze pieśni]. Tsentral komitet fun di yidn in poyln. Opteylung far kultur un propaganda, 1947. Gina po śmierci Saszy przekazała niektóre rzadkie książki do Archiwum Centrum Edukacji o Holocauście w Vancouver, gdzie są przechowywane.

restauracji i odbywających się tam dancinгах i usługach czyszczenia kapeluszy? O katastrofalnym stanie sanitarnym, walce z pchłami i o tym, że lekarze mieli ręce pełne roboty? O działalności *Judenratów* w Warszawie i innych miastach? O tym, że życie w getcie wciąż trwało...

Nie znajdował drogich sercu imion, ale przynajmniej próbował sobie wyobrazić krewnych w opisywanych przez prasę warunkach życia. Rozumiał, że prawda ma w tym przypadku wymiar jedynie ziarenka piasku, ale myślał: „Lepsze to, niż nic, nawet lepsze od badań naukowych. Ta gazeta była tam i możliwe, że trzymał ją w swoich dłoniach mój ojciec...”.

Z książkami Dimantów związany jest jeszcze jeden ważny epizod ich życia.

Z kolejnej podróży do Polski Sasza przywiózł poemat Icchaka Kacnelsona⁶⁶ „Pieśń o zamordowanym żydowskim narodzie”. Gina i Sasza co nieco wiedzieli o życiu poety. Ale dzieła będącego pożegnaniem Kacnelsona z własnym narodem, nie czytali. I wreszcie jest w ich rękach.

Pewnego dnia, w spokojnej chwili Sasza powiedział do Giny: Pamiętasz „Ulicę Miłą” Broniewskiego? „Oczywiście” – odpowiedziała Gina, która doskonale pamiętała ten wiersz; przecież w 1947 roku za jego sprawą Sasza znalazł ścieżkę do jej serca. Teraz Sasza mówił: „To smutny wiersz o tym, jaką ulicą była Miła, kiedy mieszkaliśmy na Muranowie... Żal, że literacka legenda ulicy mojego dzieciństwa miała w czasie wojny taki straszny ciąg dalszy. Oto słowa bólu o tym, jaką była w tym czasie, gdy my trwaliliśmy na Sybirze. Przetrwaliliśmy, nie zginęliśmy... Nie zginęliśmy.

Posłuchaj, jak o Miłej pisał Kacnelson:

⁶⁶ Icchak Kacnelson (1886-1944). Razem z żoną i trzema synami znalazł się w warszawskim getcie, po czym żona z dwoma synami została deportowana do Treblinki, a ojciec i starszy syn brali udział w powstaniu w getcie. Później Kacnelson ukrywał się po stronie aryjskiej, następnie został wywieziony do obozu w Vittel we Francji. Chcąc uchronić dla potomności swój poemat, napisany w Vittel pod koniec 1943 r. zakopał go w butelce na terenie obozu tuż przed deportacją. Poeta zginął w komorze gazowej w Oświęcimiu, ale poemat ocalał. Wykopała go przyjaciółka poety Miriam Novitch w momencie wyzwolenia obozu przez aliantów 12 września 1944 r.

Jest taka ulica w Warszawie, zwie się ulica Miła.
Wyrwijcie serce, co krzyczy,
Zastąpcie je zimnym kamieniem! Oślepcie swe
oczy widzące, wyłupcie je spod swych powiek!
Nakryjcie je skorupami, byście nic widzieć nie
mogli i nie wiedzieli o niczym!
Zatkajcie uszy najmocniej i ogłuchnijcie na
chwilę! O Miłej ulicy opowiem.

Jest taka ulica w Warszawie, ulica Miła... Kto
płacze? To nie ja. Płacz we mnie zamilkł.
Ulica Miła jest ponad łzy wszelkie, nie płaczą
Żydzi. Inni zapłakać mogą.
Gdyby to mogli zobaczyć ludzie dalecy i obcy,
gorzkimi płakaliby łzami.

Ale prócz nas tam, na Miłej, w getcie na Miłej
ulicy nie było wtedy nikogo.

...

Widziałem to – nic nie mówcie, zostawcie mnie,
nie pytajcie: co? kiedy? gdzie? i – dlaczego?
Ja was zaklinam: O, niechaj nikt mnie o Miłą
ulicę nigdy nie pyta więcej!⁶⁷

Gina mówi: „Tego czytania nie można zapomnieć. Przeżywszy z Saszą
czterdzieści lat, dzieląc z nim dni powszednie i świąteczne – nigdy nie

⁶⁷ Icchak Kacnelson. *Pieśń o zamordowanym narodzie żydowskim* [jid. פֿון דײַל דאָס טע'אויסגעהאַרג ייִדישען נאַָלֿק Dos lid fun ojsgehargetn jidiszen folk]. Poemat został przetłumaczony na język polski przez Jana Leńskiego i następnie poetycko przełożony przez Jerzego Ficowskiego.

rozstając się – dopiero w tamten wieczór tak naprawdę zrozumiałam, jak bardzo nie do wykorzenia jest ból wojennej tragedii, który nosił w sobie”.

Dimantowie często odbywali podróże do Europy. Sasza nazywał je „wyjazdami nie dla przyjemności, a w imię pamięci”. Byli w Niemczech, w Berlinie zatrzymali się na chwilę przy Reichstagu i przy pomniku Żołnierza Wyzwolicielea w parku Treptow, w Holandii odwiedzili Muzeum Anny Frank, jakby szukali odpowiedzi kata i ofiary na dręczące ich pytania.

Sasza pojechał również do Rosji. Jednak do Bajdajewki, gdzie znajdował się jego obóz pracy, nie dotarł. W późniejszych latach pisał do radzieckich archiwów, dopraszał się dokumentu potwierdzającego, że był w obozie. Czym powodowany był jego upór? Chęcią przywrócenia sprawiedliwości choćby w formie potwierdzenia przez państwo rosyjskie faktu istnienia takich obozów? Może chciał otrzymać poświadczenie, gdzie będzie napisane czarno na białym, gdzie i jak minęły jego młode lata? A może chciał po prostu się przekonać, że w Rosji naprawdę dokonały się zmiany, skoro jego prośby nie zignorują i przyślą taki papier.

Gina i Sasza przyjeżdżali oczywiście także do Polski. Dopóki żyli rodzice, odwiedzali ich, byli w takich chwilach szczęśliwi – co może być miłszego od ciepła domu rodzinnego? Spotykali się z przyjaciółmi, rozkoszowali się językiem ojczystym, podtrzymywali stare i nawiązywali nowe znajomości.

Co ciekawe, ani Gina, ani Sasza nie byli zawodowo związani z historią, nie pisali artykułów lub książek, a przyjaźnili się właśnie z historykami i dziennikarzami, których ujmowało prawdziwe zainteresowanie Dimantów historią polsko-żydowską, szczególnie dotyczącą ostatniej wojny. Gina i Sasza utrzymywali trwające wiele lat kontakty z Marianem Turskim, wiceprezesem Żydowskiego Instytutu Historycznego, ze znaną dziennikarką Krystyną Nastulanką, współpracującą z tygodnikiem „Polityka” i publikującą na jej łamach znakomite wywiady z pisarzami i uczonymi. Mieli także bardzo dobre relacje z Adamem Rokiem, redaktorem czasopisma „Słowo Żydowskie” („*Dos*

Jidisze Wort”), które wówczas było jedynym pismem w Polsce w całości poświęconym tematyce żydowskiej. Dimantowie w miarę możliwości wspierali je finansowo. Szczególnie ciepłe relacje łączyły ich z dziennikarką tego czasopisma Marylą Komar-Zalejską, która przeżyła wojnę w Polsce najpierw w getcie w Warszawie, a później po aryjskiej stronie. Maryla była dla nich źródłem autentycznej, z pierwszej ręki informacji, której tak byli spragnieni.

Niestety, nie mamy dostępu do listów Dimantów do Maryli Komar, ale jej odpowiedzi zachowały się wszystkie co do jednej. Dają one pełny obraz ofiarności i pasji, z jaką Gina i Sasza szukali jakichkolwiek zachowanych śladów zdarzeń w getcie. Maryla rozumiała ich cierpienia. W korespondencji z nimi opisywała swoje przeżycia, mając nadzieję, że tym sposobem uśmierzy ich ból. Opisywała, że gdy w getcie pojawiali się Niemcy, uciekała na strych i chowała się pod ciężką trumną leżącą dnem do góry. „Niebezpieczni goście” unosili ją lekko i nawet nie odsuwali. Maryla sprytnie chowała się z jednej strony trumny podciągając nogi pod podbródek w taki sposób, by pozostać niezauważoną i w ten sposób ratowała się przed Niemcami.

Opowiadała, że żeby wyjść z getta, musiała wszyć futrzany kołnierz płaszcza w szalik, bowiem Żydzi mieli obowiązek oddawać futra Niemcom. Płaszcz z odprutym kołnierzem futrzany automatycznie świadczył o tym, że jego właściciel jest Żydem. Z drugiej strony futrzany kołnierz płaszcza mówił o tym, że jego posiadacz nie jest Żydem, więc po wyjściu z getta Maryla musiała natychmiast wypruć szalik z kołnierza.

W taki przemyślny sposób Żydzi ratowali swoje życie.

Maryla w swoich listach zawsze podkreślała, że wielu Polaków pomagało Żydom przetrwać ten straszny czas; jej samej katolicki ksiądz pomógł znaleźć pracę w charakterze gosposi w polskim arystokratycznym domu.

Ci wspaniali ludzie ukrywali u siebie młodego początkującego pisarza Kazimierza Brandysa, który z czasem stał się bardzo znany. Wszyscy domownicy, łącznie z dziećmi i całą służbą, wiedzieli kto u nich mieszka i nikt

nikogo nie wydał. Ojciec Maryli, który przeżył Majdanek i Dachau, został uratowany także przez Polaka, który własnoręcznie wykopał dla niego piwnicę i tam jej ojciec przesiedział do końca wojny. I przeżył. Natomiast pozostali członkowie rodziny Maryli zniknęli na zawsze. Według jej obliczeń, zginęło co najmniej 15 osób, i to najbliższych krewnych, nie licząc ich rodzin i dzieci.

W spokojnym i przyjaznym Vancouver Gina i Sasza zawsze czekali na listy od Maryli, chociaż zdawali sobie sprawę, że ich czytanie sprawi im ból. Maryla pisała: „Opuściłam getto w połowie marca 1943 roku – parę tygodni przed Powstaniem. Patrzałam na dym bez przerwy unoszący się nad płonąca żydowską dzielnicą i musiałam tłumić łzy i rozpacz, żeby się nie zdemaskować. A przecież tam byli moi najbliżsi: ojciec, matka, babka...”.

Takie jej słowa sprawiały, że Dimantowie wciąż wracali do strasznej przeszłości, ale był to swego rodzaju oczyszczający powrót.

Czytając te listy, nieustannie myśleli o tym, w jaki sposób można zachować pamięć o Holocauście dla przyszłych pokoleń.

W 1993 roku Sasza pojechał do Polski, aby wziąć udział w uroczystości poświęconej 50. rocznicy Powstania w Getcie Warszawskim. Wrócił z przekonaniem, że należy zorganizować w Vancouver wieczór pamięci ofiar powstania. Zwrócił się z tą sprawą do Centrum Edukacji o Holocauście, gdzie spotkał się z pełnym zrozumieniem i poparciem. Był tam dobrze znany; aktywnie wspierał swego czasu ideę powstania Centrum, jak i pomnika na cmentarzu *Schara Tzedeck* ku czci pomordowanych, na którym zostały wyryte imiona także jego bliskich.

Program wieczoru przygotowany przez Dimantów był bardzo obszerny i obejmował wystawę, konferencję, podjęcie gości z Warszawy, spotkania, pożegnania. Można tylko domyślać się, jakim nakładem pracy i sił udało im się udźwignąć ogromny ciężar całego przedsięwzięcia, nawet jeżeli zrobili to przy pomocy całej rodziny.

Na uroczystości do Vancouver przyjechali: Władysław Bartoszewski, znany polityk i historyk, były więzień obozu w Oświęcimiu, uczestnik Powstania Warszawskiego, Marian Turski, wiceprezes Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, Adam Rok z czasopisma „Słowo Żydowskie”, a także Krzysztof Kasprzyk, pierwszy Konsul Generalny RP w Kanadzie Zachodniej i inni.

Wieczór odbył się 18 kwietnia 1996 roku. Otwarcia dokonał Aleksander Dimant, a jego opowieść o tragicznej historii polskich i europejskich Żydów była głęboko osobista; mówił o swojej rodzinie, ulicy szczęśliwego, chociaż biednego dzieciństwa, do którego powrotu już nie było: „Nie ma już w Warszawie ulicy Miłej i nie ma żydowskiej dzielnicy. Zamiast nich – tylko stos popiołu. Mój świat – to także sterta gruzów. Dom mego dzieciństwa stał na ulicy Miłej 18, gdzie teraz jest tylko pagórek, kopczyk ziemi, pod którym znajdował się bunkier przywódców Powstania w Getcie Warszawskim. W nim właśnie dowódcy Powstania popełnili samobójstwo... Zginęli, lecz nie poddali się”.

Uczestnicy spotkania; starsze osoby, które przeżyły wojnę i młodzi, na szczęście znający wojnę jedynie z podręczników historii, słuchali z zapartym tchem. Była to prawdziwa manifestacja jedności, dowód na to, że Holocaust dotyczy nie tylko tych, którzy go przeżyli, nie tylko wszystkich Żydów, ale wszystkich ludzi, dla których moralność nie jest pustym słowem.

Podczas tego wieczoru myśli obecnych kierowały się ku przeszłości – w imię lepszego jutra. Możliwe, że te słowa brzmią zbyt patetycznie, ale wobec uroczystości w Vancouver są one jak najbardziej na miejscu. Każdy, kto brał w niej udział, był poruszony, bowiem prawdziwe i szczerze uczucia nikogo nie zostawiają obojętnym.

Dom na West-Side

Uskrzydleni sukcesem wieczoru poświęconego 50-leciu Powstania w Getcie Warszawskim, Gina i Sasza marzyli o tym, by zająć się nowym projektem – chcieli sprowadzić do Vancouver wystawę fotograficzną pod tytułem „I ciągle widzę ich twarze”, przygotowaną staraniem Fundacji „Shalom” w 1995 roku. Wystawa osiągnęła olbrzymi sukces. Jej organizatorzy pisali, że dzięki starym, przedwojennym fotografiom Żydzi z Polski “odkrywali swoją historię, przerwana w pół słowa”. Dimantowie przekuwali marzenia w plany, a plany w czyny. Nie ma wątpliwości, że projekt byłby zrealizowany, gdyby nie nagła śmierć Saszy 9 marca 1998 roku.

Dimantowie mieli jeszcze jedno marzenie – pragnęli upamiętnienia Janusza Korczaka, lekarza, pisarza, pedagoga, wybitnego obrońcy praw dzieci,

W domu Dimantów Janusz Korczak zawsze był obecny. Gina i Sasza przywieźli z Polski film Andrzeja Wajdy „Korczak”, który wywarł na nich niezatarte wrażenie. Kupowali książki jego autorstwa, a także te, które napisano o nim. Sasza nawet zamówił w Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie ocalone przypadkowo kopie wypracowań dzieci z Domu Sierot. „Poza tym – mówi Gina – w każdej książce o *szoah* Janusz Korczak był wymieniany jako historyczna postać i symbol poświęcenia. Nic w tym dziwnego – nie tak znów dużo jest na świecie przykładów oddania. Pewnego razu Sasza przeczytał w książce Izabeli Gelbard wiersz pod tytułem „Żałobna pieśń o Januszu Korczaku”, w którym autorka opisała jego ostatnią drogę wraz z dziećmi z Domu Sierot na stację kolejową *Umschlagplatz*, skąd odjeżdżał transport z Żydami do Treblinki:

„– mury patrzeć nie chciały
– kamienice płakały.

...

O sieroty żydowskie – całe mienie w torebce
Niezliczone szeregi słabych nóżek tu drepce.

...

Bóg opuścił ... A Korczak? On pozostał dziś z wami ...

...

Janusz Korczak ostatnim spojrzeniem

Śmierć ich złożył na ludzkie sumienie”.⁶⁸

Epizod ten opisano w literaturze setki, jeśli nie tysiące razy, ale Saszę szczególnie poruszył fakt, że utwór I. Gelbard był opatrzony październikową datą 1942 roku – ledwie w dwa miesiące po tym tragicznym zdarzeniu. Tego rodzaju autentyczne świadectwa on cenił najbardziej.

Później nosił się jeszcze z zamiarem wydania przekładu „Wspomnień” Ireny Szmigielskiej, która w latach 1932 –1936 była korespondentką gazety dziecięcej ”Mały Przegląd” i знаła Janusza Korczaka osobiście⁶⁹. Niestety, nie sądzono było Saszy zrealizować ten zamiar.

Następnie zrodził się pomysł nadania imienia Janusza Korczaka żydowskiemu przedszkolu lub jednemu z oddziałów szpitala dziecięcego w Vancouver. Dimantowie nie znaleźli w tej sprawie zrozumienia. Widać społeczność miasta nie była jeszcze na to gotowa.

W tym miejscu chciałabym zrezygnować z anonimowości właściwej narratorowi tej książki.

W związku z moim wieloletnim doświadczeniem, wynikającym z uczestnictwa w światowym ruchu korczakowskim wiedziałam, że w każdym

⁶⁸ Gelbard I., Stachowicz - Czajka. *Pieśń żałobna o Januszu Korczaku* [w] *Pieśni żałobne Getta*. Katowice 1946, s. 14-15. Gelbard Irena (1893-1969), muza wielu polskich pisarzy i malarzy w dwudziestoleciu międzywojennym, szczęśliwie uniknęła śmierci z rąk nazistów. Jej książka “Pieśni żałobne getta”, jak pisała sama autorka, nie jest przykładem bardzo dobrej poezji...”Wiersze te powstawały, gdy były lata głodu, lata bezustannego przemieszczania się z miejsca na miejsce. Z miejsca na miejsca przenosiłam stosik karteczek, który chowałam pod sukienką. Karteczki zawsze były ze mną, czy jechałam pociągiem, czy furmanką, czy chowałam się na strychu lub w lesie... Rozumiałam, że jeśli je znajdą... groziła mi pewna śmierć, ale na przekór zagrożeniu, nie rozstawałam się z nimi ani na chwilę. Przeżyłam, a wraz ze mną moje pieśni. Wszyscy, o których piszę, byli moimi przyjaciółmi. Wśród nich nie ma żadnej fikcyjnej postaci. Staralam się być wierna ich życiu, a jeżeli chodzi o ich śmierć, to ja ją widziałam na własne oczy”.

⁶⁹ W Szwecji “Wspomnienia” wydano w 1991 r. W Polsce ukazały się pod tytułem *Skradzione lata* w Warszawie w 2001 r.

dużym mieście na ziemi, od Nowego Jorku i Paryża do Rio de Janeiro i Delhi, zawsze znajdzie się przynajmniej jedna osoba, która czci pamięć Janusza Korczaka. Nie wątpiłam, że znajdę taką osobę także w Vancouver. Zwróciłam się do Centrum Edukacyjnego i natychmiast otrzymałam numer telefonu do rodziny Dimantów. Jednak nie od razu zadzwoniłam. Wahałam się, kilka razy podchodziłam do aparatu telefonicznego. Moje wahanie spowodowane było uczuciem nieśmiałości – przecież to były moje pierwsze dni w nowym kraju, na nowym kontynencie. Wreszcie zdecydowałam się. Telefon odebrał „mister Dimant”, który od razu przeszedł w rozmowie ze mną na mój ojczysty, wyjątkowo poprawny język rosyjski. Powiedział, że został uprzedzony o tym, że będę dzwoniła i niecierpliwie czekał na kontakt ze mną, krążąc nieustannie wokół telefonu. W domu na West-Side byłam dosłownie po godzinie od rozmowy telefonicznej. Zostałam przyjęta niezwykle serdecznie, poczęstowano mnie przepyszными racuszkami z bananami. Z entuzjazmem opowiadałam o wieloaspektowej działalności Rosyjskiego Towarzystwa Janusza Korczaka, którego byłam założycielką i pierwszym prezesem aż do wyjazdu z Rosji do Kanady. Byłam zaskoczona, kiedy dowiedziałam się, że w Kanadzie nie ma do tej pory takiej organizacji, a jest to kraj, w którym przywiązuje się ogromną wagę do praw człowieka. Idea powstania takiej organizacji społecznej w Vancouver zrodziła się podczas naszej dyskusji spontanicznie, w sposób bardzo naturalny, oczywisty. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był to ten przypadek, o którym mówią: nie ma niczego silniejszego, niż idee, na które przyszedł już właściwy czas. Janusz Korczak, który zdaje się zdążył w swoim życiu przemyśleć wszystkie ważne sprawy tego świata, pisał o ideach, które dosłownie wiszą w powietrzu jak susząca się w słońcu bielizna. Wystarczy tylko podejść i zdjąć ją. Jednym słowem, to, co wydarzyło się między Saszą, Giną a mną, to był ten właściwy moment, gdy spotkały się przypadek i odpowiedni czas na podjęcie działań.

Można powiedzieć, że idea utworzenia Towarzystwo Janusza Korczaka dotarła drogą okrężną do Kanady...z Rosji. Chociaż znając głębokie i uniwersalne przesłanie filozofii wielkiego pedagoga, wcześniej czy później mogłaby ona dotrzeć z każdego innego miejsca na kuli ziemskiej.

Gina z dużym zapalem zabrała się do pracy. Zaangażowała wielu starych przyjaciół i znajomych, których zawsze miała wokół siebie. Wkrótce powstało Kanadyjskie Towarzystwo Janusza Korczaka, które w 2002 roku zarejestrowano jako organizację charytatywną.

Pierwszy wieczór Towarzystwa poświęcony pamięci Aleksandra Dimanta odbył się 14 listopada 1999 roku w zapełnionej do ostatniego miejsca Sali Teatru Normana Rothstejna, należącego do Wspólnoty Żydowskiej. Sasza, niestety, tego dnia nie doczekał. Była to niepowetowana strata dla Towarzystwa, a przede wszystkim dla Giny; przeżyli razem bez mała 50 lat w wielkiej przyjaźni i zgodzie, kochali się i darzyli szacunkiem.

A dalej to już się potoczyło.

Można powiedzieć bez fałszywej skromności, że razem z Giną „wychodziłyśmy” wystawę pt. „Korczak i Dzieci Warszawskiego Getta”, aby pokazać ją w Centrum Edukacji o Holocauście. Przekonywałyśmy, nalegałyśmy i oto nasze starania przekształciły się w sukces. Wystawę otwarto w 2002 roku i od tamtej pory była wielokrotnie podziwiana w różnych miejscach w Vancouver, a także w innych miastach kanadyjskich i nawet za granicą.

Gina, stały członek zarządu Towarzystwa, jedna z najbardziej aktywnych organizatorek wszystkich kolejnych przedsięwzięć: zebrań, wykładów, zbiorów darów dla domów dziecka w Polsce, kwesty na pomnik Janusza Korczaka w Warszawie i Ireny Sendler w Otwocku, gromadzenia rysunków dziecięcych na międzynarodową wystawę „Mój świat i ja”, itd., itp.

Wreszcie należy podkreślić, że wraz z pojawieniem się Towarzystwa Janusza Korczaka w Vancouver znacząco ociepliły się relacje między miejscowymi Polakami i Żydami – w znacznej mierze dzięki Ginie, której dom

był zawsze szeroko otwarty dla wszystkich: Kanadyjczyków z długą historią osiedlenia w tym kraju, emigrantów nowych i weteranów, ludzi młodych, starych, Żydów, Polaków, Rosjan – dla różnych osób.

Po odejściu Saszy strażniczką ogniska domowego została Gina, która nadal podtrzymuje atmosferę domu z dawnych lat. Bywają tutaj, jak zawsze, znakomitości i ludzie zupełnie nieznani.

U Giny wielu gości, zarówno Polaków, jak i Żydów, po raz pierwszy skosztowało żydowskiego dania czulent⁷⁰. o którym do dziś krążą różne powiedzonka, np. „Życie, jak czulent – co włożysz, to i zjesz”. Co ciekawe, inne stare powiedzenie „Z nim można tylko zjeść czulent”, określające człowieka, którego nikt nie chce przyjąć do swojego kręgu, zostało w domu Giny „po dimantowski” uwspółcześnione – tym daniem gospodyni podejmuje właśnie tych, na których czeka z niecierpliwością, a i sam czulent jak gdyby czeka na gości w piekarniku, i to na wiele godzin przed rozpoczęciem kolacji.

Giny nie załamało i nie zmieniło prawdziwe nieszczęście – przedwczesna śmierć jej jedynego syna Salka, który odszedł 1 maja 2002 roku.

Wszystko w tym domu pozostaje tak jak było – bardzo stara menora, chanukija, sobotnie świeczniki na stole. To nie jest kolekcja w sensie komercyjnym, tak zwana inwestycja. Jest to coś innego: uparta chęć, aby zachować okruchy minionego, niestety, nie do odtworzenia, życia przedwojennej żydowskiej Polski.

Na ścianach zawieszono są obrazy Warszawy: Rynek Starego Miasta, Park Łazienkowski, ulica Freta, pejzaże olejne miasta Stanisława Tomaszewskiego

⁷⁰ Czulent (צולנט, *czolnt*) – tradycyjna potrawa żydowska. Bardzo wolno gotowany (duszony), przyrządzany z mięsa, z cebulą. Spożywany w sobotę. W związku z tym, że w *szabat* nie wolno gotować na ogniu, danie przygotowuje się przed jego rozpoczęciem, a następnie pozostawia w rozgrzanym piecu, aby dogotował się przez noc i był gotowy na sobotni obiad.

Miedzy (1913 - 2000), malarza, a podczas wojny żołnierza Armii Krajowej, autora plakatów z Powstania Warszawskiego⁷¹.

Ciekawą część kolekcji Dimantów stanowią: rysunek węgłem przypisywany genialnemu polskiemu malarzowi i dramaturgowi, Stanisławowi Wyspiańskiemu (1869-1907), malarstwo Dobczyńskiego Starszego (na obrazach nie ma imienia lub inicjałów, ale sam podpis jest napisany cyrylicą, niektóre płótna z 1904 i 1914) i Włodzimierza Paschalisa Dobczyńskiego (1919-1982) Młodszego, które Sasza kupił w Polsce. Być może wsparł wówczas malarza, którego sytuacja materialna nie była najlepsza – zarabiał bardzo mało, głównie jako autor komiksów i ilustracji książkowych.⁷² Ciekawe, że Włodzimierz Paschalis Dobczyński ilustrował książkę „Bagnet z uralskiej stali” Janusza Przymanowskiego, który z kolei pisał o wujku Giny, Henochu Szaferze⁷³.

Tak więc w domu na West-Side w sposób niezwykle zbiegały się losy wielu ludzi o odmiennych historiach i imionach oraz różnych narodowościach – czasem mimo woli i świadomego wyboru gospodarzy.

Taka w naturalny sposób jednocząca, integrująca i bez jakichkolwiek uprzedzeń, była życiowa filozofia Saszy i Giny, przekonanych o tym, że jakkolwiek tragicznie układałyby się polsko-żydowskie relacje, te dwa narody żyły przez stulecia razem, i czy chcą tego, czy nie tak zwani izolacjoniści, historia i kultura obu narodów jest nierozzerwalna.

Kiedy była mowa o polsko-żydowskich stosunkach, szczególnie podczas wojny, o indywidualnej i zbiorowej pamięci, o narodowej historii i historii pojedynczych ludzi, Dimantowie zawsze mówili: podczas wojny niektórzy

⁷¹ Polski artysta. W latach okupacji zebrał znaczącą ilość fotodokumentów demaskujących przestępstwa hitlerowców, które były wykorzystane w charakterze dowodów w procesie norymberskim.

⁷² Dimantowie próbowali zdobyć informacje o Dobczyńskich, lecz w swych poszukiwaniach nie zaszli zbyt daleko. Informacje były sprzeczne. Jedni mówili, że ojciec i syn ukrywali się na wsi w Karpatach, drudzy, że syn znajdował się na Pawiaku, a potem wywieziono go do obozu w Stutthofie, a jeszcze inni, że w czasie wojny przebywał w ZSRR i wrócił do Polski z 1. Armią Wojska Polskiego im. T. Kościuszki.

⁷³ Przymanowski J., *Bagnet z uralskiej stali*. Warszawa 1953.

Polacy owładnięci obsesyjną nienawiścią do Żydów wydawali ich Niemcom, a inni ryzykując życie, ratowali Żydów. Polska była jedynym okupowanym krajem w Europie, w którym wprowadzono karę śmierci dla każdego, kto ukrywał Żydów lub w jakikolwiek inny sposób pomagał im. Czy się bali, pomagając? Oczywiście, że się bali! Ale przewyciężali strach w imię zachowania człowieczeństwa. „A Irena Sendlerowa – dodaje Gina, przerzucając kartki książki o tej wspaniałej kobiecie, która pracowała w Radzie Pomocy Żydom «Żegota» i uratowała od zagłady 2500 żydowskich dzieci... Czy trzeba coś jeszcze dodawać?”

Dimantowie znali wiele dobrych i złych przykładów. Wierzyli jednak, że w człowieku zwycięży nie to co diabelskie, ale to co ludzkie.

To właśnie za wybitne zasługi na rzecz budowania przyjaznych relacji polsko-żydowskich Gina Dimant została udekorowana 3 maja 2013 roku Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Uroczystość ta odbyła się w Konsulacie RP w Vancouver z okazji święta Konstytucji 3 Maja i Dnia Polonii i Polaków Za Granicą. Order został wręczony Ginie przez Krzysztofa Czapłę, Konsula Generalnego RP w Vancouver. Sala konsulatu była wypełniona po brzegi. W ceremonii wręczenia orderu wzięło udział wielu znajomych i przyjaciół bohaterki uroczystości. Była także cała jej rodzina. Nie było tylko męża i syna. Gdyby żyli, jakże byliby dumni ze swojej kochanej Giny.

Epilog

W swoim długim życiu Gina wielokrotnie bywała na skrzyżowaniach dróg: geografii i historii, krajów i narodów, kultur i języków, różnych systemów społecznych i ekonomicznych.

Na tych skrzyżowaniach było jej chwilami nieznośnie ciężko – gdy los nie uśmiechał się do niej, przynosił samo zło, nienawiść, wojnę, zagładę, śmierć. Trzeba było opłakać straty. Przeżyć rozstania. Lecz równocześnie, jakim wielkim szczęściem było odniesienie zwycięstwa w walce z kłamstwem, rasizmem i tyranią! Zwyciężyć i czekać na nowe wspaniałe spotkania...

Gina przywoływała historię swojego życia przede wszystkim dla wnuków. Dzisiaj są to młodzi, energiczni, samodzielni i zapobiegliwi ludzie. Jej wnuk Dov, będąc dwudziestoletnim młodzieńcem, został bez ojca i z sukcesem kontynuował jego dzieło. Jest głową rodziny i w tej roli wspaniale się odnajduje. Wnuczka Sally jest asystentką stomatologa i ma zamiar uczyć się dalej. Wszystko to cieszy i kieruje wzrok Giny ku przyszłości.

Kiedy Gina przypominała sobie przeszłość, jej twarz rozjaśniał uśmiech, a nieraz z trudem powstrzymywała łzy. Wracając myślami do minionego czasu i opisując go, spełniała wolę ukochanego męża, który wiele lat swego życia poświęcił na działania, by trudna historia ich pokolenia została przekazana następnym generacjom. Nawet jeśli wspomnienia są jedynie okruchami bogatego w wydarzenia życia.

O autorce

Dr Olga Medvedeva-Nathoo studiowała slawistykę na Uniwersytecie Moskiewskim. Obroniła doktorat z historii polskiej literatury z okresu XIX-XX w. w Instytucie Slawistyki Rosyjskiej Akademii Nauk. Później pracowała w tym Instytucie w charakterze starszego pracownika naukowego. Jest autorem licznych publikacji: książek, artykułów, esejów, przekładów, w szczególności poświęconych polskiej literaturze i historii, a także dziejom polsko-rosyjskich stosunków. Jest znana jako badacz twórczości takich pisarzy, jak: Tadeusz Miciński, Karol Irzykowski, Witold Gombrowicz, Janusz Korczak i inni.

Jej książki i artykuły publikowano w przekładzie na języki: polski, angielski, niemiecki, francuski i inne. Brała udział w międzynarodowych konferencjach w Rosji, Polsce, Izraelu, Kanadzie, USA, Austrii, Francji, Holandii, Szwajcarii i innych krajach.

Szczególne obszary jej zainteresowań stanowią psychologia dziecięca, relacje między dziećmi i dorosłymi oraz - w tym właśnie kontekście- spuścizna literacka i pedagogiczna Janusza Korczaka. Na początku lat dziewięćdziesiątych powołała Rosyjskie Towarzystwo Janusza Korczaka i była jego pierwszym prezesem. Po przyjeździe do Kanady, gdzie obecnie mieszka, zorganizowała razem z przyjaciółmi Kanadyjskie Towarzystwo Janusza Korczaka.

W ostatnich latach zajmuje się tematem *Śladami Korczaka w Kanadzie*. Odszukała dawnych wychowanków Janusza Korczaka, tych, którzy go znali przed wojną, w tym korespondentów gazety „Mały Przegląd”, sponsorów jego Domu Sierot w Warszawie itp. Obecnie pracuje nad książką pod tytułem „Strzępy losów” opisującą sytuację obywateli polskich w ZSRR, a w szczególności w Azji Środkowej, podczas drugiej wojny światowej.

khadimolga@yahoo.com